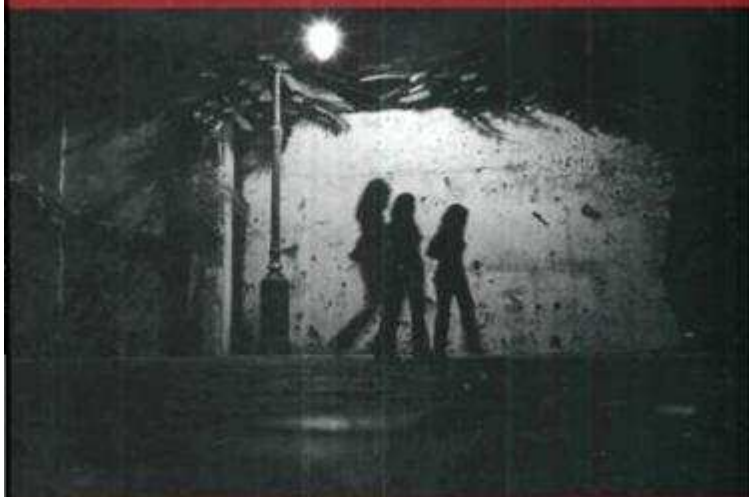


2013

LATO
z kryminałem

POLITYKA

1



Gianrico Carofiglio

Z zamkniętymi oczami

w
ab
100%

15 zł
cena det.

2011
LATO
Z kryminałami
POLITYKA

1 Giannico Cerofiglio **Z zamkniętymi oczami**
2 Henning Mankell **Biga i kobieta**
3 Michele D'Emilio **Pod Przechylnym Lisem**
4 Tomasz Kościński **Włóżkę wyjęte**
5 Arnaldur Indriðason **Gróbowa cięsa**
6 Aleksandra Merinińska **Płotki giną pierwsze**
7 Marcin Wronski **Moderatwo pod cenzurą**

Do biura mecenasa Guerrieriego przychodzi tajemnicza siostra Claudia, opiekunka ze schroniska dla kobiet, które doświadczyły przemocy. Jej podopieczna, Martina Fumai, chce wnieść oskarżenie przeciw byłemu partnerowi o psychiczne i fizyczne znęcanie się nad nią. Oskarżonym będzie Gianluca Scianatico, znany lekarz i syn wpływowego adwokata. Guerrieri zostaje pełnomocnikiem Martiny i próbuje dokonać niemożliwego: dowody nie istnieją, świadkowie nie chcą zeznawać...

Z zamkniętymi oczami to w rzeczywistości opowieść o samotności i cierpieniu w domowym piekle, mrocznych tajemnicach pozornie normalnych ludzi, bezwzględności katów i bezsilności ofiar. Zakończenie – dalekie od klasycznego happy endu i kompletnie zaskakujące – to najbardziej wstrząsająca i skłaniająca do refleksji część książki.

Dariusz Materek, salonkulturalny.pl

w
ab
KONKURSY

Nr indeksu 230464



CENA 15,00 zł
(w tym 5% VAT)

Gianrico Carofiglio

Z zamkniętymi oczami

przełożyła

Joanna Ugniewska



Tytuł oryginału: *Ad Occhi Chiusi*

Copyright © 2003 Sellerio Editore, Palermo

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo W.A.B., 2009

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo W.A.B., 2009

Wydanie II

Warszawa 2011

Przekład: Joanna Ugniewska

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta: Grażyna Mastalerz, Anna Hegman

Redakcja techniczna: Katarzyna Resiak

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Krajewska-Ferenc

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki:

© Laurent Denimal/Nordicphotos/Corbis/FotoChannels

W powieści *Z zamkniętymi oczami* cytowane są: fragment

wiersza *Itaka* Konstantinosa Kawafisa (Cz. Miłosz, *Przekłady poetyckie*, Żnak, Kraków 2005) oraz słowa piosenek

The Ghost of Tom Joad Bruce'a Springsteena

(z albumu pod tym samym tytułem) oraz *Losing My Religion*

zespołu R.E.M. (z albumu *Out of Time*).

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Uspiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, Żółkiewskiego 7

Druk i oprawa: Opolgraf S.A., ul. Niedziałkowskiego 8-12, Opole

ISBN 9783-7414-996-9

CZEŚĆ PIERWSZA

1.

Nie ma człowieka, który naprawdę przestałby palić. Palenie można rzucić co najwyżej na chwilę. Na całe dni. Albo miesiące, albo lata. Ale nikt tak naprawdę nie przestaje. Papieros zawsze będzie cię kusić. Niekiedy pojawia się ni stąd, ni zowąd we śnie, nawet pięć lub dziesięć lat po tym, jak „przestałeś”.

Czujesz wówczas, że palce dotykają bibułki, stukasz papierosem o blat biurka i słyszysz ciche, błogi dźwięk; czujesz, że masz w ustach filtr w kolorze ochry; słyszysz trzask zapalki i widzisz żółty płomień, niebieski u spodu.

Czujesz wręcz, jak dym dociera do płuc, patrzysz, jak unosi się nad papierami, książkami, filiżanką kawy.

Wtedy się budzisz. I myślisz, że jeden papieros, tylko jeden, nie robi przecież żadnej różnicy. Że mógłbyś go zapalić, bo nadal trzymasz na wszelki wypadek paczkę papierosów w szufladzie biurka albo w jakimś innym miejscu. Potem oczywiście zmieniasz zdanie; bo jeśli zapalisz jednego, zapalisz i drugiego, a potem jeszcze jednego i tak dalej, i tak dalej. Czasami się udaje, czasami nie. Tak czy owak w takich chwilach pojmujesz, że zwrot „przestać palić” to jedynie abstrakcyjne pojęcie. Rzeczywistość jest inna.

W dodatku istnieją sytuacje gorsze od koszmarów sen-
nych.

Nie paliłem już od wielu miesięcy.

Wróciłem właśnie z biura prokuratury krajowej, gdzie przejrzałem akta procesu, w którym miałem wystąpić jako oskarżyciel prywatny. I miałem cholerną ochotę wejść do sklepu tytoniowego, kupić paczkę papierosów, mocnych i ostrych - choćby żółtych MS - i palić je tak długo, aż dym rozsadzi mi płuca.

Wynajęli mnie rodzice dziewczynki zwabionej przez pedofila. Przyszedł przed szkołę, zawołał dziewczynkę i ona z nim poszła. Weszli na klatkę schodową starej kamienicy. Woźna wszystko widziała, ponieważ poszła za nimi. Ten wieprz pocierał członkiem o twarz dziewczynki, która miała zamknięte oczy i milczała.

Woźna zaczęła krzyżeć. Wieprz uciekł, zasłaniając twarz podniesionym kołnierzem płaszcza. Sposób banalny, lecz skuteczny, ponieważ woźna nie zdołała się dobrze przyjrzeć sprawie.

Kiedy przesłuchano dziewczynkę w obecności psycho-
lożki, okazało się, że incydent ten nie zdarzył się po raz pierwszy. Ani nawet drugi, ani trzeci.

Policjanci dobrze się spisali, zidentyfikowali maniaka, sfotografowali go z ukrycia. Przed budynkiem gminy, gdzie był wzorowym urzędnikiem. Dziewczynka go rozpoznała. Wskazała palcem na zdjęcie, szcękając zębami i odwracając wzrok.

Kiedy policjanci przyszedli go aresztować, znaleźli całą kolekcję zdjęć. Jak z koszmaru.

Zdjęć dołączonych do akt, które obejrzałem tamtego ranka.

Miałem ochotę rozwalić komuś pysk. Najchętniej temu wieprzowi. Albo jego adwokatowi. Napisał, że *zeznania*

dziewczynki są ewidentnie niewiarygodne, stanowią bowiem owoc chorobliwych fantazji, typowych dla niektórych osobników w wieku poprzedzającym dojrzewanie płciowe. Naprawdę chętnie skułbym mu pysk. Skułbym też pysk sędziom śledczym, którzy skazali pedofila na areszt domowy. W ich postanowieniu można było przeczytać, że aby podobne groźne zachowania, będące przedmiotem śledztwa, nie powtórzyły się więcej, wystarczy ograniczenie wolności osobistej w postaci aresztu domowego.

Mieli rację. Z technicznego punktu widzenia mieli rację. Dobrze o tym wiedziałem, byłem przecież adwokatem. Ja sam upierałem się wielokrotnie przy takim rozwiązaniu. Ze względu na moich klientów. Złodziei, oszustów, porywaczy, niewypłacalnych dłużników. Również niektórych dilerów.

Ale nie gwałcicieli nieletnich.

Tak czy owak chciałem komuś skuć pysk.

Albo zapalić.

Albo zrobić cokolwiek innego, byle tylko nie wracać do kancelarii i nie musieć zabierać się do roboty.

2..

Poszedłem jednak do kancelarii i pracowałem aż do późnego popołudnia, nie robiąc przerwy nawet na małą przekąskę. Potem oznajmiłem Marii Teresie, że mam do załatwienia pilną sprawę, i poszedłem do księgarni.

Krążyłem wśród półek aż do godziny zamknięcia i wyszedłem ostatni, kiedy żaluzja była już do połowy opuszczona, a sprzedawcy ustawili się rzędem koło kasy i spoglądali na mnie wzrokiem, w którym trudno było dopatrzeć się sympatii.

Zadzzwoniłem do mieszkania Margherity i zacząłem, aż mi otworzy.

Miałem wprawdzie klucze, ale niemal nigdy ich nie używałem. Podobnie jak ona, kiedy przychodziła do mnie, dwa piętra niżej.

Każde z nas zachowało swoje mieszkanie, wraz z książkami, plakatami, płytami i całą resztą; niezłym bałaganem, szczególnie u mnie. Ona miała apartament z tarasem, duży i piękny. Utrzymywała w nim porządek. Nie obsesyjnie. Po prostu jak ktoś, kto panuje nad sytuacją. Z nas dwojga nad sytuacją panowała ona, ale mnie to odpowiadało.

W jej mieszkaniu zaszła tylko jedna zmiana. Kupiliśmy ogromne łóżko, największe, jakie można było znaleźć,

i ustawiliśmy w jej sypialni. Zająłem kawałek miejsca w szafie i umieściłem tam trochę swoich rzeczy. Potem zająłem półkę w łazience. I to wszystko.

Często zostawałem u Margherity na noc. Ale nie zawsze. Czasami miałem ochotę oglądać długo w nocy telewizję - coraz rzadziej - czasami chciałem poczytać do późna. Czasami ona chciała spać sama. Czasami jedno z nas spotykało się wieczorem z przyjaciółmi. Czasami ona wyjeżdżała w sprawach zawodowych, a ja zostawałem u siebie. Kiedy jej nie było, nigdy nie wchodziłem do jej mieszkania. Brakowało mi jej już po kilku godzinach.

Zadzwoniłem jeszcze raz. W tej samej chwili drzwi się otworzyły.

- Zdenerwowany?

- Głucha?

- Jeśli nie chcesz nic jeść, wystarczy powiedzieć. Nie musisz kręcić ani owijać w bawełnę.

Chciałem coś zjeść, szczególnie że ze środka dochodził przyjemny zapach dopiero co przygotowanego jedzenia. Podniosłem ręce na znak, że się poddaję, i wszedłem do środka.

- Powiedziałam, że możesz wejść?

- Kupiłem ci książkę.

Spojrzała na moje puste ręce, a ja wyjąłem paczuszkę z kieszeni kurtki. Wtedy zamknęła drzwi.

- Co to takiego?

- Konstandinos Kawafis. Poeta grecki. Posłuchaj tego wiersza: *Itaka*.

Otworzyłem białą książeczkę, usiadłem na kanapie i przeczytałem.

*Proś, aby twoja podróż była długa.
Abyś niejednym letnim świtem wpływał –
a jakże wdzięczny i jaki szczęśliwy -*

*do widzianego po raz pierwszy portu;
i zatrzymywał się w fenickich zatokach
po to, żeby zakupić tam dobre towary,
perłową macicę, koral, ambrę i heban,
także wonne olejki wszelkiego rodzaju,
mocne, drażniące wonności, tak dużo, jak tylko
zapragdziesz;
abyś odwiedził wiele miast egipskich,
zbierając zapas wiedzy od ludzi uczonych.
Itakę zawsze nosić masz w pamięci.
Przybycie tam to twoje przeznaczenie.
Ale bynajmniej nie spiesz się w wędrówce.
Lepiej jeżeli potrwa długie lata [...] *.*

K. Kawafis, *Itaka*, przeł. Cz. Miłosz (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.).

Margherita wyjęła mi książkę z ręki. Założywszy stronę palcem, spojrziała na okładkę - żadnej ilustracji, tylko wiersz - przesunęła ręką po gładkim białym kartonie; przeczytała szybko. Potem wróciła do wiersza, który jej przeczytałem, i zobaczyłem, że porusza bezgłośnie wargami.

W końcu znów spojrziała na mnie i pocałowała mnie szybko w policzek.

- OK. Możesz zostać. Umyj ręce. Nastaw płytę i nakryj do stołu. W takiej kolejności.

Umyłem ręce. Nastawiłem Tracy Chapman. Nakryłem do stołu i nalałem sobie kieliszek wina. Miałem jeszcze chęć na papierosa, ale najgorsze już minęło.

3.

Po kolacji oboje mieliśmy ochotę gdzieś pójść. Zdecydowaliśmy się na lokal otwarty kilka miesięcy temu. Stare magazyny, gdzie można było zjeść, wypić, wziąć książkę albo gazetę, albo jakąś grę. Przede wszystkim była tam malutka sala kinowa, gdzie od północy do świtu wyświetlano stare filmy, jeden po drugim.

Można było przyjść o dowolnej porze, widzów nigdy nie brakowało. Wydawało mi się, że to antidotum na codzienną rutynę. Dzień/praca/czuwanie/ludzie. Noc/dom/odpoczynek/samotność.

Szpeciallynie sala kinowa była zachwycająca. Mój ideał kina.

Miała około pięćdziesięciu miejsc, wolno było rozmawiać, chodzić, pić. Niekiedy między jednym filmem a drugim podawano spaghetti albo, tuż przed świtem, kawę z mlekiem w dużych filiżankach bez ucha i rogaliki z nutellą.

Następnego ranka nie miałem żadnej rozprawy, więc nie musiałem iść wcześniej spać. Margherita sama decydowała, kiedy pracuje. Ubraliśmy się zatem i wyszliśmy w dobrych humorach.

Zamorskie Magazyny, tak nazywał się lokal. Przyszliśmy trochę po jedenastej i jak zwykle nie brakowało ludzi,

choć był środek tygodnia. Wiele osób siedzących przy stolikach znałem z widzenia. Przeważnie byli to ci sami ludzie, których widywało się w niektórych lokalach, na niektórych koncertach, niektórych przyjęciach. Mniej więcej tacy jak ja.

Usiłowałem zachować niepozbowiony autoironii dystans wobec tych środowisk - mniej lub bardziej lewicowych, mniej lub bardziej intelektualnych, mniej lub bardziej zamożnych, mniej lub bardziej powyżej trzydziestki, a przed pięćdziesiątką (no cóż, niektórzy mieli więcej niż pięćdziesiąt) - ale bywałem tam nadal. Jak wszyscy.

Pierwszym filmem był *Dom gry*. Jeden z dziesięciu moich ulubionych. Niezwykła historia, nocna i szalona. Występują psychiatrzy i oszuści.

Do rozpoczęcia projekcji brakowało jeszcze co najmniej trzech kwadransów. Margherita zauważyła przy stoliku dwie znajome i podeszła, aby się z nimi przywitać, a one poprosiły, abyśmy się dosiedli. Znajome Margherity były ze sobą zaręczone i obie nosiły imię Giovanna. Były również do siebie podobne. Obie miały na sobie ubrania w męskim stylu i zachowywały się jak mężczyźni. Zastanowiło mnie, jaki jest podział ról - jeśli w ogóle takie są - w wypadku tej pary. Trenowały w tej samej szkole sztuk walki co Margherita.

- Zostaniecie na filmie? - spytała Margherita.

- Nie, chyba nie. Giovanna musi jutro wcześniej wstać - oznajmiła Giovanna.

- Tak, dopijemy rum i idziemy spać - dodała Giovanna.

Mnie całkowicie ignorowały. To znaczy obie zwrócone były w stronę Margherity, rozmawiały tylko z nią i przysiągłbym, że ich spojrzenia nie były całkiem niewinne.

W pewnym momencie Giovanna spytała Margheritę, czy zapisze się z nimi na kurs spadochronowy.

Jaki znowu kurs spadochronowy?

- Zastanawiam się. Mam wielką ochotę. To jest coś, czego chcę spróbować od dawna. Nie jestem jednak pewna, czy znajdę czas.

Udało mi się wtrącić do rozmowy.

- Wybacz, co to za historia z tym kursem?

- Ach, jeden z ich przyjaciół jest instruktorem spadochronowym. Zapraszał je wielokrotnie na kurs. Wiesz, będą mogły zdobyć licencję. A one zaprosiły mnie.

Zaprosiły ciebie, bo chcą cię przelecieć. Masz zdobyć licencję lesbijki. Tak właśnie: licencję latającej lesbijki.

Nie powiedziałem tego. Oczywiście. My, lewicowi mężczyźni, nie mówimy takich rzeczy. Co najwyżej tak myślimy. A poza tym obie Giovanny wydawały się zdolne do wyrwania mi jaj i zagrania nimi we flippera ze znacznie błahszych powodów.

Milczałem więc, a one rozmawiały dalej o kursie spadochronowym, o tym, jakie to byłoby wspaniałe, że nie potrzeba wcale dużo czasu - dwie godziny w tygodniu na teorię i ćwiczenia - i o tym, że wystarczy trzy skoki, aby zdobyć licencję.

Chętnie wtrąciłbym kilka kąśliwych uwag. Na przykład że licencja spadochronowa jest niezbędnym atrybutem młodej japisonki na progu nowego tysiąclecia. Tak, z pewnością, to prawdziwe szczęście, że wystarczy trzy skoki, aby zdobyć licencję. Słyszycie, tylko trzy skoki.

Siedziałem jednak cicho i dobrze zrobiłem. Ponieważ odważenie się na skok z samolotu w pustkę, bez lęku, było moim najskrytszym marzeniem. Marzeniem, którego nigdy nie ośmieliłem się nikomu wyjawić i które, wiedziałem to dobrze, od kiedy skończyłem czterdzieści lat, nie miało się nigdy spełnić.

To marzenie brało się z moich dziecięcych lęków i fantazji i przypominało mi o upływie czasu. I o wszystkich

innych rzeczach - ważnych i drobnych - które chciałem zrobić i których nie odważyłem się zrobić. Których już nigdy nie miałem odważyć się zrobić.

Udało im się ją przekonać, że znajdzie czas, żeby chodzić na ten kurs. Postanowiły, że spotkają się za dwa dni w siedzibie stowarzyszenia spadochroniarzy sportowych i zapiszą się wszystkie razem, ze zniżką, dzięki przyjacielowi obu Giovanni.

- Ja idę obejrzeć film. Zaczyna się za dwie minuty. Ale nie przejmuj się, zostań, jeśli chcesz porozmawiać - oznajmiłem z godnością.

- Nie, nie. Idę z tobą. One i tak już wychodzą.

Obie Giovanni przytaknęły. Jedna z nich ruchem prawdziwego twardziela wychyliła resztę rumu. Pożegnały się z nami - prawdę mówiąc, pożegnały się z Margheritą - i poszły sobie.

Weszliśmy do salki kinowej, kiedy światła już pogasły i zaczynał się film. Zanim poddałem się mrocznej i surrealistycznej atmosferze filmu Davida Mameta, pomyślałem przez moment, jak bardzo bym chciał skoczyć w pustkę z samolotu albo z dużej wysokości.

W pustkę. Bez lęku.

4.

Chce pan wiedzieć, skąd wziąłem te pieniądze, mecenasie?

Nie chciałem wiedzieć, skąd wziął te pieniądze pan Filippo Abbrescia, zwany Czarnym Puppuciem. Był moim dawnym klientem i zawodowo okradał i oszukiwał towarzystwa ubezpieczeniowe. Chociaż kiedy przesłuchiwali go prokuratorzy, twierdził, że jest murarzem.

Mieliśmy nazajutrz sprawę w sądzie apelacyjnym. O udział w przestępczości zorganizowanej i właśnie o oszustwo. Przyszedł więc zapłacić. Nie chciałem wiedzieć, skąd wziął pieniądze, które za chwilę miał mi wręczyć. Ale mimo to mi wyjaśnił.

- Obstałem właściwy numer, panie mecenasie. Na ruletce w Bari. Po raz pierwszy w życiu.

Puppuccio miał dziwną minę. Pomyślałem, że to mina człowieka, który całe życie kradł i teraz nie może uwierzyć, że coś wygrał. Pomyślałem, że on, jak tyłu innych, został złodziejem i oszustem, bo wszystkie inne drogi były przed nim zamknięte. Pomyślałem, że wyraźnie kretynieję i robię się żaloszny.

Wezwałem więc Marię Teresę i oddałem jej pieniądze, które położył na biurku. Potem rozmawialiśmy o tym, co się wydarzy następnego dnia.

Mamy dwie możliwości, wyjaśniłem mu. Pierwsza to apelacja. W pierwszej instancji dostał cztery lata - mało, pomyślałem, jak na te wszystkie oszustwa, które popełnił - i mogę spróbować uzyskać uniewinnienie. Jeśli jednak wyrok zostanie utrzymany, Czarny Puppuccio wkrótce trafi za kratki. Druga możliwość polega na ugodzie z zastępcą prokuratora generalnego. Na ogół zastępcy prokuratora generalnego - a także sędziowie sądu apelacyjnego - lubią ugody. Wszystko załatwia się bardzo szybko, rozprawa kończy się przed południem i mogą pójść sobie spokojnie do domu albo gdzie im się żywnie podoba.

Prawdę powiedziawszy, również adwokaci lubią ugody w sądzie apelacyjnym. Wszystko załatwia się bardzo szybko i mogą pójść sobie spokojnie do kancelarii albo gdzie im się żywnie podoba. Ale tego nie powiedziałem Puppucciowi.

- A jeśli zdecydujemy się na ugodę, ile mogę dostać, mecenasie?

- No cóż, sądzę, że możemy się zgodzić na dwa i pół roku. Nie będzie to łatwe, ponieważ prokurator jest twardym facetem, ale możemy spróbować.

Kłamałem. Znałem zastępcę prokuratora generalnego, który miał pojawić się nazajutrz na rozprawie. Gotów był zgodzić się na dwa miesiące, żeby tylko mieć z głowy całą sprawę i nie kiwnąć nawet palcem. Nie był, by tak rzec, zbyt pracowity. Ale tego nie mogłem powiedzieć Czarnemu Puppucciowi.

W podobnych przypadkach należało zachować następującą procedurę: powiedzieć, że prokurator jest twardym facetem, obiecać, że spróbuję pójść na ugodę, ale nie będzie to łatwe i niczego nie mogę obiecać, założyć, że kara będzie zdecydowanie wyższa niż ta, której się spodziewałem, porozumieć się co do kary, którą od początku przewidywałem, potwierdzić, że jestem adwokatem godnym

zaufania i skutecznym, zainkasować resztę honorarium.

- Dwa i pół roku? Czy warto w takim razie iść na ugodę, mecenasie? To już lepiej zgódźmy się na proces.

- Oczywiście, możemy spróbować - oznajmiłem obojętnie. - Jeśli jednak wyrok czterech lat zostanie utrzymany, wrócisz za kratki. Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

Profesjonalne zawieszenie głosu. Po chwili podjąłem:

- Poniżej trzech lat więzienie może zostać próbnie zamienione na pracę na rzecz gminy. Zastanów się.

Teraz on chwilę milczał.

- No, dobrze, mecenasie, ale niech się pan postara, żebym dostał nie więcej niż dwa i pół roku. Przecież nikogo nie zabiłem. Dwa, trzy oszustwa, nic więcej.

Pomyślałem, że oszustw to on ma na sumieniu co najmniej dwieście, chociaż karabinierzy odkryli tylko około piętnastu. Należał również do organizacji przestępczej, która zajmowała się oszustwami na skalę przemysłową. Jego wyciąg z rejestru skazanych był długi. Nie wydawało mi się, bym musiał traktować pana Filippa Abbrescię ze szczególną delikatnością.

- Brawo, Puppuccio. Podpisz teraz specjalne upoważnienie i nie pojawiaj się jutro na rozprawie.

W ten sposób nie będę musiał się wygłupiać i szybko sobie poradzimy z prokuratorem generalnym, pomyślałem.

- Dobrze, panie mecenasie, ale proszę pamiętać: spróbujmy obniżyć karę, ile tylko się da.

- Nie martw się, Puppuccio. Przyjdź jutro po rozprawie do kancelarii. Powiem ci, jak się to wszystko skończyło. A kiedy będziesz przechodził przez sekretariat, weź rachunek.

Zdążył już podnieść się z krzesła, ale nie zamierzał wyjść.

- Panie mecenasie?
- Słucham.

- Panie mecenasie, po co wystawiać rachunek? Musi pan potem od tych pieniędzy zapłacić podatek. Czy to warto? Pamiętam, że na początku, kiedy do pana przychodziłem, nie wystawiał pan rachunków.

Przyjrzałem mu się uważnie. Mówił prawdę. Przez wiele lat większość pieniędzy, które zarabiałem, zarabiałem na czarno. Potem, kiedy wiele się w moim życiu zmieniło, zacząłem się tego wstydzić. Wstydziłem się, że oszukuję fiskusa, więc zacząłem wystawiać rachunki i płacić bardzo wysokie podatki. Byłem jednym z czterech, pięciu najbogatszych adwokatów w Bari. Tak przynajmniej wykazywały zeznania podatkowe.

Nie mogłem opowiedzieć o tym panu Filippowi Abrescii czyli Czarnemu Puppucciovi. Nie zrozumiałby. Przeciwnie, uznalby, że zwariowałem, i poszukałby sobie innego adwokata. A tego przecież nie chciałem. Był dobrym klientem, w sumie porządnym facetem i w dodatku płacił w terminie. Czasami również pieniędzmi niepochodzącymi z przestępstwa.

- Urząd skarbowy, Puppuccio, urząd skarbowy. Nęka nas ostatnio, nas, adwokatów. Musimy uważać. Czyhają w sąsiedztwie kancelarii, widzą, kiedy klient wychodzi, a potem sprawdzają, czy ma rachunek. Jeśli nie, wchodzą do kancelarii i robią kontrolę. A to oznacza koniec pracy. Wolę nie ryzykować.

Puppuccio odetchnął z ulgą. W sumie byłem tchórzem, ponieważ płaciłem podatki tylko po to, żeby uniknąć większych kłopotów. On by tego nie robił, ale przynajmniej mógł mnie zrozumieć.

Zasalutował po wojskowemu, przytykając dłoń do nieistniejącego daszka. Cześć, mecenasie, czołem, Puppuccio.

Potem odwrócił się i wyszedł

Kiedy minęła co najmniej minuta i byłem już pewien, że opuścił kancelarię, powiedziałem do siebie głośno:

- Jestem kretynek. Zgoda, jestem kretynek. Czy jakieś prawo tego zabrania? Nie, a więc mogę być kretynek tak długo, jak mi się podoba.

Następnie odchyliłem głowę na oparcie fotela i zapatrzyłem się w nieokreślony punkt na suficie.

Siedziałem tak jakiś czas, aż zadzwonił telefon.

5.

Maria Teresa odpowiedziała jak zwykle po trzecim dzwonku. Po chwili usłyszałem sygnał wewnętrznej linii.

- O co chodzi?
- Dzwoni inspektor Tancredi z pogotowia policyjnego.
- Przełącz go.

Tancredi był niemal moim przyjacielem. Nie spotykaliśmy się nigdy prywatnie, a mimo to odnosiłem wrażenie, podobnie jak on, że jesteśmy sobie bliscy. Był typem policjanta, na którego chciałbyś się natknąć, gdybyś padł ofiarą przestępstwa; kimś, kogo chciałbyś za wszelką cenę uniknąć, gdybyś sam popełnił przestępstwo. Szczególnie pewne rodzaje przestępstw. Tancredi zajmował się maniakami, gwałcicielami, pedofilami, i tak dalej. Żaden z nich nie był zadowolony, że zajął się nim Tancredi.

- Carmelo, jak się miewasz?
- Cześć, Guido. Miewam się nieźle, mniej więcej. A ty? Miał niski głos i lekki sycylijski akcent. Słyszac go przez telefon, można by sobie wyobrazić wysokiego, grubego mężczyznę z brzuchem. A mierzył nie więcej niż metr siedemdziesiąt, był chudy, miał nieco przydługie włosy, zawsze w nieładzie, i długie wąsy.

Kiedy już wymieniliśmy grzeczności, powiedział, że musi się ze mną spotkać. W sprawie zawodowej, dodał. Chodzi

o jego zawód czy mój? Mój i jego, w pewnym sensie. Chciał przyjść do mnie do kancelarii z pewną osobą. Nie powiedział, kto to taki, a ja nie spytałem. Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali po ósmej, kiedy już będę sam. Zgodził się i na tym rozmowa się skończyła.

Przyszli o wpół do dziewiątej. Sekretarka już wyszła, otworzyłem więc drzwi sam.

Tancredi był w towarzystwie kobiety około trzydziestki, może odrobinę starszej. Miała co najmniej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, włosy związane w koński ogon, wyblakłe dżinsy i podniszczoną kurtkę z czarnej skóry.

Pewnie jakaś koleżanka Tancrediego, pomyślałem, chociaż widziałem ją po raz pierwszy. Typowy męski styl policjantki od drobnych kradzieży albo narkotyków. Musiała narozrabiać i teraz potrzebuje adwokata. Patrząc na nią - na tę twarz kogoś, z kim nie chciałbyś się pokłócić - pomyślałem, że może pobili jakiegoś podejrzanego albo aresztanta. Zdarza się to czasami na komendzie policji.

Kiedy wprowadziłem ich do mojego gabinetu, Tancredi nas sobie przedstawił:

- Mecenas Guido Guerrieri...

Wyciągnąłem rękę, spodziewając się, że usłyszę coś w rodzaju „agent Iks” albo „inspektor (nie należy nigdy nazywać inspektorką inspektora policji płci żeńskiej, strasznie się z tego powodu wściekają) Igrek”. Ale Tancredi niczego takiego nie powiedział.

- ...a to jest siostra Claudia.

Odwrociłem się w stronę Tancrediego, potem znów przyjrzałem się twarzy kobiety. Na wargach inspektora błąkał się ledwie zauważalny uśmiech, jak gdyby bawiło go moje osłupienie. Ona się nie uśmiechała. Ucisnęła mi rękę bez słowa, patrząc prosto w oczy z dziwnie skupionym

wyrazem twarzy. Dopiero wtedy zauważyłem na jej szyi mały drewniany krzyżyk zawieszony na rzemyku.

- Siostra Claudia jest dyrektorką Safe Shelter. Słyszałeś o czymś takim?

Nie słyszałem, więc wyjaśnił mi, co kryje się pod tą nazwą. Siostra Claudia milczała, nie spuszczać ze mnie wzroku. Pachniała delikatnie czymś, czego nie potrafiłem nazwać.

Safe Shelter jest schroniskiem, którego adresu nikt nie zna - adresu nie poznam również i ja - dla kobiet sprzedanych za granicę, odebranych swoim katom, kobiet maltretowanych przez mężów brutalni, zmuszonych uciekać z domu, byłych prostytutek, które zdecydowały się współpracować z wymiarem sprawiedliwości.

Kiedy policja czy karabinierzy muszą gdzieś umieścić taką kobietę, wiedzą, że drzwi Safe Shelter są zawsze otwarte. Również w nocy, również w dni świąteczne.

Tancredi mówił, ja potakiwałem, siostra Claudia przyglądała mi się. Zaczynałem odczuwać lekki niepokój.

- W czym mogę państwu pomóc? - Poczulem się jak ostatni idiota. Jak kiedy wymsknie się człowiekowi coś w rodzaju „serwus” albo „Co cię do mnie sprowadza”.

Tancredi nie zwrócił na to uwagi i od razu przeszedł do rzeczy.

- Jest dziewczyna, która pracuje jako wolontariuszka w schronisku prowadzonym przez siostrę Claudię. A raczej pracowała. Teraz nie bardzo nadaje się do pracy. Powiem krótko: jakiś czas temu poznała faceta. Poznała go w trudnym okresie życia, które zresztą tak naprawdę nigdy nie było łatwe. Facet wydał się jej księciem z bajki. Miły, opiekuńczy, zakochany. Bogaty. I przystojny, jak twierdzą kobiety. Jednym słowem: chodzący ideał. Po kilku miesiącach

zamieszkali razem. Na szczęście bez ślubu.

Takie historie słyszałem wiele razy, nie tylko z racji mojego zawodu.

Przerwałem więc Tancrediemu:

- Po kilku miesiącach wspólnego życia on się zmienia. Najpierw nie jest już taki miły. Potem zaczyna ją maltretować, początkowo słownie, następnie także fizycznie. Krótko mówiąc, wspólne życie staje się piekłem. Mam rację?

- Mniej więcej. Co się tyczy pierwszej części historii. Może siostra Claudia opowie ci resztę.

Dobry pomysł, pomyślałem. Przystanie wreszcie wpastrywać się we mnie, bo zaczyna mi to już działać na nerwy.

Siostra Claudia miała łagodny kobiecy głos, niemal hipnotyzujący. Kontrastował z jej wyglądem, twarzą, spojrzeniem. Na pewno umie śpiewać, pomyślałem, kiedy zaczęła opowiadać.

- Moim zdaniem nie zmienił się, kiedy zamieszkali razem. Był taki już wcześniej. Przestał tylko udawać, ponieważ sądził, że nie jest to już konieczne. Traktował ją jak swoją własność. Zaczął obrażać, potem bić, potem robił jej rzeczy, o których jeśli zechce, opowie panu sama. Potem czekał na nią w pobliżu jej pracy, przekonany, że ma kochanka. Aby ją przyłapać na gorącym uczynku. Oczywiście wszystko na nic, bo nie było żadnego kochanka. Ale wcale się nie uspokoił. Zrobił się jeszcze gorszy. Kiedy pewnego wieczoru oznajmiła mu, że nie daje już rady i że jeśli on się nie zmieni, odejdzie, pobił ją do krwi.

Przerwała nagle. Z jej twarzy można było wyczytać, że chciałaby być przy tym. Nie po to, żeby się przyglądać.

- Następnego dnia zabrała trochę swoich rzeczy, tyle, ile mogła udźwignąć bez niczyjej pomocy, i przeniosła się do matki, tam, gdzie mieszkała, zanim związała się z tym mężczyzną. Zaczął ją prześladować. Czekał na nią przed pracą. Przed kamienicą, w której mieszkała z matką. Rano. Wieczorem. Chodził za nią. Dzwonił na jej komórkę. Dzwonił do domu. O każdej porze dnia, a przede wszystkim nocy.

- Co mówił?

- Wszystko, co można sobie wyobrazić. Nadto dwukrotnie pobił ją na ulicy. Któregoś ranka znalazła swój samochód cały porysowany śrubokrętem. Pewnego dnia zobaczyła, że jej rower, który trzymała na klatce schodowej, jest rozebrany na części. Oczywiście nie ma dowodów, że zrobił to on. Jednym słowem, jak pan powiedział, mecenasie, jej życie stało się piekłem. Wraz z dziewczynami pracującymi w schronisku próbujemy jej pomóc. Kiedy to tylko możliwe, odprowadzamy ją do pracy, a stamtąd do domu. Przez kilka tygodni mieszkała nawet w schronisku, którego adresu on nie zna, żeby nie mógł jej odnaleźć. Nie jest to jednak żadne rozwiązanie. Nie ma już własnego życia, nie może wyjść wieczorem, nie może iść na spacer, po zakupy do supermarketu, ponieważ boi się, że się na niego natknie. Albo że zajdzie ją od tyłu. I rzeczywiście nigdzie nie wychodzi. Żyje zamknięta w domu jak w więzieniu. On natomiast chodzi sobie po mieście przez nikogo nie niepokojony.

- Czy ta dziewczyna złożyła na niego doniesienie?

Odpowiedział Tancredi.

- Nawet trzy. Jedno na posterunku karabinierów, drugie u nas, na komendzie, i trzecie bezpośrednio w prokuraturze krajowej. To ostatnie zostało na szczęście przekazane Mantovani, która zajęła się sprawą. Przeprowadziła śledztwo, na ile to było możliwe, przesłuchała dziewczynę,

zdobyła billingi telefoniczne, zaświadczenia lekarskie i w końcu wniosła o aresztowanie tego bydlaka.

- Za jakie przestępstwo?

- Maltretowanie i przemoc domową kwalifikowaną. Ale to wszystko na nic się zdało. Sędzia odrzucił wniosek, mówiąc, że nie wymaga tego dobro sprawy. I tu dochodzimy do najciekawszej części całej historii. Siostra Claudia przysłała tutaj, żeby cię spytać, czy byłbyś gotów podjąć się obrony tej dziewczyny i zostać jej pełnomocnikiem. Już dwaj twoi koledzy odmówili. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć: z tych samych powodów, dla których sędzia odstąpił od aresztowania tego pana.

Poprosiłem, żeby wyrażał się jaśniej. Tancredi wymienił jedynie nazwisko. Poprosiłem, żeby powtórzył, aby się upewnić, czy dobrze zrozumiałem. Kiedy już byłem przekonany, że mówimy o tej samej osobie, gwizdnąłem cicho. Nie powiedziałem ani słowa.

Tancredi opowiedział mi dalszy ciąg. Zastępca prokuratora, Mantovani, zaraz po odrzuceniu wniosku o areszt wniosła o postawienie zarzutu. Mężczyzna dostał wezwanie na rozprawę i poszedł porozmawiać z dziewczyną pod jej domem.

Oznajmił jej, że może składać tyle doniesień, ile tylko zechce, ale i tak nic mu nie zrobi. Ponieważ nikt nie odważy się go ruszyć. I dodał, że na procesie rozszarpie ją na strzępy.

Dlatego właśnie dziewczyna potrzebuje adwokata. Ponieważ się boi, ale nie chce się wycofać.

Tancredi wymienił nazwiska jeszcze dwóch moich kolegów, do których zwróciła się dziewczyna. Jeden oświadczył, że bardzo mu przykro, ale z zasady nie występuje jako oskarżyciel prywatny. Znałem go dobrze i miałem wątpliwości, czy w ogóle zna sens słowa „zasada”.

Drugi powiedział, że ma za dużo pracy i że niestety nie może zająć się tą sprawą. Niestety - akurat!

Wówczas dziewczyna przeraziła się i wpadła w rozpacz. Nie wiedziała, co robić. Porozmawiała z siostrą Claudią, a siostra Claudia porozmawiała z Tancredim. Żeby się poradzić. On wymienił moje nazwisko i przyszli do mnie. Bez dziewczyny. Nawet jej nie wspomnieli o tym spotkaniu, bo gdybym ja również odmówił, siostra Claudia wołałaby, żeby się o tym nie dowiedziała.

I to już wszystko. Nie muszę się godzić, podsumował Tancredi. Jeśli odmówię, zrozumieją. Ale przynajmniej nie będę mówił o zasadach ani o nawale pracy.

Milczenie.

Spojrzałem na siostrę Claudię. Nie wyglądała na kogoś, kto zrozumie. Ani trochę.

Przesunąłem ręką po twarzy, na której pojawił się już zarost. Potem uszczyptałem się cztery, pięć razy w policzek i znów przesunąłem po nim ręką.

W końcu zrobiłem stanowczą minę i wzruszyłem ramionami. Nie ma problemu, odrzekłem. Jestem adwokatem i jeden klient wart jest drugiego. Już mówiąc to, pomyślałem, że gadam głupstwa.

Wydawało mi się, że na twarzy siostry Claudii pojawił się cień odprężenia. Coś w rodzaju ulgi. Tancredi uśmiechnął się lekko, jak ktoś, kto nigdy nie wątpił, jak to się skończy.

Zostało niewiele do powiedzenia. Dziewczyna będzie musiała przyjść do kancelarii, żeby podpisać pełnomocnictwo. I żebyśmy się mogli poznać, skoro miałem zostać jej adwokatem. Potem pójde do prokuratora, by zrobić kserokopie akt. Będę musiał szybko je przestudiować. Proces zaczyna się za dwa tygodnie. Poprosiłem siostrę Claudię, aby dała mi numer kontaktowy. Po chwili wahania zapisała mi na kartce numer telefonu komórkowego.

- To jest mój numer. Komórka jest zawsze włączona.

Kiedy wyszli, oparłem się plecami o drzwi i zapatrzyłem w sufit. Sięgnąłem do kieszeni w poszukiwaniu paczki papierosów, ale kieszeń była pusta.

6.

W zasadzie też powinienem wyjść. Godziny pracy dawno minęły, od rana nawet nie zajrzałem do domu. Chciałem wziąć prysznic i coś zjeść.

A jednak zostałem w kancelarii. Usiadłem przy biurku sekretarki. Zastanawiałem się, a w każdym razie robiłem coś w tym stylu.

Gianluca Scianatico był słynnym durniem. Typowym znanym przedstawicielem tak zwanego eleganckiego Bari. Trochę starszy ode mnie, były faszystowski bojówkarz, pokerzysta. I podobno kokainista.

Był lekarzem i pracował w klinice uniwersyteckiej. Nikt, kto znał pewne środowiska w Bari, nie sądził, by zaszedł tak wysoko - dyplom, specjalizacja, konkurs i tak dalej - dzięki własnym talentom.

Jego ojcem był Ernesto Scianatico, przewodniczący jednego z wydziałów karnych sądu apelacyjnego. Jeden z najbardziej wpływowych ludzi w mieście. Na temat jego samego, jego interesów niezwiązanych z sądownictwem powiedziano już w gruncie rzeczy wszystko. Zawsze szepciem, na korytarzach sądowych albo gdzie indziej. Opowiadano o anonimowych petycjach w związku z całą serią spraw, które pośrednio lub bezpośrednio go dotyczyły. Opowiadano, że niektórzy adwokaci i niektórzy

prokuratorzy próbowali złożyć na niego doniesienie.

Wiadomo było, że żadna z tych petycji, anonimowa czy podpisana, nie odniosła najmniejszego skutku. Przewodniczący Scianatico potrafił się zabezpieczyć.

Jednym z najgłupszych pomysłów, jakie mogły przyjść do głowy komuś takiemu jak ja - kto wykonywał zawód karnisty w Bari - było uczynić z niego swego wroga. Mniej więcej połowa procesów po wyroku w pierwszej instancji przechodziła do jego wydziału sądu apelacyjnego. To znaczy mniej więcej połowa moich procesów przechodziła do tego wydziału. Otwiera się przede mną świetlana zawodo-wa przyszłość, pomyślałem.

- Gratuluję, Guerrieri - powiedziałem głośno, jak zdarzało mi się już w dzieciństwie, kiedy myśli stawały się zbyt natarczywe. - Kolejny raz zrobiłeś wszystko, żeby wpędzić się w kłopoty. Masz już czterdziestkę na karku, ale dalej wpadasz we wszelkie możliwe tarapaty. Brawo.

Posiedziałem tak trochę, martwiąc się. Mój wzrok wędrował po półkach i stojących na nich teczkach.

Potem mi się znudziło.

Zawsze tak jest w moim życiu - wcześniej czy później wszystko mi się nudzi.

Zarówno to, co dobre, jak i to, co złe.

Niemal wszystko.

W każdym razie kiedy już przestałem się martwić, przypomniałem sobie, co opowiadał Tancredi. Na przykład że ten typ po otrzymaniu wezwania do sądu przyszedł pod jej dom. Co takiego powiedział? Ach, tak. Że może składać tyle doniesień, ile tylko zechce, ale i tak nic mu nie zrobi. Nikt nie odważy się go ruszyć.

I tak, kiedy już przestałem się martwić, zacząłem się wściekać. Nie potrzebowałem wiele czasu na zmianę nastroju.

- Pieprzę was, Scianatico. Ojca i syna. Pieprzę was obu. Teraz zobaczymy, czy naprawdę nic ci się nie stanie, dupku - oznajmiłem znów na głos.

Potem powiedziałem sobie, że teraz już naprawdę nad-szedł czas, żeby pójść do domu.

Ale tylko tak pomyślałem. Znak, że zamęt w głowie zaczął ustawać.

7.

Martina Fumai przyszła do kancelarii następnego wieczoru, po siódmej, razem z siostrą Claudią. Maria Teresa wprowadziła je do mojego gabinetu i wskazała dwa krzesła przed biurkiem.

Martina była bardzo ładna, miała krótkie kasztanowe włosy, staranny makijaż, jakąś tajemnicę w spojrzeniu i ruchach. Bardzo chuda. Ta jej chudość miała w sobie coś nienaturalnego, jak gdyby stosowała dietę i nie przerwała jej we właściwym momencie. Pachniała słodkimi perfumami, których użyła może trochę więcej, niż było trzeba.

Mówiła cicho i kiedy tylko usiadła, zapytała, czy może zapalić. Może, oczywiście, że może. Zapaliła więc cienkiego papierosa, którego wyjęła z białej paczki w kwiaty. Nieznanej marki. Rodzaj papierosów, których zawsze nienawidziłem. Miała zapalniczkę z podobizną Betty Boop. Pomyślałem, że musi to coś znaczyć.

Podziękowała mi, że podjąłem się jej obrony. Ja zaś oświadczyłem, że nie ma problemu - tak właśnie, użyłem wyrażenia, którego nie cierpię: nie ma problemu - a następnie wręczyłem jej do podpisania pełnomocnictwo.

Spytała, czy dobrze robi, występując z wnioskiem o oskarżenie z powództwa cywilnego.

Oczywiście, że nie. To szaleństwo. Nie wyjdziemy z tego cało. Ani ty, ani przede wszystkim ja. Wszystko przez to, że w dzieciństwie naczytałem się komiksów Teksa Willera i teraz nie potrafię się wycofać, co byłoby najinteligentniejszą rzeczą, jaką mógłbym zrobić. Jak właśnie w tym wypadku. Jak zrobili moi rozsądni koledzy.

Nie powiedziałem niczego takiego. Przeciwnie, starałem się ją uspokoić. Powiedziałem, że nie powinna się martwić, że istotnie nie będzie to łatwy proces, ale zrobimy co należy, będziemy postępować stanowczo, acz ostrożnie. I całą masę podobnych głupstw. Jutro pójdę do prokuratury, porozmawiam z prokuratorem i wezmę papiery. Powiedziałem, że na szczęście prokurator Mantovani jest poważną osobą. I to akurat było prawdą.

Oznajmiłem, że zobaczymy się ponownie, kiedy już przejrzę akta, kilka dni przed rozprawą. Wolę rozmawiać o faktach, kiedy już wyrobię sobie pogląd na to, co w nich jest.

Spotkanie trwało najwyżej pół godziny. Przez cały ten czas siostra Claudia nie powiedziała ani słowa. Przez cały ten czas wpatrywała się we mnie nieprzeniknionym wzrokiem.

Kiedy wychodziły, spojrzałem mimowolnie na jej obcisłe dżinsy. To była tylko chwila, zanim przypomniałem sobie, że jest zakonnicą i że nie tak należy patrzeć na zakonnicę.

8.

Znowu weekend.

Zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie przez przyjaciół Margherity, Ritę i Nicolę. Ekscentrycznych, ale miłych. Aby mieć więcej przestrzeni, przeprowadzili się do domu tuż za miastem, przy starej drodze prowadzącej na południe, biegnącej między brzegiem morza a polami.

Brzmi to nawet romantycznie. Dom był jednak na wpół zrujnowany, ogród przypominał ogród domu Usherów, a kilka metrów od furtki co wieczór gromadziły się dziewczyny ze wschodniej Europy, mniej lub bardziej ubrane, zależnie od pory roku. Samochody ich klientów zatrzymywały się praktycznie przed domem Rity i Nicoli. Przyjeżdżały bez przerwy, aż do późnej nocy. Niekiedy przyjeżdżała też policja albo karabinierzy. Zabierali klientów i dziewczyny. Niektóre z nich wysyłano do domu i przez kilka dni był spokój. Potem, w tygodniu, wszystko wracało do normy.

Na polach za domem grasowały stada dzikich psów i stały baraki, w których magazynowano skradziony towar. Mogę tak twierdzić z całą pewnością, ponieważ jeden z odbiorców towaru był moim klientem i pewnego razu został aresztowany w trakcie wyładowywania ciężarówki

wypełnionej skradzionym sprzętem hi-fi, który miał być umieszczony w jednym z nich.

Wydawało się, że dla Rity i Nicoli nie stanowi to większego problemu. Płacili śmiesznie niski czynsz za ponad trzysta metrów kwadratowych, na które nie mogliby sobie pozwolić w centrum. Dom pełen był najdziwniejszych przedmiotów. A podczas przyjęć najdziwniejszych osób.

Rita była malarką i wykładała na Akademii Sztuk Pięknych. Nicola prowadził księgarnię wyspecjalizowaną w New Age, filozofiiach, praktykach Dalekiego Wschodu i ezoteryzmie.

Jeden z pokojów wyposażony był w maty i lustra. Odbywały się tam wykłady na temat medytacji transcendentnej, *tai chi chuan*, *Shiatsu*, spotkania dyskusyjne na temat tybetańskiej księgi umarłych, chińskiego horoskopu i tak dalej.

Nicola był kimś w rodzaju prowincjonalnego Buddy w stylu Hanifa Kureishiego. Nie działał jednak w Londynie w latach siedemdziesiątych, lecz w Bari w roku 2000. A dokładnie między dzielnicą Iapigia a Torre a Mare.

Kiedy szykowałem się do wyjścia i myłem zęby w łazience przed lustrem, wydało mi się, że zauważyłem coś pod oczami. Coś niby lekki cień albo lekką opuchliznę. Wypłukałem szczoteczkę, odłożyłem ją na miejsce i przyjrzałem się lepiej. To były dwa leciutkie opuchnięcia, między oczami a kośćmi policzkowymi.

Wory pod oczami, pomyślałem, ni mniej, ni więcej. Niech to szlag.

Ostrożnie dotknąłem palcem jednej z tych... rzeczy. Była. Mówił mi o tym również dotyk, nie tylko wzrok.

Próbowałem ściągnąć w dół skórę, która wydawała się nie moja. Utraciła elastyczność, przestała być jędrna. Tak przynajmniej wtedy pomyślałem.

Zacząłem więc studiować swoją twarz w lustrze, zupełnie z bliska. Spostrzegłem, że mam zmarszczki: w kącikach ust, koło oczu, a przede wszystkim na czole. Długie i głębokie. Kiedy się pojawiły? Jak mogłem ich nie zauważyć?

Zacząłem się szczypać w różne miejsca na twarzy, aby zobaczyć, ile czasu potrzeba, żeby zniknęły ślady. Podczas tych badań przypomniało mi się, że kiedy byłem dzieckiem i prababka brała mnie na kolana, szczypałem ją w policzki. Ciągnąłem je w dół, a potem obserwowałem, jak skóra wraca na swoje miejsce. Bardzo wolno.

Przypomniałem sobie również szyję prababki, całą w zmarszczkach i fałdach. Obejrzałem więc własną. Była to oczywiście normalna szyja czterdziestoletniego mężczyzny, który cieszy się dobrym zdrowiem i niezłą formą fizyczną. Prababka, co nie przyszło mi do głowy, miała wówczas co najmniej osiemdziesiąt pięć lat, a może i więcej.

Już miałem zacząć żmudne poszukiwanie oznak mijającego czasu - który oczywiście minął, a ja wcale tego nie zauważyłem - kiedy zadzwonił dzwonek. Spojrzałem na zegarek i uświadomiłem sobie, że: a) Margherita jest już gotowa i dobija się do moich drzwi, sądząc prawdopodobnie, że ja też jestem gotów, skoro pora wychodzić; b) nie jestem wcale gotowy; c) może trochę idiocieję.

Poszedłem otworzyć, nie zdradzając Marghericie punktu c (i aby sama na to nie wpadła, nie spytałem nawet, czy jej zdaniem mam zmarszczki i worki pod oczami), pośpiesznie dokończyłem toaletę i po kwadransie wyszliśmy z domu. Tamtego wieczoru nie martwiłem się już mijającym czasem i jego dermatologicznymi skutkami.

Już przed domem słychać było muzykę. Instrumenty dęte i strunowe, egzotyczne tonacje, od czasu do czasu

uderzenie w gong. Wszystko, co najlepsze w wietnamskim *new wave*, wyjaśnił mi ktoś po chwili. Rodzaj muzyki, której bardzo lubię słuchać. Nawet przez pięć minut bez przerwy.

Dom był pełen dymu kadzidełek i ludzi. Część z nich wydawała się nawet prawie normalna.

Margherita niemal od razu zniknęła w dymie i tłumie gości. Wkrótce potem zauważyłem, że rozmawia z jakimś wysokim facetem, chudym, brodatym, około pięćdziesiątki. Brodacz miał na sobie nienaganny garnitur w drobną kratkę, z marynarką zapinaną na dwa guziki, i w tym towarzystwie wyglądał jak przybysz z innego świata. Nie znałem tu prawie nikogo i nie miałem wielkiej ochoty rozmawiać z tymi nielicznymi osobami, które znałem. Rzuciłem się więc natychmiast na jedzenie stojące w wielkich ilościach na stole.

Było coś, co przypominało gulasz. Okazał się jednak nie węgierski, lecz indonezyjski i nazywał się *rendang*. Było również coś, co przypominało paellę, ale nie było hiszpańskie, lecz znowu indonezyjskie i nazywało się *nasi goreng*. I jeszcze coś jakby niewinna włoska sałata. Nie była włoska - lecz raz jeszcze indonezyjska - a przede wszystkim nie była niewinna. Po spróbowaniu odniosłem wrażenie, że mam w ustach płomień wodorowo-tlenowy. Nie pamiętam dokładnie indonezyjskiej nazwy, ale w przekładzie brzmiało to mniej więcej tak: sałatka z warzyw z bardzo pikantnym sosem.

Zjadłem tak czy owak wszystko, łącznie z naleśnikami z mango w sosie kokosowym i deserem z bananów i wanilii. Naleśniki były chyba wietnamskie, ale mimo to smaczne.

Obszedłem trochę dom. Wymieniłem banalne uwagi z dziwnymi facetami. Czasami dostrzegałem Margheritę. Nadal rozmawiała z brodaczem. Zacząłem się nawet lekko

denerwować i rozejrzałem się wokół, aby znaleźć kogoś, kto poczęstowałby mnie papierosem. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że przecież przestałem palić. Nikt zresztą nie palił. Palenie jest *old age*.

Siedziałem na kanapie i wypijałem czwarty - a może piąty - kieliszek czerwonego wina z winnicy organicznej. Przypominało trochę smakiem dawne folonari, ale nie zamierzałem zbytnio tego analizować.

Obok mnie usiadła dziewczyna ubrana w stylu „rewolucja kulturalna”. Spodnie z niebieskiego płótna i marynarka-bluzka z tego samego materiału z kołnierzykiem na modłę koreańską.

Była bardzo ładna, puciołowata, zauważyłem kolczyk z brylancikiem w nosie, czarne, długie włosy, niebieskie oczy. Miała w spojrzeniu coś marzycielskiego - albo głupiego - pomyślałem. Od razu zaczęła rozmowę.

- Mnie ta wietnamska muzyka niezbyt się podoba.

A więc nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz, pomyślałem. Cieszę się. Mnie też się nie podoba, robi wręcz na mnie wrażenie, jakby ktoś drapał paznokciem po szybie. Już miałem powiedzieć coś podobnego, ale ona ciągnęła dalej.

- Bardzo lubię muzykę tybetańską. Chyba najbardziej sprzyja prawdziwej medytacji.

Aha, tak. Muzyka tybetańska. Doskonale.

- Słuchałeś kiedyś muzyki tybetańskiej?

Nie patrzyła mi w twarz. Siedziała grzecznie na samym brzegu kanapy i patrzyła przed siebie. Prosto przed siebie w nieokreślony punkt, jak umysłowo chora. Już miałem odpowiedzieć, kiedy zauważyłem, że przybieram taką samą pozę.

- Tybetańskiej? Nie jestem zupełnie pewny. Może...

- Powinieneś. Najlepiej odblokowuje czakrę, aby uwolnić przepływ energii. Kiedy tak siedzę obok ciebie,

odnoszę wrażenie, że masz intensywną aurę, wielki potencjał energetyczny, ale że nie potrafisz go uwolnić. Wypiłem kolejny duży łyk ekologicznego folonari i postanowiłem uwolnić swój potencjał energetyczny. Właśnie w tym momencie. Pomyślałem, że sama tego chciała.

- To dziwne. Mówiono mi już coś podobnego, chociaż nie tymi słowami, kiedy zacząłem się interesować astrologią druidyczną.

Odwrociła się w moją stronę i w jej oczach pojawił się cień zaciekawienia.

- Astrologią druidyczną?

- Tak. To system astrologiczny powstały na bazie ezoteryzmu, opracowany przez wielkich kapłanów ze Stonehenge.

- Aha, Stonehenge. Tego miasta w Szkocji, gdzie są dziwne konstrukcje z kamienia.

Ignorantka. Stonehenge nie leży w Szkocji, lecz w Anglii, i jak wszyscy wiedzą, nie jest miastem.

Nie powiedziałem tego. Pogratulowałem jej, że zna Stonehenge, przedstawiliśmy się sobie - nazywała się Silvana - a następnie opisałem jej zasady astrologii druidycznej. Dyscypliny, którą *ad hoc* wymyśliłem na jej cześć. Opowiedziałem jej o astrologicznych obrządkach w noc letniego przesilenia, o astralnych powinowactwach. Cokolwiek by to miało znaczyć.

Teraz Silvana była naprawdę bardzo zainteresowana. Trudno spotkać mężczyznę, który ma taką pasję i tak głęboką wiedzę, oznajmiła. Oraz taką wrażliwość.

Powiedziała wrażliwość, rzucając mi aluzyjne spojrzenie. Poszedłem zaopatrzyć się w ekologiczne wino.

- Pijesz wino? - spytała z lekką nutką dezaprobaty.

Dziewczyny New Age piją sok z marchewki i napar z pokrzywy. Naprawdę mnie rozweseliła.

- Och. naturalnie. Czerwone wino jest napojem druidycznym. To rytualny sposób osiągnięcia stanu dionizyj-skiego.

Nie kłamałem. Mówiłem, że wino służy do tego, żeby się upić. Rzeczywiście, piłem wino i zaczynałem być pijany. I tak opowiedziałem jej o niezwykłych obrzędach wróżbiarskich. To również był mój wymysł. Chodziło o odczytywanie przyszłości z łokcia, które praktykował dawny mistyczny lud Chaldejczyków. Oznajmiłem mimochodem, że znam się na tym, nie tylko na horoskopie ze Stonehenge.

Wyjaśniłem dziewczynie, jak na podstawie pradawnej tradycji chaldejskiej można odczytać z lewego łokcia przyszłe losy człowieka. Uznałem, że to coś cudownie bezsensownego, ale ona tego nie zauważyła.

Spytała natomiast, czy moglibyśmy przejść od razu do odczytania z łokcia jej przyszłości. Odpowiedziałem, że tak, zgoda. Opróżniłem kieliszek i poleciłem jej odsłonić lewe ramię.

Szczypiąc ją w łokieć - czynność niezbędna przy odczytywaniu przyszłości - dostrzegłem Margheritę. Stała przed kanapą. Bardzo blisko.

- A więc tutaj jesteś.

- Tak, od kilku minut, prawdę mówiąc. Ale byłeś, jak by to powiedzieć, trochę zajęty. Nie przedstawisz mnie swojej przyjaciółce?

Dokonałem prezentacji, a jednocześnie pomyślałem, że nagle sytuacja przestała mnie bawić. Margherita powiedziała „miło mi” - nigdy nie mówi „miło mi” - z wyrazem twarzy godnym rekina ludojada. Silvana odpowiedziała „serwus” z miną drobnej płotki.

Wówczas oświadczyłem, że może już pora wracać do domu. Margherita przytaknęła, może rzeczywiście już pora.

Pożegnałem więc moją nową przyjaciółkę Silvanę. Wyglądała na nieco zbitą z tropu.

Pożegnaliśmy się również z niektórymi gośćmi i dziesięć minut później jechaliśmy już samochodem, po prawej stronie mając morze, a przed sobą sylwetki domów przy nadmorskim bulwarze. Muszę uczciwie przyznać, że morza, domów i całej reszty nie widziałem zbyt wyraźnie, ale mimo wszystko potrafiłem utrzymać w rękach kierownicę.

- Dobrze się bawiłeś z tą dziewczyną?

Próbowałem spojrzeć Marghericie w twarz, nie tracąc z oczu drogi. Trudne zadanie.

- Daj spokój, trochę tylko żartowałem. Opowiadałem jej o druidycznym horoskopie.

- I odczytywaniu przyszłości z łokcia.

- Aha, więc słyszałaś.

- Tak, słyszałam. I widziałam.

- Cóż, chciałem tylko jakoś spędzić czas, nie robiłem przecież nic złego. W każdym razie widziałem, że się nie nudzisz z tym Rasputinem w garniturze w kratkę zapiętym na dwa guziki. Kto to był? Sekretarz stowarzyszenia filozofów?

Cisza.

- Jaki jesteś miły.

- Prawda?

- Bardzo miły. Mniej więcej jak ból głowy. - Zastanowiła się. - Nie, raczej jak ból zębów.

- Ból zębów pasuje ci bardziej?

- Tak. - Miała ochotę się roześmiać, ale się powstrzymała. - Skąd ci przychodzą do głowy podobne rzeczy? Odczytywanie przyszłości z łokcia. Jesteś wariat.

- Przychodzi mi do głowy mnóstwo rzeczy. Teraz na przykład przyszło mi do głowy kilka. Na twój temat.

- Ach, tak? Czy to coś interesującego dla kobiety?

- Tak. tak. Sądzę, że tak.

Zamilkła na chwilę. Ja usiłowałem nie spuszczać oczu z drogi, która po sporej dawce ekologicznego wina stawała się coraz mniej widoczna. Wiedziałem jednak dokładnie, jaki wyraz twarzy ma Margherita.

- Pospiesz się w takim razie, specjalisto od odczytywania przyszłości z łokcia. Jedźmy do domu.

9.

W poniedziałek rano udałem się do prokuratury.

Wszedłem do budynku sądu wejściem dla prokuratorów, personelu i adwokatów. Młody karabinier, którego nigdy wcześniej nie widziałem, poprosił mnie o dowód tożsamości. Oznajmiłem, że jestem adwokatem, a on ponownie poprosił o jakiś dokument. Oczywiście nie miałem przy sobie legitymacji, więc młody karabinier poprosił, abym wyszedł i wszedł powtórnie drzwiami przeznaczonymi dla interesantów. Wyposażone w wykrywacz metalu, na wypadek gdybym miał pod kurtką karabin maszynowy.

Albo siekiere. Wykrywacze metalu zainstalowano po tym, jak jakiś wariat wszedł do gmachu sądu z siekierą wsuniętą w nogawkę spodni. Nikt go nie skontrolował i kiedy znalazł się już w środku, zaczął rąbać wszystko jak leci. Kiedy w końcu karabinierzy złapali go i rozbroili, oświadczył, że przyszedł porozmawiać z sędzią, który skrzywdził go w procesie o spadek. Tak pewnie wyobrażał sobie apelację.

Już miałem zawrócić i wykonać polecenie karabiniera, kiedy dostrzegł mnie sierżant, który codziennie pełnił służbę w sądzie i dobrze mnie znał. Zapewnił chłopaka, że naprawdę jestem adwokatem i że może mnie przepuścić.

Hol był pełen ludzi: kobiet, dzieci, karabinierów, strażników więziennych i adwokatów, szczególnie z prowincji. Miała się właśnie odbyć pierwsza rozprawa przeciwko bandzie dilerów z Altamury. Słysząc było szmer głosów jak w teatrze tuż przed rozpoczęciem spektaklu. Pachniało jak na niektórych dworcach kolejowych albo w zatłoczonych autobusach. Albo tak samo jak na wielu innych korytarzach sądowych.

Przecisnąłem się przez tłum, szmer i zapach, dotarłem do windy i wjechałem na piętro, na którym mieściła się prokuratura.

W pokoju Alessandry Mantovani, zastępcy prokuratora krajowego, panował taki sam jak zwykle bałagan. Stosy akt na biurku, na krzesłach, na kanapie, nawet na podłodze.

Za każdym razem, kiedy wchodziłem do gabinetu prokuratora, myślałem, że cieszę się, iż wybrałem zawód adwokata.

- Witam, mecenasie Guerrieri.
- Dzień dobry, pani prokurator.

Kiedy zamknąłem drzwi, Alessandra wstała, omijając stosy akt, obeszła biurko i podeszła do mnie. Ucałowaliśmy się w policzki.

Alessandra była moją przyjaciółką, była też przystojną kobietą i prawdopodobnie najlepszym prokuratorem.

Pochodziła z Werony, lecz kilka lat temu poprosiła o przeniesienie do Bari. Przyjechała tu z biletem w jedną stronę, zostawiając bogatego męża i życie bez problemów. Przyjechała, aby być z pewnym facetem, o którym sądziła, że jest miłością jej życia. Również bardzo inteligentne kobiety popełniają głupstwa. Facet nie był miłością jej życia, lecz banalnym osobnikiem, jakich wielu. I jak wielu po kilku miesiącach banalnie ją porzucił. Została więc sama w

nieznanym mieście, bez przyjaciół, bez szansy na przeniesienie w inne miejsce. Nie narzekała jednak.

- Czy to grzesznościowa wizyta, czy też zacząłeś bronić maniaków?

Alessandra pracowała w wydziale prokuratury, który zajmował się przestępstwami na tle seksualnym. Ja z reguły nie broniłem tego typu klientów, a ponieważ w podobnych procesach oskarżenia z powództwa cywilnego należą do rzadkości, nie mieliśmy z Alessandrą wiele okazji, aby się spotykać na płaszczyźnie zawodowej.

- Tak, twój kolega z pokoju obok został przyłapany, kiedy spacerował po parku w czarnym prochowcu. Nie miał nic pod spodem. Został aresztowany przez specjalne oddziały sprzątaczy i wyznaczyl mnie na swojego obrońcę.

Kolega z pokoju obok nie cieszył się tym, co nazywamy nieskalaną opinią. Krążyły na jego temat przezabawne plotki. A także na temat licznych sekretarek, urzędniczek, maszynistek - na ogół nie najmłodszych - które przychodziły do jego pokoju poza godzinami pracy.

Pożartowaliśmy jeszcze chwilę, po czym wyjawilem przyczynę mojej wizyty.

Wziąłem sobie na głowę niezły kłopot, oznajmiła na wstępie.

Dziękuję, zdążyłem się już domyślić.

Wiedziałem oczywiście, kim jest oskarżony i kim jest jego ojciec. Oczywiście, że tak, raz jeszcze dziękuję za dodanie mi otuchy. Teraz już wiem, do kogo się zwrócić, kiedy będę miał jakiś problem i będę potrzebował moralnego wsparcia.

Jaki będzie proces? Śmierdzący, tego się spodziewałem. Śmierdzący pod każdym względem. W gruncie rzeczy słowo dziewczyny przeciwko słowu oskarżonego, przynajmniej w kwestii najpoważniejszych zarzutów. Nagabywanie przez telefon udowodniły billingi telefoniczne, ale to

drobne przestępstwo. Mamy co prawda kilka obdukcji lekarskich z pogotowia, stwierdzających lekkie obrażenia, ale kiedy podczas ich wspólnego życia zdarzyły się gorsze rzeczy, nie poszła do lekarza, aby ją opatrzył. Wstydziła się opowiedzieć, co zaszło. Zawsze tak to wygląda. Kobiety są maltretowane, a potem wstydzą się przyznać, że ich mężowie czy kochankowie to dzikie bestie.

- Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to według mnie Fumai była również gwałcona. Zdarza się to bardzo często, prawie nigdy jednak kobiety nie składają doniesień. Wstydzą się. To niewiarygodne, ale się wstydzą.

- Kto poprowadzi rozprawę?
- Caldarola.
- Fantastycznie.

Sędzia Cosimo Caldarola był smutnym i bezbarwnym biurokratą. Znałem go od ponad piętnastu lat, to jest odkąd zacząłem pracować w sądzie, i nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechnął. Jego zasada brzmiała: nie życzę sobie żadnych kłopotów. Idealnie się nadawał do takiego procesu.

- Podziel się ze mną jeszcze jedną dobrą wiadomością. Kto jest adwokatem naszego przyjaciela?

- A jak sądzisz?
- Dellisanti?
- Brawo. Zobaczysz, że nie będziemy się nudzić.

Dellisanti był dupkiem. Ale zdolnym, cholernie zdolnym. Rodzaj pitbula ważącego sto dziesięć kilo. Nie chciałem mieć w nim wroga. Słyszałem, jak przesłuchuje świadków oskarżenia, skłania ich do powiedzenia jednej rzeczy, a zaraz potem do powiedzenia czegoś dokładnie odwrotnego. A oni nawet tego nie zauważają. Wyobraziłem sobie przez chwilę moją delikatną klientkę w rękach Dellisantiego i pomyślałem, że wpadliśmy w naprawdę niezłe tarapaty.

Poprosiłem o możliwość przejrzenia akt i Alessandra Mantovani skierowała mnie do sekretariatu. Mogę tam pójść, obejrzeć akta, zamówić kserokopie tych, które będą mi potrzebne.

Po tych wszystkich dobrych wiadomościach wstałem, żeby już jej nie zawracać głowy.

- Zaczekaj - powiedziała i zaczęła czegoś szukać w szufladach biurka. Po chwili wyciągnęła zbindowany plik kserokopii. Włożyła go do żółtej koperty i wręczyła mi.

- W sprawie kserokopii akt idź do sekretariatu i zapłać za nie. Te natomiast daję ci w prezencie. Sądzę, że będzie to ciekawa lektura. Pozwoli ci wyrobić sobie zdanie na temat naszego przyjaciela.

Wziąłem kopertę i włożyłem ją do teczki. Pożegnaliśmy się i udałem się do sekretariatu po kserokopie akt. Wszystko szło mi doprawdy świetnie.

10.

W sekretariacie zacząłem wybierać akta, które mogłyby mi się przydać, lecz po chwili uświadomiłem sobie, że tracę czas, tylko żeby oszczędzić kilka groszy. Powiedziałem więc urzędnikowi, że chcę kserokopie wszystkich akt i że ma mi je przygotować jeszcze dziś rano. Zapłaciłem za prawa oraz dodatkowo za przyspieszenie sprawy i wtedy przypomniałem sobie, że nie zażądałem od pani Fumai i od jej przyjaciółki zakonnicy zaliczki.

Wróciłem do kancelarii w porze obiadowej, niosąc pod pachą gruby plik papierów.

Poprosiłem Marię Teresę, aby zamówiła mi w barze na parterze dwie kanapki i piwo i kiedy mój obiad dotarł do kancelarii, zabrałem się do pracy i do jedzenia.

W aktach nie było nic szczególnie interesującego. W skrócie wiedziałem już wszystko.

Jak powiedziała Alessandra, oskarżenie Scianatica opierało się głównie na doświadczeniach mojej klientki. Było trochę dowodów: dwa zaświadczenia lekarskie, billingi rozmów telefonicznych. W normalnym procesie mogłyby nawet wystarczyć. Ale nasz proces nie był normalny.

Przejrzałem akta, to znaczy w ciągu godziny otworzyłem teczkę, wyjąłem żółtą kopertę i zajrzałem, aby się przekonać, co w niej jest.

Był to skserowany podręcznik kryminologii, autorstwa amerykańskiego psychiatry. Mowa w nim była o typie przestępcy, z którym nie miałem nigdy do czynienia. A może miałem, tylko o tym nie wiedziałem. Chodziło o stalkera, prześladowcę.

Na pierwszych stronach autor przywoływał amerykańskie prawodawstwo, liczne prace naukowe i podręcznik klasyfikacji przestępców, jakim posługuje się FBI, aby następnie opisać prześladowcę jako kogoś, „kto podąża ukradkiem i uporczywie za swoją ofiarą i zachowuje się tak, aby wywołać w niej emocjonalny niepokój i uzasadniony lęk przed śmiercią lub poniesieniem uszczerbku na zdrowiu albo kto nieustannie śledzi i molestuje drugą osobę”.

W gruncie rzeczy, wyjaśniał autor, prześladowanie jest formą terroryzmu skierowanego przeciw pojedynczej osobie w celu nawiązania kontaktu i zdominowania jej. Jest to najczęściej przestępstwo niewidoczne, dopóki nie nastąpi wybuch przemocy, często prowadzącej do zbrodni. Wówczas na ogół interweniuje policja, jednak na ogół jest już za późno.

W dalszej części książki autor tłumaczył, że większość mężczyzn należących do kategorii prześladowców skrywa swą słabość pod stereotypową maską supersamca i jest chronicznie agresywna wobec kobiet.

Wielu prześladowców doświadczyło rozmaitych urazów w dzieciństwie. Śmierć któregoś z rodziców, wykorzystanie seksualne, krzywdy fizyczne i psychiczne i tym podobne. Jednym słowem stalkerzy charakteryzują się na ogół brakiem równowagi emocjonalnej, będącym skutkiem doświadczeń z dzieciństwa i źródłem zakłóceń w związkach z innymi. Nie potrafią przeżywać bólu w sposób normalny, odpuścić i poszukać innej więzi. Często złość wywołana porzuceniem jest formą obrony przed nawrotem

nieznośnego bólu i upokorzenia, jakich doświadczyli w dzieciństwie i jakie powracają do nich przy okazji kolejnego zawodu.

Autor twierdził, że trudno jest wyobrazić sobie ogrom lęku i przerażenia, jaki odczuwają ofiary. Groza jest tak wielka i nieustanna, że często przekracza możliwość zrozumienia ze strony kogoś, kogo to nie dotyczy.

Jeden fragment został podkreślony pomarańczowym markerem: „W miarę jak terror staje się coraz groźniejszy, życie prześladowanego/prześladowanej zamienia się w więzienie. Ofiara przemieszcza się w pośpiechu z bezpiecznego domu do bezpiecznego miejsca pracy i znów do domu, zupełnie jak więzień przenoszony z celi do celi. Często jednak nawet miejsce pracy nie jest bezpieczne. Niektóre ofiary są tak sterroryzowane, że nie mogą wyjść z domu. Żyją w izolacji, przyglądając się ukradkiem światu przez zamknięte okiennice”.

Gwizdnąłem cicho. Dokładnie to samo powiedziała siostra Claudia. *Żyje zamknięta w domu, jak gdyby to było więzienie.* Tak powiedziała i w pierwszej chwili nie zwróciłem większej uwagi na jej słowa.

Teraz zrozumiałem, że chodzi o coś więcej niż stwierdzenie faktu.

Znowu wziąłem do ręki akta i odczytałem na nowo punkty oskarżenia, na które przedtem ledwie rzuciłem okiem. Najbardziej interesujący był zarzut przemocy, czyli praktycznie prześladowania. Oprócz maltretowania, bicia i nagabywania przez telefon Scianatico oskarżony było:

...przestępstwo z artykułu 81, 610, 61, par. 1 i 5 Kodeksu karnego. Korzystając ze sprzyjających okoliczności, niepozwalających na indywidualną obronę, zmuszał Martinę Fumai (kiedy już dobiegło końca ich współżycie more uxorio, w trakcie którego dochodziło do

maltretowania opisanego w poprzednim paragrafie), stosując przemoc oraz groźby jawne i ukryte do: 1) znoszenia jego ciąglej dręczącej obecności w pobliżu domu, w pracy i w miejscach, gdzie zwykle bywała; 2) stopniowej rezygnacji z pracy i kontaktów z innymi osobami; 3) zamknięcia się w domu bez możliwości korzystania z osobistej wolności, ponieważ nie mogła wychodzić swobodnie bez narażania się na wyżej wymienione prześladowania, dokładniej opisane w kolejnych punktach oskarżenia; 4) udawania się do pracy i wracania z niej w towarzystwie osób trzecich, mających ją bronić...

Przyszło mi do głowy, że tak naprawdę nigdy się nie zastanawiałem nad tego rodzaju sytuacjami. Oczywiście zajmowałem się już wielokrotnie małżeństwami albo związkami nieformalnymi, które źle się skończyły. Oczywiście miałem do czynienia z przemocą i dręczeniem. Uważałem jednak, że są to sprawy bez większego znaczenia. Końcowy efekt historii, które źle się skończyły. Drobne akty przemocy, obelgi, powtarzające się groźby.

Fakty bez większego znaczenia.

Nie pomyślałem nigdy, jak bardzo te fakty bez większego znaczenia mogą zniszczyć życie ofiar.

Wróciłem do kserokopii, które dała mi Alessandra Mantovani.

Prześladowca zachowuje się w ten sposób, aby wywołać emocjonalny niepokój i uzasadniony lęk przed śmiercią lub poniesieniem uszczerbku na zdrowiu. Trudno wyobrazić sobie ogrom lęku i przerażenia, jaki odczuwają ofiary. Groza jest tak wielka i nieustanna, że często przekracza możliwość zrozumienia ze strony kogoś, kogo to nie dotyczy. I tak dalej.

Poczułem, że ogarnia mnie złość.

Zamknąłem więc akta, odłożyłem kserokopie i zacząłem pisać wniosek o oskarżenie z powództwa cywilnego.

11.

Margherita wyjechała na dwa dni. Do Mediolanu, służbowo.

Wróciłem zatem prosto do siebie. Miałem zamiar pół godziny potrenować. Odkąd przeprowadziłem się częściowo do Margherity, wykroiliśmy w swoim mieszkaniu kąciak do ćwiczeń, z przyrządami i workiem treningowym.

Czasami udawało mi się pójść do prawdziwej szkoły boksu, żeby poskakać przez skakankę, walić w worek, powalczyć kilka rund. I zainkasować kilka ciosów pięścią w twarz od chłopaków, którzy stali się już dla mnie za szybcy. Kiedy było zbyt późno i nie miałem czasu ani ochoty, aby pakować torbę i iść do szkoły, trenowałem sam, w domu.

Już miałem włożyć dres. Pomyślałem jednak, że jest za późno, aby trenować w domu. W dodatku byłem niemal zadowolony z wykonanej pracy - co zdarzało mi się rzadko - nie miałem zatem poczucia winy, które na ogół skłaniało mnie do okładania pięściami worka.

Postanowiłem przygotować sobie kolację. Odkąd byłem z Margheritą i często przebywałem u niej, moja lodówka i spiżarnia były zawsze dobrze zaopatrzone. Przedtem nie, ale odtąd zawsze.

Zdaję sobie sprawę, że może się to wydać absurdalne, ale tak właśnie było. Może na tym polegał mój sposób uspokajania samego siebie, że moja niezależność nie jest jednak zagrożona. A może po prostu życie z Margheritą sprawiło, że zacząłem zwracać większą uwagę na szczegóły, to znaczy na rzeczy najważniejsze.

Jednym słowem miałem pełną lodówkę i spiżarnię. W dodatku nauczyłem się gotować. To również, jak sądzę, wiązało się z Margheritą, chociaż nie umiałbym wyjaśnić dokładnie dlaczego. Ale tak było.

Zdjąłem więc marynarkę i buty i poszedłem do kuchni sprawdzić, czy mam wszystkie składniki niezbędne do przyrządzenia potrawy, która przyszła mi do głowy. Fasola, rozmaryn, dwie cebule, prasowana ikra. I spaghetti. Miałem wszystko, co trzeba.

Przed przystąpieniem do pracy wybrałem odpowiednią muzykę. Postąpiłem trochę przed półką, po czym wyciągnąłem wiersze Yeatsa z muzyką Branduardiego. Wróciłem do kuchni, kiedy słychać już było muzykę.

Zagotowałem wodę na makaron i od razu posoliłem. Robię tak zawsze, bo potem zapominam i makaron wychodzi bez smaku.

Umyłem cebule, pokroiłem i wrzuciłem na patelnię razem z oliwą i rozmarynem. Po czterech, pięciu minutach dodałem fasolę i odrobinę ostrej papryczki. Smażyłem dalej, jednocześnie wrzuciłem do wody dwadzieścia deka makaronu. Odcedziłem po pięciu minutach, ponieważ lubię, kiedy makaron jest bardzo twardy, i wrzuciłem go na patelnię do sosu. Po nałożeniu na talerz, który wypełnił się po brzegi, posypałem makaron obficie (więcej niż zaleca przepis) sprasowaną ikrą.

Jadłem, a tymczasem zrobiła się niemal północ. Wypiłem do kolacji pół butelki białego sycylijskiego wina, które miało czternaście procent i którego spróbowałem kilka

miesiący temu w enotece . Następnego dnia kupiłem dwie skrzynki.

Kiedy skończyłem, wziąłem książkę ze stosu ostatnich zakupów, jeszcze nieprzeczytanych, które trzymam na podłodze przy kanapie. Wybrałem kieszonkowe wydanie Penguin Books.

My Family and Other Animals Geralda Durrella, brata sławniejszego i o wiele nudniejszego pisarza Lawrence'a Durrella. Przeczytałem tę książkę wiele lat temu we włoskim przekładzie. Wydała mi się dobrze napisana, inteligentna, a przede wszystkim bardzo śmieszna. Jak rzadko...

Ostatnio postanowiłem, że wrócę do angielskiego - w młodości mówiłem po angielsku całkiem niezłe - zacząłem więc kupować książki autorów angielskich i amerykańskich w oryginale.

Położyłem się na kanapie i zacząłem czytać, śmiejąc się do rozpuku.

Nawet nie zauważyłem, kiedy od śmiechu przeszedłem do snu.

Sen był dobry, płynny, pogodny, śniłem, jakbym był młodym chłopakiem.

Spąłem bez przerwy aż do rana.

12.

Kiedy przyszedłem do kancelarii sądu, aby złożyć wniosek o oskarżenie z powództwa prywatnego, odniosłem wrażenie, że urzędnik mający odebrać ode mnie akta dziwnie mi się przygląda.

Byłem ciekaw, czy zauważył, w jakim procesie mam wystąpić jako oskarżyciel prywatny, i czy to z tego powodu tak na mnie patrzy. Zastanawiałem się, czy ten kancelista ma jakieś związki ze Scianatikiem ojcem, a może i z Dellisanti. Potem pomyślałem, że chyba wpadam w paranoję, i dałem sobie spokój.

Po południu zadzwonił do mojej kancelarii Dellisanti. Dzięki niemu dowiedziałem się, że jednak nie mam paranoi. Urzędnik musiał do niego zatelefonować zaraz po moim wyjściu, aby poinformować go o złożonym wniosku.

Dellisanti częściowo zawdzięczał sukces zawodowy temu, że umiał dbać o dobre stosunki z urzędnikami, asystentami i kancelistami. Prezenty dla wszystkich z okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Specjalne prezenty - albo nawet bardzo specjalne, szeptano na korytarzach - jeśli zachodziła taka potrzeba.

Nie tracił czasu na wstępy czy wielkie słowa.

- Dowiedziałem się, że zostałeś pełnomocnikiem tej Fumai.

- Wiadomości najwyraźniej szybko się rozchodzą. Masz chyba wtyczkę w kancelarii.

Kancelista był facetem wysokim i chudym. Ale Delli-santi nie zrozumiał gry słów. Albo, jeśli zrozumiał, nie docenił dowcipu.

- Oczywiście wiesz, kim jest oskarżony, prawda?

- Niech się zastanowię... tak, pan doktor Gianluca Scianatico, urodzony w Bari...

Ta rozmowa zaczęła mnie przyprawiać o wściekłość i dlatego chciałem go wyprowadzić z równowagi. Udało mi się.

- Guerrieri, nie bądźmy dziećmi. Wiesz, że on jest synem przewodniczącego Scianatica?

- Tak. Mam nadzieję, że nie zadzwoniłeś po to, żeby mnie o tym powiadomić.

- Nie, dzwonię, aby cię ostrzec, że pakujesz się w historię, z której nic nie rozumiesz i która może ci przysporzyć tylko kłopotów.

Nic nie odpowiedziałem. Chciałem się przekonać, jak daleko się posunie.

Minęło kilka sekund, zanim zdołał się opanować. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że nie powinien mówić rzeczy zbyt kompromitujących.

- Posłuchaj mnie, Guerrieri. Chcę, abyśmy się dobrze zrozumieli. Wyjaśnij ci dokładnie, o co mi chodzi.

Właśnie, pomyślałem, wyjaśnij mi dokładnie, grubasie.

- Wiesz, że Fumai jest nie zrównoważona psychicznie, prawda?

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. Była wielokrotnie w szpitalach psychiatrycznych, bo jest poważnie chora. Nie może przerwać leczenia, pozostaje cały czas pod obserwacją psychiatrów. To właśnie mam na myśli.

Teraz on się ucieszył, że zamilkłem. W moim milczeniu kryło się osłupienie. Kiedy uznał, że chyba już wystarczy, podjął tonem kogoś, kto zyskał kontrolę nad sytuacją:

- Jednym słowem chcielibyśmy uniknąć, o ile to możliwe, przykrych sytuacji. Ta dziewczyna jest chora. Miała poważne problemy, nadal ma poważne problemy. Młody Scianatico był tak głupi, że wziął ją do siebie, potem wszystko się skończyło, a ona wymyśliła swoją wersję. A ta druga wariatka, feministka w starym stylu - miał na myśli Mantovani - wzięła wszystko za dobrą monetę. Oczywiście poszedłem z nią porozmawiać, ale na nic się to nie zdało. Znając ją, mogłem się tego spodziewać.

Powstrzymałem się od spymania go, na czym polegają problemy psychiczne Martiny. Nie chciałem dać mu takiej satysfakcji.

- Nie istnieją dowody obciążające mojego klienta. Jest tylko jej słowo i zdajesz sobie chyba sprawę, ile będzie ono warte na procesie. Te akta nie powinny być w ogóle trafić na rozprawę. Powinno się to skończyć o wiele wcześniej - umorzeniem sprawy. Spróbujmy uniknąć niepotrzebnej awantury, która zaszkodzi wszystkim. Guerrieri, niczego nie sugeruję. Zbadaj wszystko sam, zasięgnij informacji, sprawdź, czy nie nagadałem głupstw. A potem porozmawiamy znowu. Jeszcze mi podziękujesz!

Przerwał, ale zaraz dodał, jak gdyby jeszcze o czymś sobie przypomniał.

- I naturalnie nie martw się o koszty. Znajdź sposób, aby się wycofać z całej tej historii, a my już pomyślimy o tym, co ci się należy za wykonaną już robotę. Jesteś dobrym adwokatem, a przede wszystkim bystrym facetem. Nie rób niepotrzebnych głupstw. To jest tylko drobna kłótnia między głupkiem a histeryczką. Naprawdę nie warto.

Powiedział do widzenia i odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

Za pierwszym razem zdarzyło się to, kiedy miałam dziewięć lat, pewnego letniego poranka.

Matka wyszła do pracy. On został w domu ze mną i moją siostrą. Młodszą o trzy lata. Został w domu, bo zwolnili go z pracy. Byliśmy w domu, ponieważ zaczęły się wakacje i nie miałyśmy gdzie pójść. Jeśli nie liczyć podwórka naszej kamienicy.

Pamiętam, że było bardzo gorąco. Teraz jednak już nie wiem, czy rzeczywiście aż tak gorąco.

Bawiłyśmy się na podwórku z siostrą i innymi dziećmi. Jakie to dziwne. Pamiętam, że grałyśmy w piłkę nożną i właśnie strzeliłam gola.

Wyszedł na balkon i zawołał mnie. Był w beżowych slipach i białym podkoszulku.

Powiedział, żebym przyszła, że czegoś potrzebuje.

Spytałam go, czy mogę skończyć grać, a on powtórzył, żebym przyszła, że za pięć minut będę mogła znowu zejść. Powiedziałam innym dzieciom, że zaraz wrócę, i wbiegłam na drugie piętro. W takich domach nie było wind.

Kiedy znalazłam się na podeście schodów, zobaczyłam, że drzwi są uchylone. Weszłam do środka i usłyszałam, że woła mnie z sypialni w końcu korytarza. Również drzwi do sypialni były uchylone.

Łóżko było nieposłane, w pokoju cuchnęło papierosami. Leżał na łóżku z rozchylonymi nogami i kazał mi podejść bliżej.

Bo chce mi coś wyjaśnić, powiedział.

Miałam dziewięć lat.

13.

Po telefonie Dellisantiiego powiedziałem Marii Teresie, żeby nikt mi nie przeszkadzał przez dziesięć minut. Zawsze czułem się trochę idiotycznie, kiedy mówiłem sekretarce, że chcę, aby nikt mi nie przeszkadzał, i to pod żadnym pozorem, ale tym razem musiałem. Oparłem stopy na biurku, splotłem dłonie na karku i zamknąłem oczy.

Wypróbowana metoda, kiedy czuję, że ogarnia mnie niepokój, i nie wiem, co począć.

Po dziesięciu minutach otworzyłem oczy, odnalazłem w papierach kartkę z numerem komórki i zadzwoniłem do siostry Claudii. Telefon zadzwonił z dziesięć razy, ale nikt nie odpowiadał, więc w końcu się rozłączyłem.

Zastanawiałem się, co w takim razie mam robić. Kiedy dzwonię na komórkę i ten ktoś po drugiej stronie nie odpowiada, zawsze odnoszę niemiłe wrażenie, że robi to celowo. To znaczy: że zobaczył numer, wie, że to ja, i z całą świadomością postanowił nie odpowiadać. Bo nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Spadek po dziecięcym braku pewności siebie, jak przypuszczam.

Zadzwoniła komórka. Siostra Claudia. Najwyraźniej chciała ze mną rozmawiać, skoro oddzwoniła po kilku sekundach.

- Tak?
- Dzwoniono do mnie z tego numeru. Z kim mówię?
- Z mecenasem Guerrierim.

Zapadło milczenie.

Oznajmiłem, że muszę z nią porozmawiać. Nie w obecności Martiny i możliwie jak najszybciej. Czy może przyjść do kancelarii, choćby dziś po południu?

Nie, dziś po południu nie może przyjść, musi zostać w schronisku. Nie ma żadnej z jej pomocnic, a nie może przecież zostawić domu bez opieki. Przebywają w nim między innymi dziewczyny skazane na areszt domowy i zawsze ktoś musi ich pilnować: na wypadek kontroli karabinierów, policji czy kogo tam jeszcze. A jutro? Jutro rano też nie. Ale w czym problem? Nie ma żadnego problemu. Albo raczej nie, problem jest, ale chciałbym pomówić o nim osobiście, nie przez telefon.

Nie wiem, jak to się stało, ale powiedziałem jej, że mogę podjechać do schroniska następnego dnia rano, bo nie mam akurat żadnej rozprawy.

Zapadło długie milczenie i zorientowałem się, że popełniłem niezłą gafę. Adresu schroniska nikt przecież nie zna, jak wyjaśnił mi na pierwszym spotkaniu Tancredi. Moja nagła nierozważna propozycja wprawiała siostrę Claudię w zakłopotanie. Albo będzie musiała mi z przykrością oznajmić, że nie możemy się spotkać w schronisku, bo nie wolno mi się tam pojawić, albo powie, żebym przyjechał, ale niechętnie, tylko dlatego, by mnie nie urazić.

Albo znajdzie jakiś wykręt. I to chyba byłoby najlepsze rozwiązanie.

- Zgoda, spotkajmy się u nas - powiedziała spokojnie, jakby oceniła sytuację i uznała, że może mi zaufać. Następnie wyjaśniła, jak mam dojechać tam, do nich.

Schronisko znajdowało się za miastem i instrukcje na temat dojazdu były bardzo zawiłe.

Wyruszyłem następnego dnia o dziesiątej rano. Potrzebowałem niemal godziny, ponieważ były korki i od czasu do czasu błądziłem. Słuchałem płyty *The Ghost of Tom Joad* i kiedy się skończyła, nastawiłem ją jeszcze raz. Wiejska droga gruntowa, którą wolno jechałem, nakładała mi się na nocne obrazy amerykańskich highwayów, gdzie pełno jest desperatów.

*Shelter line stretchin' round the corner
Welcome to the new world order
Families sleepin' in their cars in the Southwest
No home no job no peace no rest**

* Rząd baraków wydłuża się za rogiem / Witajcie w nowym porządku świata / Rodziny śpią w samochodach na Południowym Zachodzie / Ani domu, ani pracy, ani spokoju, ani odpoczynku.

W końcu dojechałem do zardzewiałej furtki, zamkniętej na zardzewiały łańcuch i ogromną kłódkę. Nie było domofonu, więc zadzwoniłem z komórki, aby mi otworzono. Wkrótce zobaczyłem Claudię, jak wyłania się zza rogu alei, spośród pinii. Otworzyła furtkę, wskazała mi miejsce, gdzie mam zaparkować, potem starannie zamknęła furtkę na kłódkę, ja zaś ruszyłem aleją z ubitej ziemi i obserwowałem Claudię w lusterku wstecznym.

Zaparkowałem na placyku za domem - który w istocie był wiejską zagrodą - i gdy wysiadłem z samochodu, siostra Claudia była już przy mnie.

Weszliśmy do środka. Pachniało czystością, zwykłym mydłem i czymś jeszcze, chyba jakimś zieleń, ale nie umiałem go rozpoznać. Znaleźliśmy się w dużym pokoju z kamiennym kominkiem na wprost wejścia, ze stołem na

środku i drzwiami po przeciwległych stronach. Siostra Claudia otworzyła jedno z nich i poszła przodem. Minęliśmy korytarz. Na końcu znajdował się kwadratowy hol. Za drzwiami był gabinet siostry Claudii: spory pokój ze starym biurkiem z jasnego drewna, komputerem, telefonem i faksem. Była też stara, duża wieża stereo z adapterem. Dwa małe fotele ze zniszczonej skóry, czarne, popękane. W kącie gitara akustyczna, oparta o ścianę. Lekki zapach kadzidelka z drzewa sandałowego.

No i półki. I książki, i płyty. Półki były pełne książek, ale panował na nich porządek. Udało mi się jedynie rzucić okiem. Tyle tylko, aby móc przeczytać niektóre tytuły po angielsku. *Why They Kill. Patterns of Criminal Omicide*. Zastanowiłem się, jak to się dzieje, że zakonnica czyta tego rodzaju książki.

Zadnego krzyża na ścianach, w każdym razie ja go nie zauważyłem. Z pewnością żaden krzyż nie wisiał nad biurkiem. Był natomiast plakat ze zdaniem wypisanym kursywą naśladującą pismo dziecka.

Dopusćcie dzieciom przychodzić do mnie, albowiem takich jest królestwo Boże.

Ewangelia według Łukasza, 18, 16*

Pismo Święte w przekładzie Jakuba Wujka.

W rogu plakatu był rysunek. Dziecko odwrócone plecami, osłaniające rękami głowę, jak gdyby chciało się obronić przed ciosami kogoś, kto stoi poza kadrem; na ziemi, na pierwszym planie, porzucony miś. To był bardzo smutny rysunek. Pod nim widniał napis przypominający logo, ale nie zdołałem go odczytać.

Siostra Claudia dała znak, żebyśmy usiadł w fotelu, a sama osunęła się lekko na drugi.

W schronisku oprócz niej były jeszcze trzy dziewczyny, dwie z nich w areszcie domowym. Dobrze się ukryły,

pomyślałem, ponieważ dom wydawał się kompletnie pusty.

- A więc? - Spojrzała na mnie pytająco.

No tak. Nie wiedziałem, od czego zacząć. W kancelarii byłoby mi łatwiej. A w dodatku nie byłem pewny, czy rzeczywiście wiem, po co przyjechałem aż tutaj. I to był jeszcze jeden problem.

- Muszę... muszę dowiedzieć się czegoś więcej o Martinie. Ze względu na zaczynający się za kilka dni proces.

- W jakim sensie czegoś więcej?

No właśnie. Martina jest może nieźrównoważona psychicznie, jest wariatką, mitomanką i wpadniemy w jeszcze większe tarapaty, niż wydawało się na początku.

- Mam na myśli... czy wiadomo siostrze, że Martina miała problemy psychiczne?

- Co to znaczy? - Ton nie był zbyt życzliwy.

- Czy była kiedyś leczona, cierpiała na depresję, wyczerpanie nerwowe, coś innego?

Czy jest wariatką?

- Dlaczego mnie pan o to pyta? Co to ma wspólnego z procesem? - Taki sam ton jak przedtem. Nawet odrobinę groźniejszy.

W porządku, nie chcesz mi pomóc. I tak na rozprawie to ja się skompromituję i kiedy już będzie po wszystkim, zacznę pracować jako adwokat od wypadków drogowych. Jak dobrze pójdzie.

Zrobiłem długą przerwę. Głęboki oddech, przez nos. W stylu: mam dużo cierpliwości, ale musisz mi, do jasnej cholery, pozwolić wykonywać mój zawód. Ona milczała. Czekwała. Zacząłem się denerwować.

- Proszę mnie posłuchać, siostrze Claudio. Proces to raczej delikatna sprawa, a przede wszystkim skomplikowana. Po to w gruncie rzeczy są adwokaci. To, że on czy ona ma rację, prawie nigdy nie wystarcza. Podczas procesu

świadków przesłuchuje prokurator i obrona. obrońca oskarżonego, przesłuchując świadka drugiej strony, usiłuje go zdyskredytować wszelkimi dozwolonymi metodami. Jeśli mam być oskarżycielem prywatnym, muszę wiedzieć, co wyciągnie adwokat Scianatica. Muszę wiedzieć, czy będą próbowali dowieść, że Martina jest niezrównoważona psychicznie, niewiarygodna, czy też coś innego. Żebym mógł zareagować.

- Nie rozumiem. Jeśli się udowodni, że on robił jej pewne rzeczy, to nie wystarczy? Co mają do tego problemy zdrowotne Martynty?

- Chciałbym wyrażać się jasno, ale najwyraźniej nie potrafię. W tym właśnie rzecz: trzeba udowodnić, że robił pewne rzeczy. A naszym dowodem są oświadczenia pani Fumai, ponieważ nie dysponujemy niemal niczym więcej. Wszystko opiera się na jej wiarygodności. Albo niewiarygodności. Oskarżony, który się broni w procesie takim jak nasz i który w dodatku ma dobrego adwokata - w tym wypadku adwokat jest bardzo dobry i niebezpieczny - musi przekonać sąd, iż domniemana ofiara...

- Domniemana ofiara?

- Dopóki w procesie nie wykaże się, że ktoś popełnił określone przestępstwo, cóż, obowiązuje domniemanie niewinności. Jeśli jest domniemany niewinny, mamy również domniemaną ofiarę. Czy się to siostrze podoba, czy nie, tak to działa.

Nie podniosłem głosu, ale byłem wyraźnie zdenerwowany.

- Martina miała problemy psychiczne - przyznała w końcu siostra Claudia.

- Jakiego typu?

- Nie wiem, czy jestem upoważniona, aby o tym mówić. Nie wiem, czy Martina chce, aby się o tym dowiedziało.

- Już się dowiedziano. To znaczy: wie już o tym Scianatico i jego adwokat. Dzwonił do mnie wczoraj po południu. Groził mi i oświadczył, że moja klientka jest obłąkana. Nie mogę nie wiedzieć o podobnych sprawach. Mogłem oczywiście porozmawiać bezpośrednio z nią. Nie da się tego uniknąć. Choćby po to, żeby jej wyjaśnić, co może się wydarzyć na procesie. Ale dobrze byłoby, aby wiedziała, o czym mówię. Wyrażam się jasno?

Oparła głowę na dłoni. Trwała tak może minutę, nie patrząc na mnie. Nie patrząc na nic.

- Martina miała problemy w dzieciństwie. Wykluczam, żeby wiedzieli coś o tych problemach. Już jako dorosła, w ostatnich latach, cierpiała na pewną formę depresji połączonej z anoreksją na tle nerwowym. Pewnie się o tym dowiedzieli.

- Kiedy to było?

- Może pięć lat temu, może trochę więcej. Co się tyczy anoreksji, chodziło o postać szczególnie, jak powiadają lekarze, ciężką. Przebywała w szpitalu i przez kilka dni trzeba było ją sztucznie odżywiać. Również za pomocą sondy.

- Czy знаła już wtedy Scianatica?

- Nie. Po szpitalu przeszła długą terapię. Kiedy spotkała tego... tego typu, była już zdrowa. Jeśli w ogóle można się wyleczyć z tego rodzaju choroby.

- Chce siostra powiedzieć, że miała nawroty?

- Nie. Przynajmniej nie w takim stopniu, żeby trzeba ją było zabierać do szpitala. W chwilach załamania ma wprawdzie problemy z jedzeniem, ale potrafi je kontrolować. Udawało jej się to nawet w najtrudniejszych chwilach związku z tym typem. W każdym razie ma lekarza, który się nią zajmuje.

- Psychiatrę?

- Psychiatrę.

Zrobiłem przerwę. Ze względów osobistych. Niespodziewanie powróciła do mnie przeszłość: wspomnienia, które odegnałem, lecz od których nie potrafiłem całkowicie się uwolnić.

- I Scianatico zna całą tę historię.

To nie było pytanie.

- Teraz sędzę, że tak.

Niewiele było do dodania. Bałem się czegoś gorszego. To znaczy: Martina nie była obłąkana, nie była schizofreniczką ani nie cierpiała na depresję maniacką czy coś w tym stylu. Miała problemy z depresją i z odżywianiem, ale zdołała z tego wyjść. Mniej więcej. Mogłem sobie z tym poradzić na procesie. Nie była to wcale idealna sytuacja - wiadomo - ale obawiałem się czegoś znacznie gorszego.

- Teraz Martiną musi mi o tym opowiedzieć osobiście. Po pierwsze dlatego, że potrzebuję więcej szczegółów, kart choroby, dokumentacji lekarskiej. Wszystkiego. A poza tym dlatego, że tak trzeba. Powie mi dokładnie, jakie ma - miała - problemy, a ja uprzedzę ją, co nam grozi w trakcie procesu. Na koniec to ona musi podjąć decyzję.

Siostra Claudia powiedziała, że dobrze, za kilka dni przyprowadzi Martinę do mojej kancelarii. Przedtem wyjaśni jej, czego potrzebuję, jak również dlaczego tego potrzebuję.

Zapanowało kilkuminutowe milczenie. Potem wstaliśmy oboje, niemal jednocześnie. Nadeszła pora, aby się pożegnać.

- Mogę zadać jedno pytanie?

Popatrzyła mi przez moment w oczy, potem przytaknęła.

- Dlaczego pozwoliła mi siostra tu przyjechać?

Przyjrzała mi się, wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała.

Wyszliśmy z domu i ruszyliśmy w stronę mojego samochodu. Ani śladu dziewczyn. Nie było nikogo. Wiatr poruszał gałęziami oliwek, obracał ich liście, przez co zmieniały barwę z zielonej na srebrnoszarą.

Szliśmy wolno. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed samochodem.

- Czasami jestem agresywna. Bez powodu.

Przyjrzałem się jej w milczeniu, ponieważ wyraźnie jeszcze nie skończyła.

- Z trudem przychodzi mi zaufać ludziom. Również tym, którzy są po słusznej stronie. To mój problem.

- Ja usiłuję wyładować agresję, walcząc na pięści. - Tak mi się powiedziało i od razu zdałem sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć dwuznacznie. - Chcę powiedzieć, że trenuję trochę boks. Chyba pomaga. Tak jak wschodnie sztuki walki.

Claudia podniosła na mnie wzrok, lekko zdumiona...

- Dziwne.

- Dlaczego?

- Jestem instruktorką chińskiego boks. No, rzeczywiście, niesamowite.

- Chińskiego boks? To znaczy *kung-fu*?

- Termin *kung-fu* nic nie znaczy. Albo raczej znaczy wszystko, ale nie oznacza żadnej konkretnej sztuki walki. *Kung-fu* znaczy mniej więcej tyle co „ciężka praca”.

Rozmowa zrobiła się nieco surrealistyczna. Przeszliśmy od problemów psychiatrycznych Martiny do sztuk walki i filozofii chińskiej, uczyniwszy krótką dygresję natury filologicznej.

Spytałem ją, czym dokładnie jest chiński boks, którego jest instruktorką. Wyjaśniła, że według legendy jest to dyscyplina opracowana w XVI wieku przez młodą chińską

mniszkę. Dyscyplina ta nosi nazwę *wing tsun*, a ona prowadzi lekcje dwa razy w tygodniu w szkole, w której można się też uczyć tańca i jogi.

Oświadczyłem, że chętnie obejrzałbym trening, ona zaś, spojrzawszy mi prosto w twarz - jakby chciała się przekonać, czy mówię poważnie, czy też powiedziałem to ot, tak, dla podtrzymania rozmowy - odparła, że kiedyś mnie zaprosi.

Teraz naprawdę skończyliśmy. Pożegnałem ją niezręcznym ruchem ręki, wsiadłem do samochodu i włączyłem silnik, podczas gdy ona otwierała bramę, abym mógł wyjechać.

Jadąc powoli bitą drogą, patrzyłem w lusterko wsteczne. Siostra Claudia nie wróciła do domu. Stała bez ruchu i wydawało się, że patrzy na mój oddalający się samochód.

A może wpatrywała się w jakiś inny, nieznanym mi punkt. Było coś w jej samotnej sylwetce, co sprawiło, że nagle posmutniałem.

Czułem się dziwnie obco. Po dziesięciu minutach znalazłem się znowu na asfaltowej drodze w zwykłym świecie.

14.

Następnego dnia rano miałem rozprawę w Lecce. Wstałem więc wcześniej, wziąłem prysznic, ogoliłem się i włożyłem jeden z tych poważnych garniturów, które wkładałem zawsze, kiedy musiałem wyjechać na rozprawę do innego miasta. Zwyczaju wkładania poważnego garnituru, na ogół ciemnoszarego, nabrałem w czasach, kiedy byłem bardzo młodym adwokatem. Zrobiłem aplikację w wieku dwudziestu pięciu lat. Wyglądałem wówczas na studenta pierwszego roku. Aby traktowano mnie jak prawdziwego adwokata, musiałem się postarzyć, tak przynajmniej sądziłem, i ciemnoszary garnitur wydawał mi się idealnym rozwiązaniem.

Po jakimś czasie w Bari, gdzie wszyscy mnie znali, szary mundur przestał być niezbędny. Również dlatego, że moja twarz studenta pierwszego roku zaczęła zdradzać pewne objawy ewolucji. Tak można by to ująć.

Nawet kiedy skończyłem czterdzieści lat, zachowałem zwyczaj wkładania szarego garnituru, kiedy wyjeżdżałem na rozprawę do innego miasta. Aby było jasne tam, gdzie mnie nie znano, że naprawdę jestem adwokatem. Co do tego ja sam zresztą wciąż miałem pewne wątpliwości.

Jednym słowem włożyłem szary garnitur, niebieską koszulę, odpowiednio dobrany krawat, wziąłem teczkę

z aktami, którą przyniosłem do domu z kancelarii poprzedniego wieczoru, i wyszedłem, postawiwszy na szafce nocnej Margherity zaparzoną kawę. Spała jeszcze, oddychając jak zwykle spokojnie i równo.

Byłem już w garażu i właśnie miałem wsiąść do samochodu, kiedy zadzwoniła komórka.

Telefonował mój kolega z Lecce, który był współbrońcą. Poinformował mnie, że sędzia zachorował i proces odroczone. A zatem nie ma sensu, abym jechał do Lecce tylko po to, aby wysłuchać wniosku o odroczenie. Istotnie, nie ma sensu, przytaknałem. Skąd jednak mógł wiedzieć o wpół do ósmej rano, że sędzia się rozchorował? Aha, dowiedział się o tym dzień wcześniej, ale miał tyle roboty, że zapomniał mnie uprzedzić. Świetnie. W każdym razie powiadomił mnie o terminie odroczenia. Ach, dziękuję, zbytek uprzejmości. No to cześć. Tak, cześć. Idź w cholerę.

Na ogół nie lubię wstawać wcześniej rano, jeśli nie jest to zupełnie konieczne. Jeśli mam ochotę obejrzeć świt - co czasami się zdarza - wolę raczej nie spać całą noc i położyć się później. Nie jest to proste, kiedy trzeba iść do pracy. Wczesne wstawanie - konieczność wczesnego wstawania - sprawia, że robię się nieco nerwowy.

I tak właśnie się stało z winy mojego kolegi z Lecce. W piękny listopadowy poranek, tuż przed ósmą, zacząłem więc krążyć po mieście. Nie miałem nic do roboty, ponieważ przez cały dzień zgodnie z programem miałem być w Lecce.

Oczywiście wiedziałem, że wkrótce ogarnie mnie niepokój i pójdę do kancelarii, będę przeglądać papiery, które wcale nie dotyczą pilnych spraw, i załatwiać zbędne telefony. Wiedziałem, że tak będzie. Wiem, co to niepokój. Czasami udaje mi się pojąć jego naturę i opanować go.

Częściej wygrywa on i zmusza mnie do robienia różnych rzeczy, chociaż wiem, że nie mają żadnego sensu. Na przykład do pójścia do kancelarii w dniu, w którym mógłbym pójść gdzie indziej i poczytać książkę albo posłuchać płyt, albo obejrzeć film w jednym z kin z porannymi seansami.

A więc miałem pójść do kancelarii, ale nie było jeszcze ósmej. Za wcześnie nawet na to, aby dać się wessać wirowi obowiązków. Pomyślałem zatem, że trochę się przejdę, choćby po nadmorskim bulwarze. Mogłem zjeść śniadanie w jednym z nadmorskich barów. Lubilem je.

Mogłem spokojnie wypalić papierosa.

Nie, co to, to nie.

Co za idiotyczny pomysł, żeby rzucać palenie, pomyślałem, idąc w stronę Corso Vittorio Emanuele.

Doszedłem prawie do zasłoniętego rusztowaniami zrujnowanego teatru Margherita, kiedy zobaczyłem idącego naprzeciw mężczyznę. Jego twarz była mi jakoś znana. Zmrużyłem oczy - nie noszę okularów, chyba że w kinie albo kiedy prowadzę samochód - i zobaczyłem, że mężczyzna uśmiecha się, a potem unosi dłoń w geście powitania.

- Guido!

- Emilio?

Emilio Ranieri. Nie widzieliśmy się od jakichś piętnastu lat. Może dłużej. Kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, po chwili wahania uściskał mnie. Po kolejnej chwili wahania odpowiedziałem na jego uścisk.

Emilio Ranieri był moim kolegą z liceum, a potem przez dwa albo trzy lata studiowaliśmy razem na uniwersytecie. Porzucił studia przed dyplomem i zaczął pracować jako dziennikarz. Najpierw w lokalnej radiostacji w Toskanii, potem w „L'Unità”, gdzie pozostał do samego końca, czyli do zamknięcia gazety.

Od czasu do czasu wspominali o nim niektórzy wspólni znajomi. Z czasem coraz rzadziej. W studenckim okresie, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, Emilio był jednym z moich nielicznych prawdziwych przyjaciół. Potem zniknął. I, w pewnym sensie, ja również zniknąłem.

- Guido. Jak się cieszę. Nic się, kurczę, nie zmieniłeś, ubył ci tylko trochę włosów.

On natomiast się zmienił. Miał wszystkie włosy, ale niemal zupełnie siwe. W kącikach oczu widać było zmarszczki, które wyglądały jak wyryte w skórze; głębokie i wskazujące na to, że wiele wycierpiał, pomyślałem. Również uśmiech był trochę inny; wyrażał lęk i poczucie przegranej.

Ja również się ucieszyłem. Byłem wręcz szczęśliwy, że go spotkałem. Mojego przyjaciela, Emilia.

- Ja też się cieszę. Co robisz w Bari?

- Pracuję tu teraz.

- Jak to pracujesz?

- Byłem bezrobotny, odkąd zamknięto „L'Unità”. Potem dowiedziałem się, że w Bari szukają pracowników, aby wzmocnić redakcję ANSY*, złożyłem podanie i przyjęli mnie. W dzisiejszych czasach można uznać, że mi się poszczęściło.

Włoska Agencja Prasowa.

- To znaczy, że jesteś tu na stałe?

- Jeśli mnie nie zwolnią. Czego nie można wykluczyć, ale postaram się dobrze sprawować.

Słuchając Emilia, poczułem dziwną, nieprzyjemną mieszaninę zadowolenia, złości i melancholii. Zdałem sobie nagle sprawę z prawdy, którą starannie ukrywałem przed samym sobą: od dawna już nie mam przyjaciela.

Może to normalne, w końcu stuknęła mi czterdziestka. Wszyscy są pochłonięci własnymi problemami: rodzina,

dzieci, separacje, kariery, kochanki. I przyjaźń staje się luksusem, na który nie mogą sobie pozwolić. Być może prawdziwa przyjaźń jest właśnie takim luksusem, dostępnym, kiedy ma się dwadzieścia lat.

A może gadam głupstwa. Pewne jest jedno: w tamtej chwili uświadomiłem sobie boleśnie fakt, że nie mam już przyjaciół.

A przecież byłem taki zadowolony, że spotkałem Emilia, zadowolony, że rozprawa została odwołana, zadowolony, że pozwoliłem sobie na godzinę wagarów.

- Chodźmy na kawę.

Chodźmy, powtórzył z tym swoim lekliwym uśmiechem. Tak niepasującym do twarzy szefa służby porządkowej FGCI * w czasach walk zarówno z faszystami, jak i z lewakami.

Młodzieżowa Federacja Włoskich Komunistów.

Usiedliśmy w małym barze na skraju Starego Miasta. Ja zamówiłem cappuccino i rogalik, Emilio tylko kawę. Zapalił MS, które palił jeszcze w liceum. To nie były papierosy ultraslim, ultralight Martiny, z których łatwo zrezygnować. Ten papieros to był kawał historii, coś jak wehikuł czasu.

Kiedy powiedziałem nie, dziękuję, robiąc gest, jakbym chciał odepchnąć paczkę, którą Emilio mi podsunął, zauważyłem na twarzy mojego przyjaciela coś w rodzaju rozczarowania.

Wspólne palenie papierosów, wiedziałem to dobrze, miało zawsze wyjątkowe znaczenie. Było rytuałem przyjaźni.

Wymieniliśmy kilka błahych zdań, jakie się wypowiada, aby odnowić kontakt, ponieważ zdążyło już minąć tyle czasu, aby wytyczyć na nowo wspólne terytorium, bo dawne przestało być nasze.

W taki sam sposób zapytałem go o żonę - nie znałem jej, wiedziałem tylko, że Emilio ożenił się sześć albo siedem lat temu ze swoją rzymską koleżanką - zadając mu stereotypowe, banalne pytanie, jakie zadaje się w okolicy czterdziestki:

- Rozwiodłeś się czy wytrzymujesz?

Poczułem, że zapada lodowate milczenie. Zanim Emilio odpowiedział, zanim jeszcze skończyłem wypowiadać słowa, których nie mogłem już cofnąć.

- Lucia nie żyje.

Scena zrobiła się czarno-biała. Niema i przygnębiająca. I nagle pozbawiona sensu.

Przyszło mi do głowy pewne zdanie Fitzgeralda, ale nie pamiętałem go dobrze. W czarnej nocy duszy jest zawsze trzecia nad ranem.

Zdanie to zmieszało się z fragmentami rozmowy, której nie było, ponieważ odbyła się w mojej głowie. Kiedy umarła? Dlaczego? Aha, miała na imię Lucia. Bardzo mi miło. Jakie piękne imię, Lucia. Przykro mi. Ile miała lat? Czy była piękna? Jak się czujesz, Emilio? Moje kondolencje. Trzeba żyć dalej. Dlaczego nikt mi nic nie powiedział? A kto miał mi powiedzieć? Kto?

Cholera, niech to szlag.

- Zachorowała i umarła po trzech miesiącach.

Spokojnym, niemal bezdźwięcznym głosem Emilio opowiedział mi historię swoją i Lucii. Trzydziestoczwolletniej kobiety, która pewnego kwietniowego dnia poszła do lekarza, aby odebrać wyniki badań, i dowiedziała się, że jej czas już niemal się skończył. Chociaż miała jeszcze tyle do zrobienia. Na przykład miała urodzić dziecko.

- Wiesz, Guido, myślisz wtedy o mnóstwie spraw. A przede wszystkim o zmarnowanym czasie. Myślisz o spacerach, na które nie poszedłeś, o wszystkich tych razach, kiedy się nie kochaliście, o tym, jak często kłamałeś. Jak

bardzo skąpiłeś uczuć. Wiem, że to banalne, ale myślisz, że chciałbyś cofnąć czas i powiedzieć jej, jak ją kochasz, za każdym razem, kiedy powinienesz być, ale tego nie zrobiłeś. To znaczy zawsze. To nie jest tylko tak, że nie chcesz, żeby umarła. Jest tak, że nie chciałbyś zmarnować czasu w ten sposób.

Mówił w czasie teraźniejszym. Bo jego czas się zatrzymał.

Opowiedział mi wszystko spokojnie. Jak gdyby chciał wyczerpać temat. Opowiedział mi, jak się zmieniła w ciągu tych kilku tygodni, jak jej twarz się skurczyła, ramiona wychudły, a dłonie zrobiły się bezsilne.

Milczałem i myślałem, że w całym moim życiu nie widziałem nigdy cierpienia w tak czystej, nieskażonej, niezmażonej formie.

Tak przesyconego rozpaczą.

Potem nadeszła pora się pożegnać.

Wstaliśmy od stolika i przeszliśmy razem kilka kroków. Emilio wydawał się spokojny. Ja nie. Wyciągnął portfel, poszukał chwilę i wyjął kwit. Z pralni samoobsługowej na żetony, jednej z tych z żółtym szyldem i amerykańską nazwą. Napisał na nim swój numer telefonu i podał mi go, ja zaś wyjąłem jedną z moich idiotycznych wizytówek. Powiedział, żebym do niego zadzwonił i że on na pewno zadzwoni do mnie.

Wydawał się spokojny. Patrzył w jakimś nieokreślonym kierunku.

Poczekiałem, aż telefon zadzwoni trzy, cztery, pięć, sześć razy. Przy każdym dzwonku rosła niecierpliwosć, wzmagał się niepokój. Już miałem się rozłączyć i spróbować zadzwonić na komórkę, kiedy po drugiej stronie usłyszałem głos Margherity.

- Tak? - powiedziała szybko, jak ktoś, kto wychodzi właśnie z domu i spieszy się do pracy. Milczałem kilka

sekund, ponieważ nagle nie wiedziałem, co powiedzieć, i czułem, że mam ściśnięte gardło.

- Kto mówi?

- To ja.

- Właśnie wychodziłam, byłam już w drzwiach. Co się stało? Jesteś już w Lecce?

- Chciałem ci powiedzieć...

- ...?

- Chciałem ci powiedzieć...

- Guido, co się stało? Dobrze się czujesz? Coś się wydarzyło?

Teraz w jej głosie słychać było lęk.

- Nie, nie. Nic się nie stało. Nie pojechałem do Lecce, rozprawa została odwołana.

Przerwałem, ale tym razem o nic nie spytała. Milczała i czekała, aż jej wyjaśnię.

- Margherita - kiedy zacząłem mówić, zdałem sobie sprawę, że nigdy nie zwracam się do niej po imieniu. - Czy pamiętasz, jak wysłałaś mi SMS...

Nie dała mi dokończyć.

- Pamiętam. Napiisałam, że spotkanie ciebie było jedną z najwspanialszych rzeczy, jakie mi się przydarzyły. Nieprawda. To była najwspanialsza rzecz.

- No właśnie, chciałem ci powiedzieć to samo. To jest niezupełnie to samo... chciałem ci powiedzieć, że... teraz nie mogę ci wytłumaczyć - jąkałem się.

- Guido, kocham cię. Tak jak nie kochałam nikogo innego w całym moim życiu.

Przestałem się jąkać.

- Dziękuję.

- Dziękuję? Jesteś dziwnym facetem.

- To prawda. Pójdziemy gdzieś wieczorem na kolację?

- Ty stawiasz?

- Tak. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia wieczorem.

Zakończyliśmy rozmowę. Stałem na rogu Corso Vittorio Emanuele i Via Sparano. Zaczęto otwierać sklepy, ciężarówki przywoziły towar, ludzie szli z pochylonymi głowami.

Dziękuję, powiedziałem raz jeszcze sam do siebie, za nim ruszyłem dalej.

15.

Następnego ranka poszedłem prosto do sądu. Miałem bronić w sprawie czerpania zysku z prostytucji.

Moją klientką była eks-modelka, gwiazda filmów pornograficznych, oskarżona o zorganizowanie siatki prostytutek. Wraz z dwiema innymi kobietami pośredniczyła między dziewczynami a klientami. Załatwiała sprawy telefonicznie i przez internet i brała prowizję od udanych transakcji. Sama prostytuowała się z nielicznymi klientami, starannie wybranymi i z grubym portfelem. Nie prowadziła domu schadzek ani niczego w tym stylu. Po prostu kontaktowała ze sobą podaż i popyt. Dziewczyny pracowały w domu, żadna nie była wyzyskiwana. Nikt nikomu nie robił krzywdy.

Z zaangażowaniem z pewnością godnym lepszej sprawy prokuratura i policja przez całe miesiące prowadziły śledztwo dotyczące tej groźnej organizacji. Czekali przed domami, dopadali klientów przy wyjściu, a przede wszystkim podsłuchiwali rozmowy telefoniczne i kontrolowali komputer.

Pod koniec śledztwa wydano nakaz aresztowania trzech organizatorek randek. W nakazie można było przeczytać, *że duża szkodliwość społeczna czynu trzech podejrzanych, ich biegłość w posługiwaniu się w celach przestępczych*

najnowocześniejszymi zdobyczami techniki (telefony komórkowe, internet, i tak dalej), odmowa rezygnacji z uprawianego procederu wymagają zastosowania dozoru zapobiegawczego w jego najsurowszej formie, to znaczy aresztu.

Nadia spędziła w więzieniu dwa miesiące; dwa następne w areszcie domowym, potem została wypuszczona na wolność. W pierwszej fazie śledztwa wybrała na obrońcę mojego kolegę. Potem przyszła do mnie, nie wyjaśniając, z jakiego powodu zmieniła adwokata.

Była kobietą elegancką i inteligentną. Tamtego ranka miałem uczestniczyć w jej procesie w trybie przyspieszonym.

Niemal wszystkie obciążające ją dowody opierały się na podsłuchu telefonicznym i kontroli komputera i wskazywały, że Nadia wraz z dwiema przyjaciółkami - jak napisano w oskarżeniu - *zorganizowała i koordynowała nieokreśloną, lecz w każdym razie liczną grupę kobiet zajmujących się prostytutcją, pośrednicząc między wyżej wymienionymi kobietami a ich klientami i pobierając za tę usługę oraz za pomoc logistyczną w uprawianiu nielegalnego procederu prowizję od zarobków prostytutek, wahając się między 10 a 20 procent. I tak dalej, i tak dalej.*

Czytając uważnie akta, zauważyłem we wniosku o zastosowanie podsłuchu błąd formalny. Zamierzałem ujawnić go na rozprawie. Jeśli sędzia przyzna mi rację, treści podsłuchanych rozmów nie będzie można wykorzystać przeciwko mojej klientce i okaże się, że innych dowodów jest bardzo mało. A w każdym razie nie tyle, żeby ją skazać.

Kiedy protokolant wymienił nazwisko Nadii, a ona odpowiedziała, że jest obecna, sędzia spojrzął na nią z wyraźnym osłupieniem. W ciemnoszarym kostiumie, białej bluzce, nienagannym i dyskretnym makijażu wydawała się

wszystkim, tylko nie dziwką. Każdy, kto wszedłby na salę sądową i zobaczył ją siedzącą obok mnie, pomyślałby, że to prawniczka, tyle że nieprzeciętnie ładna.

Po wstępnych formalnościach sędzia oddał głos oskarżycielowi. Był to młody człowiek z obojętnym i znudzonym wyrazem twarzy. Zastępował prokuratora, który prowadził śledztwo, i nie robił nic, żeby ukryć, jak bardzo się nudzi. Nie czułem do niego wielkiej sympatii.

Powiedział, że odpowiedzialność karna oskarżonej wynika jasno z akt śledztwa, że pełna rekonstrukcja faktów zawarta jest już w nakazie dozoru zapobiegawczego i że karą odpowiednią w tym przypadku, niewątpliwie poważnym, powinny być trzy lata więzienia i grzywna w wysokości dwóch tysięcy pięciuset euro. Koniec mowy oskarżycielskiej.

Nadia przymknęła na chwilę oczy i potrząsnęła głową, jakby chciała się uwolnić od jakiejś natrętnej myśli. Sędzia oddał mi głos.

- Wysoki sądzie. Moglibyśmy łatwo oprzeć obronę na kwestiach merytorycznych, rozważając punkt po punkcie wyniki śledztwa i wykazując, że w żadnej mierze nie mamy do czynienia z wyzyskiem czy choćby z nakłanianiem do prostytutki.

To nie była prawda. Rozważając punkt po punkcie wyniki śledztwa, z całą pewnością można było dojść do wniosku, że Nadia *zorganizowała i koordynowała nieokreśloną, lecz w każdym razie liczną grupę kobiet zajmujących się prostytutką*. No właśnie.

My, adwokaci, mamy jednak odruch warunkowy. Tak czy owak klient jest niewinny i kwita. Nie potrafimy myśleć inaczej.

- Ale zadaniem obrony - kontynuowałem - jest przedstawić wysokiemu sądowi wszelkie aspekty sprawy, aby umożliwić mu podjęcie szybkiej i właściwej decyzji.

Wyjaśniłem, co rozumiem przez szybką i właściwą decyzję. Wyjaśniłem, że wyniki podsłuchu nie nadają się do wykorzystania, ponieważ niektóre nakazy były zupełnie nieuzasadnione. Brak uzasadnienia jest podstawowym błędem, jeśli chodzi o nakaz podsłuchu. Powiedziałem, że skoro treść podsłuchanych rozmów nie nadaje się do wykorzystania - a nie nadaje się - na niekorzyść mojej klientki przemawiają jedynie przypuszczenia, i tak dalej, i tak dalej. Tymczasem sędzia przeglądał akta.

Kiedy skończył, przeszedł do sali narad i pozostał tam niemal przez godzinę. Potem wrócił i odczytał wyrok uniewinniający.

Brawo, Guerrieri, pomyślałem. Pożegnałem się bardzo wylewnie - my, adwokaci, zawsze żegnamy wylewnie sędziów, kiedy uniewinniają naszych klientów - i wyszedłem z sali razem z Nadią.

Miała zaczerwienione policzki, jak ktoś, kto przebywa w przegrzonym pomieszczeniu albo bardzo się denerwuje. Wyjęła paczkę złotych marlboro i zapaliła.

- Dziękuję - powiedziała, kilka razy łapczywie zaciągnąwszy się dymem.

Kiwnąłem skromnie głową. Ale byłem bardzo zadowolony.

Powiedziała, że przyjdzie po południu do kancelarii. Aby uregulować rachunek. Potem, przyjrawszy mi się przez kilka sekund, spytała, czy może mi zadać pytanie. Oczywiście, że może, odparłem.

- Jest pan doskonałym adwokatem, o ile się na tym znam. Ale jest pan też kimś więcej. Uprawiam zawód, dzięki któremu nauczyłam się rozpoznawać mężczyzn na poziomie. A spotkałam ich niewiele, bardzo niewiele. Miałam przed panem dwóch adwokatów. Obaj zażądali ode mnie dodatkowej zapłaty, już w kancelarii, ledwie zamknęli

drzwi na klucz. Myślę, że dla nich to było czymś normalnym, w gruncie rzeczy jestem dziwką, więc...

Zaciągnęła się głęboko papierosem, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć.

- No właśnie. Nie tylko doprowadził pan do uniewinnienia mnie, ale potraktował z szacunkiem. Nigdy panu tego nie zapomnę. Kiedy przyjdę do kancelarii, przyniosę panu książkę. Oprócz pieniędzy, oczywiście.

Uścisnęła mi rękę i odeszła.

Postanowiłem pójść wypić kawę albo coś zimnego. Czulem się lekko, jak w czasie studiów po zdanym egzaminie. Albo po wygranej procesie. No właśnie.

W korytarzu prowadzącym do baru zobaczyłem Dellisantiego w otoczeniu grupki stażystów, młodych adwokatów i sekretarek. Po jego telefonie nie rozmawialiśmy więcej.

W pierwszym odruchu chciałem zawrócić, wyjść z gmachu sądu i pójść na kawę do baru naprzeciwko. Żeby uniknąć spotkania. Zwolniłem kroku i niemal przystanąłem, kiedy w mojej głowie rozległ się donośny głos: „Zupełnie skretyniałeś? Boisz się tego pyszałka i jego bandy fagasów? Wypijesz kawę, gdzie ci się podoba, a oni niech się pieprzą”. Słowo w słowo. Czasami mi się zdarza.

Przyspieszyłem więc, wyprzedziłem Dellisantiego i jego świtę, udając, że ich nie dostrzegam, i wszedłem do baru.

Podszedł do mnie przy kontuarze, kiedy zamawiałem sok z pomarańczy.

- Cześć, Guerrieri - zasyczał jak żmija.

Odwrociłem się, jak gdybym dopiero w tej chwili go dostrzegł.

- Ach, cześć, Dellisanti.
- Co masz mi do powiedzenia?
- W jakiej sprawie?
- Sprawdziłeś moje informacje? Na temat tej pani oczywiście.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Za nic nie chciałem sprawić satysfakcji facetowi, który tak dobrze wiedział, jak wyprowadzić z równowagi rozmówcę. Bez dwóch zdań.

Powinienem był mu powiedzieć, żeby zajął się obroną swojego klienta. Oskarżonego o poważne przestępstwa. Ja pomyślę o obronie mojej klientki. Osoby, która padła ofiarą poważnych przestępstw.

Powinienem był mu powiedzieć, żeby nigdy więcej nie próbował rozmawiać ze mną przez telefon i że postaram się wybić mu z głowy podobne pomysły.

Jednym słowem powinienem udzielić twardej, męskiej odpowiedzi.

Zamiast tego napomknąłem, że nie jest tak, jak się wydaje, a w każdym razie sprawy wyglądają inaczej, niż mi przedstawił. I że nie mogę się wycofać w kilka dni po wyrażeniu zgody. Bez wiarygodnego pretekstu, czegokolwiek. Może za kilka tygodni albo kilka miesięcy, zobaczymy, jak będzie przebiegał proces, wtedy możemy powrócić do tematu.

Jednym słowem była to odpowiedź tchórza.

- W porządku, Guerrieri. Powiedziałem ci, co miałem do powiedzenia. Zrobisz, jak uważasz. Każdy bierze odpowiedzialność za swoje czyny i płaci za nie.

Odwrocił się i odszedł. A wraz z nim cała świta, w zwanym szyku. Idealnie wytresowana.

Potrząsnąłem głową jak pies po wyjściu z wody, po czym podszedłem do kasy, żeby zapłacić.

- Mecenase Dellisanti już zapłacił - powiedział kasjer.

Chciałem odparować, że za mój sok zapłacę sam albo coś w tym guście. Pomyślałem jednak, że lepiej się nie ośmieszać.

Jeśli to tylko możliwe.

Kiwnąłem więc potakująco głową, powiedziałem do widzenia i wyszedłem.

Dobry humor po wygranym procesie zniknął.

16.

Martina i siostra Claudia przyszły do kancelarii na dzień przed rozprawą.

Nie od razu przystąpiłem do rzeczy. Krążyłem trochę wokół, jak zawsze. Najpierw powiedziałem Martinie, że nie musi stawiać się nazajutrz w sądzie. Na tej rozprawie będą rozpatrywane tylko kwestie wstępne, wnioski o dopuszczenie materiału dowodowego. Wystarczy, że ja będę.

Nie ma potrzeby, żeby z tego powodu nie szła do pracy, oznajmiłem.

Nie ma potrzeby, żeby się przestraszyła bardziej niż to konieczne, pomyślałem.

Przyjdzie tylko na rozprawę, w czasie której będziemy musieli ją przesłuchać, prawdopodobnie za kilka tygodni.

Spytała, co dokładnie będzie się działo na rozprawie. No właśnie. W tym rzecz.

Powiedziałem jej, co się będzie działo, i zrobiłem to najostrożniej, jak potrafiłem.

Będzie przesłuchiwana najpierw przez prokuratora, potem ja również zadam jej kilka pytań. Na koniec przyjdzie kolej na obronę.

- Potem nastąpi część najbardziej... skomplikowana. Oskarżenie opiera się głównie na pani słowach, więc cel

adwokata Scianatica jest bardzo prosty: zdyskredytować panią. Spróbuje to zrobić wszelkimi sposobami. Spróbuje wykazać sprzeczności w pani zeznaniach, spróbuje panią sprowokować i wyprowadzić z równowagi. Na pewno nie zachowa się uprzejmie, a jeśli tak, to tylko po to, żeby uspić pani czujność.

Zrobiłem przerwę, po czym przeszedłem do tego, co najgorsze. Spojrzałem jej prosto w oczy. Wyglądała na spokojną. Trochę rozkojarzoną, ale spokojną.

- Wyciągnie pani problemy zdrowotne, Martino. Wyciągnie historię ze szpitalem i fakt, że miała pani problemy... psychiczne.

Martina miała wciąż ten sam wyraz twarzy. Może tylko nieco bardziej niepewny.

Może. Niemal od razu jednak poczułem zapach. Intensywny i kwaśny.

Zawsze potrafię wyczuć zapach człowieka, rozpoznać go, zauważyć, kiedy się zmienia.

W dzieciństwie, kiedy wchodziłem do windy, zawsze potrafiłem odgadnąć, kto z sąsiadów jechał nią przedtem. Potrafiłem również nazwać te zapachy. Mieszkała na przykład w naszej kamienicy kobieta, która pachniała zupą fasolową. Smutna dziewczyna, blada i w okularach, pachniała starym papierem i kurzem. Właściciel sklepu z wędlinami zostawiał w windzie gęsty i ciepły zapach, który wypełniał przestrzeń i wzbudzał niepokój. Wiele lat później poczułem taki sam zapach w jakimś sklepie w Istambule. Był tak podobny, że przez chwilę pomyślałem, że zaraz zjawi się niespodzianie pan Curci ze swoim grubym karkiem, małą głową i krótkimi i potężnymi ramionami. Minęło kilka sekund, zanim się uwolniłem od tych zapachowych skojarzeń i przypomniałem sobie, że pan Curci umarł dziesięć lat wcześniej, kiedy mieszkałem jeszcze z rodzicami. Nie mógł więc wędrować po sklepach w Istambule.

Często rozpoznaję po zapachu, czy kobieta jest niedysponowana. Na ogół nie rozpowiadam tego wokół, bo nie jest to z pewnością ten rodzaj informacji, na którym zależy kobietom.

Potrafię wyczuć i rozpoznać zapach strachu. Jest bardzo brzydki, zjełczały i pierwotny. Czuję go wielokrotnie na komisariatach policji, na posterunkach karabinierów, w więzieniach, kiedy przesłuchiwałem klientów. Tych najbardziej zrozpaczonych, najsłabszych, albo tylko najbardziej tchórzliwych, kiedy pojmują, że naprawdę wpadli w tarapaty albo że nie mają wyjścia.

Za pierwszym razem przydarzyło mi się to, kiedy zostałem adwokatem i broniłem z urzędu mężczyzny oskarżonego o zabójstwo. Wezwano mnie na komendę w nocy, ponieważ musieli go pilnie przesłuchać. Podobno zasztyletował pewnego osobnika, który na krótko przedtem pobił go w barze. Podobno był świadek, który go widział. Mężczyzna ten - wąskie, nieco przygarbione ramiona, zagubiony wyraz twarzy drobnego rzezimieszka - bronił się, zaprzeczając wszystkiemu. To nieprawda, nieprawda, nieprawda, powtarzał monotonnym głosem i potrząsał głową. Prosił, aby skonfrontowano go ze świadkiem, który się myli i z pewnością zda sobie sprawę z pomyłki, kiedy tylko na niego spojrzy. Był przekonujący w tej swojej prostej linii obrony i ogarnęły mnie wątpliwości, czy policjanci przypadkiem nie popełnili błędu. Sądzę, że wątpliwości ogarnęły również zastępcę prokuratora, który go przesłuchiwał.

Potem nastąpił niespodziewany zwrot. Do pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie, weszło dwóch policjantów. Jeden z nich trzymał przezroczystrą foliową torebkę, w której widać było duży nóż typu rambo, z ostrzem wymazanym krwią. Obaj policjanci przypominali koty niosące w pyskach myszy. Pomachali torebką przed oczami mężczyzny.

- Teraz już jesteś załatwiony, dupku. Byłoby lepiej, gdybyś sam pomógł nam go znaleźć. Już nie potrzebujemy twojego przyznania się do winy. Na tym nożu jest więcej odcisków palców niż w całym archiwum komendy. I wszystkie są twoje.

Łatwo było odgadnąć, że policjant chętnie dołączyłby do słów parę siarczystych policzków. Ale niestety jest to zabronione - musiał pomyśleć - w obecności prokuratora i adwokata.

Nie pamiętam dokładnie, co się stało potem. Na pewno mężczyzna przestał zaprzeczać i wkrótce przyznał się do popełnienia zbrodni. Ale nie pamiętam dobrze całego ciągu zdarzeń - co powiedział, o co pytał go prokurator, co ja oświadczyłem, aby nadać sens mojej zbędnej obecności. W tej sytuacji nie miało to znaczenia. Dobrze natomiast pamiętam zapach, który wkrótce wypełnił mały pokój. Silniejszy od smrodu dymu papierosowego, od zapachu ludzkiego ciała, papieru, kurzu, resztek kawy w plastikowych kubkach.

To był zapach kwaśny, natrętny i trochę nieprzyzwoity. Dla mnie po tamtej nocy nie do pomylenia z żadnym innym.

Kiedy tylko powiedziałem Martinie, że adwokat Scianatica będzie grzebał w jej prywatnych sprawach, poczułem znany mi zapach. Niezbyt silny, ale niewątpliwie ten sam. I nie było to przyjemne. Próbowałem nie zwracać na niego uwagi i zacząłem jej udzielać instrukcji, jak powinna się zachować.

- Jak mówiłem, będzie próbował panią sprowokować. A więc pierwsza zasada: nie dać się sprowokować. Do tego właśnie zmierza, a my musimy go powstrzymać.

- Jak... jak może próbować mnie sprowokować?
- Tonem głosu, insynuacjami, agresywnymi pytaniami.

Zamilkłem na chwilę, aby złapać oddech i spojrzeć na siostrę Claudię. Wyraz twarzy miała równie obojętny jak posąg z Wyspy Wielkanocnej.

- Aluzjami do pani problemów... jak mówiłem.

- Ale co moje problemy mają wspólnego z procesem?

No właśnie, co mają wspólnego? Dobre pytanie. Jeśli potrzebowałeś psychiatry, nie możesz być świadkiem? A adwokatem? Możesz być adwokatem? Zastanowiłem się, zanim odpowiedziałem, przypominając sobie trudne momenty z własnej przeszłości.

- Abstrahując od pani sprawy, powtarzam, abstrahując, okoliczność, że świadek miał jakiś... problem zdrowotny, może okazać się istotna dla oceny jego wiarygodności, zdolności odtworzenia przebiegu wypadków i tak dalej. W tym wypadku zaś obaj - to znaczy ja i prokurator - będziemy bardzo uważać, żeby nie dopuścić do żadnych nadużyć. Nie byłoby jednak dobrym pomysłem zgłaszać sprzeciw przy każdym pytaniu dotyczącym pani kłopotów ze zdrowiem...

Problem zdrowotny. Kłopoty ze zdrowiem. Pomyślałem, że dokonuję tych słownych akrobacji, żeby nie nazwać rzeczy po imieniu.

- ...kłopotów ze zdrowiem, ponieważ mogłoby się wydawać, że mamy coś do ukrycia. A więc mój pomysł jest następujący, jeśli panie... jeśli pani się zgadza. Uprzedźmy ten ruch. Kiedy przyjdzie moja kolej, żeby panią przesłuchać, ja pierwszy o to zapytam. Szpital, leczenie psychiatryczne i tak dalej. W ten sposób spokojnie ujawnimy całą historię, pokażemy, że nie mamy nic do ukrycia, nie damy się zaskoczyć i uprzedzimy próbę wpłynięcia na sędziego. Co pani o tym sądzi?

Martina odwróciła się do siostry Claudii. Potem spojrzała znowu na mnie i bez przekonania kiwnęła głową. Zapach zrobił się ostrzejszy, zastanawiałem się, czy siostra

Claudia go czuje. Jeśli go czuła, nie można było tego odgadnąć z jej twarzy. Niczego nie można było odgadnąć z jej twarzy. Mówiłem dalej:

- Naturalnie musi mi pani opowiedzieć wszystko szczerze.

Zapaliła papierosa. Rozejrzała się wokół, jakby szukała czegoś na półkach, na biurku albo za oknem.

Potem opowiedziała mi wszystko. Zwyczajną historię, jak wiele innych.

Problemy z jedzeniem od wczesnej młodości. Problemy z nauką na uniwersytecie. Wyczerpanie nerwowe z powodu egzaminu, którego nie potrafiła zdać. Depresja, anoreksja, pobyt w szpitalu. A potem powolny powrót do zdrowia. Lekarstwa, psychoterapia. Spotkanie z pielęgniarką, która pracowała również jako wolontariuszka w Safe Shelter. Spotkanie z siostrą Claudią, praca w schronisku dla kobiet. Wreszcie dyplom uniwersytecki. Praca.

Spotkanie ze Scianatikiem.

I cała reszta, którą już po części znałem. Powiedziała mi także o kilku sprawach, o których nie wiedziałem, o swoim życiu ze Scianatikiem i o pewnych jego zachowaniach. O sprawach bardzo nieprzyjemnych, które może uda mi się wyciągnąć podczas procesu, jeśli tylko znajdę na to sposób.

Opowiedziała także co nieco o swojej rodzinie. O matce niewiele. I o młodszej siostrze, która była zamężna i miała dziecko. O ojcu nic nie powiedziała i przyszło mi na myśl, że nie żyje. Nie zapytałem jej jednak oto.

Opowiadała przynajmniej trzy kwadranse. Wydawała się trochę spokojniejsza, jak gdyby pozbyła się jakiegoś ciężaru. W końcu powtórzyła raz jeszcze, że nie bierze żadnych lekarstw przynajmniej od czterech lat.

Miejmy nadzieję, że nie będzie musiała ich brać po procesie, pomyślałem.

- Mogę pana o coś spytać? - odezwała się, zapaliwszy kolejnego papierosa.

- Proszę.

- Czy on będzie na sali, kiedy będą mnie przesłuchiwać?

- Nie wiem. Ma prawo przyjść albo nie przyjść. Dowiemy się dopiero w dniu rozprawy. Ale pani powinno być obojętne, czy jest, czy go nie ma.

- Ale czy on też będzie mógł zadawać mi pytania?

- Nie. Pytania może pani zadawać tylko jego adwokat.

À propos, proszę zapamiętać: kiedy będzie panią przesłuchiwał, a pani będzie odpowiadać, proszę na niego nie patrzeć. Niech pani patrzy na sędziego, niech pani patrzy przed siebie, ale nie na niego. Proszę pamiętać, że nie może pani wejść z nim w konflikt, a będzie łatwiej, jeśli nie będzie mu pani patrzeć prosto w twarz. Jeśli nie zrozumie pani dobrze jakiegoś pytania, niech pani nie próbuje odpowiadać. Grzecznie, nie patrząc na niego, niech pani powie, że nie rozumiała i prosi o powtórzenie. A jeśli ja albo prokurator zgłosimy sprzeciw wobec jakiegoś jego pytania, proszę się wstrzymać, nie odpowiadać i zaczekać, aż sędzia zadecyduje, co zrobić. Wszystko powtórzę pani jeszcze raz w przeddzień rozprawy, ale proszę spróbować już dzisiaj to zapamiętać.

Spytałem, czy chcą się jeszcze czegoś dowiedzieć. Martina potrząsnęła głową. Siostra Claudia przyglądała mi się przez chwilę. Potem uznała, że to nie pora na zadawanie pytań. I również potrząsnęła przecząco głową.

- A więc wszystko w porządku. Zadzwoń jutro po południu, żeby opowiedzieć paniom, jak poszło - obiecałem, odprowadzając je do drzwi.

Wcale nie byłem przekonany, że wszystko w porządku.
Kiedy wyszły, otworzyłem szeroko okna, chociaż na
dworze było zimno. Żeby wywietrzyć pokój.
Żeby się pozbyć kwaśnego zapachu strachu.

17.

Zamknąłem kancelarię, wróciłem do domu, zjadłem kolację z Margheritą i kiedy mieliśmy iść spać, powiedziałem, że pójdę do siebie. Muszę jeszcze popracować, sprawdzić niektóre papiery potrzebne na jutrzejszą rozprawę, więc będę siedzieć do późna w nocy, a nie chcę jej przeszkadzać.

Prawdą było jedynie to, że nie chciałem jej przeszkadzać. Są takie wieczory, kiedy wiesz, że czeka cię bezsenna noc. Nie żeby pojawił się jakiś specjalny znak, wyraźny i niepozostawiający wątpliwości. Po prostu wiesz, że tak będzie. Tamtego wieczoru wiedziałem. Wiedziałem, że położę się do łóżka i będę leżeć, nie mogąc zasnąć przez godzinę albo dłużej. Potem będę musiał wstać, bo nie można przecież leżeć w łóżku w bezsenną noc. Będę krążył po domu, poczytam coś w nadziei, że ogarnie mnie senność, włączę telewizor i wykonam wszystkie inne rytualne czynności. Nie chciałem, aby przydarzyło mi się to u Margherity. Nie chciałem, żeby widziała mnie chorego, choćby tylko na okazjonalną bezsenność. Wstydzilem się.

Kiedy powiedziałem, że wracam do siebie, aby popracować, spojrzała mi prosto w oczy.

- Teraz będziesz pracować?

- Tak, mówiłem ci, jutro zaczyna się proces. Będzie mnóstwo wstępnych formalności, to trudna sprawa, muszę jeszcze raz wszystko sprawdzić.

- Jesteś jednym z najmarniejszych kłamców, jakich kiedykolwiek spotkałam.

Milczałem kilka sekund.

- Najmarniejszych, tak?

- Najgorszych.

Wzruszyłem ramionami i pomyślałem, że kiedyś potrafiłem doskonale kłamać. Przy niej jednak straciłem wprawę.

- Na czym polega twój problem? Jeśli chcesz być sam, wystarczy powiedzieć.

Właśnie, wystarczy powiedzieć.

- Dziś w nocy chyba nie zasnę, więc nie chcę, żebyś ty też nie spała.

- Nie zaśniesz? Dlaczego?

- Nie zasnę. Nie wiem dokładnie dlaczego. Czasami mi się to zdarza. To znaczy, że wiem z góry.

Spojrzała mi znowu prosto w oczy, ale wyraz jej twarzy już się zmienił. Zastanawiała się, na czym polega problem, skoro nic jej nie powiedziałem, a może wręcz sam nie mam o tym pojęcia. Zastanawiała się, czy może coś jeszcze zrobić. W końcu doszła do wniosku, że tego wieczoru, tej nocy nic już nie poradzi. Położyła mi więc rękę na ramieniu, ścisnęła je lekko, a potem szybko mnie pocałowała.

- Zgoda, dobranoc, zobaczymy się jutro. Ale jeśli będziesz śpiący, połóż się, nie bacząc na wierność zasadom.

Kiedy wychodziłem, towarzyszyło mi nieokreślone i dojmujące poczucie winy.

Potem wszystko odbyło się zgodnie ze scenariuszem. Przez godzinę wierciłem się na łóżku w głupiej nadziei, że

mylnie zinterpretowałem ostrzegawcze znaki. Ponad godzinę spędziłem przed telewizorem i obejrzałem od początku do końca *Wilka z Sewilli* z Amedeo Nazzarim, Silvana Mangano i Vittorioem Gassmanem.

Mnóstwo niekończących się minut upłynęło mi na czytaniu *Minima Moralia*. W nadziei, do której nie przyznałem się przed samym sobą, bo inaczej sztuczka by się nie powiodła, że znudzę się tak bardzo, że ogarnie mnie przemożna senność.

Zdrzemnąłem się lekko - to był męczący stan pół snu, pół jawy - dopiero kiedy słabe światło i lekki, monotony szum deszczu zaczął docierać przez okiennice i zapowiadać nadchodzący dzień.

Przeszedłem przez miasto w deszczu, usiłując osłonić się składanym parasolem kupionym kilka tygodni wcześniej u Chińczyka. Jak zwykle przy drugim użyciu - właśnie tamtego ranka - parasol się popsuł, a ja zmokłem. Kiedy tuż przed wpół do dziesiątej dotarłem do gmachu sądu, nie byłem w najlepszym humorze.

18.

Do sali, w której rozprawy prowadził Caldarola, wchodziło się w połowie korytarza. Jak zwykle w dniu posiedzenia sądu zamęt był ogromny. W dużej grupie stali oskarżeni z adwokatami, policjanci i karabinierzy, którzy mieli zeznawać, paru emerytów, którzy zamiast grać w karty w parku, spędzali niekończące się poranki na przysłuchiwaniu się procesom. Znałem już ich wszystkich, a oni znali i pozdrawiali mnie.

Kilka metrów dalej stali ludzie z karteczkami w rękach, zagubieni, wyglądający, jakby woleli być gdzie indziej. Słusznie. Byli świadkami, na ogół ofiarami przestępstw. Na karteczkach było napisane, że mają stawić się przed sędzią i że *w wypadku niestawienia się z nieuzasadnionego powodu zostaną doprowadzeni siłą przez policję sądową i skazani na uiszczenie...* i tak dalej, i tak dalej.

W najlepszym razie czekało ich nowe doświadczenie. Doświadczenie, które nie miało zwiększyć ich zaufania do wymiaru sprawiedliwości.

Między tymi dwiema grupami przeciskali się nieustannie asystenci z wózkami i stosami akt, oskarżeni szukający swojej sali i swojego adwokata, policja więzienna towarzysząca więźniom skutym kajdankami, o twarzach

poczerniałych i zrozpaczonych, wytatuowani zbóje zachowujący się jak stali klienci trybunałów i komisariatów, inne podejrzane typy, chociaż po chwili można było spostrzec, że to policjanci z wydziału do walki z drobną przestępczością, młodzi adwokaci, opaleni, choć lato dawno minęło - wysokie kołnierzyki, grube węzły krawatów - i zwykli ludzie, którzy przyszedli do sądu z najrozmaitszych powodów. Niemal nigdy nie chodziło o coś przyjemnego.

Wszyscy chętnie poszliby sobie jak najszybciej. Ja również.

Na ławce ze wzrokiem wbitym w brudną ścianę siedziała siostra Claudia. W tej samej co zawsze kurtce z czarnej skóry i spodniach bojówkach z dużymi kieszeniami. Nikt obok niej nie usiadł. Wszyscy trzymali się w pewnej odległości. Bezpieczna odległość - wydało mi się przez chwilę, że taki napis pojawił się na jej czole.

Nie wiem, jak mnie dostrzegła. Wydawało się, że wbija wzrok w ścianę naprzeciwko, ja zaś nadszedłem z boku, przeciskałem się przez tłum. W każdym razie kiedy znalazłem się w odległości pięciu, sześciu metrów od niej, odwróciła głowę, jakby posłuszna jakiemuś milczącemu nakazowi, i wstała tym swoim płynnym i groźnym ruchem drapieznika.

Zatrzymałem się kilkadziesiąt centymetrów przed nią. Wtargnąłem w przestrzeń, w którą inni nie śmieli się zapuścić. Powitałem ją skinieniem głowy, a ona odpowiedziała tym samym.

- Dlaczego siostra przyszła?

Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że dostrzegam na jej twarzy cień zakłopotania. I jakby się odrobinę zaczerwieniła. Na krótką chwilę, a może tylko mi się wydawało. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał jak dawniej, był twardy jak stal.

- Martina nie przyjdzie. Sam jej pan tak poradził. Przyszłam więc ja, żeby zobaczyć, jak przebiega rozprawa, i później wszystko jej opowiedzieć.

Pokiwałem głową i powiedziałem, że możemy wejść na salę. Posiedzenie miało się wkrótce rozpocząć i lepiej było być w środku, żeby usłyszeć, kiedy zacznie się nasza rozprawa. W tym momencie uzmysłowiłem sobie, że nie widziałem jeszcze Scianatica ani nawet Dellisantiego.

19.

Siostra Claudia usiadła przy balustradzie odgradzającej przestrzeń dla publiczności od miejsca, gdzie siedzą adwokaci, oskarżeni, prokurator, protokolant, sędzia. Gdzie, jednym słowem, toczy się proces.

Wytłumaczyłem jej krótko, co się wkrótce stanie, a następnie podszedłem do protokolanta, który siedział już na swoim miejscu przed dwoma stosami akt: rozpraw, które teoretycznie powinny się odbyć podczas tego posiedzenia.

Teoretycznie. W praktyce rozprawa może zostać zawieszona, odroczone na żądanie obrony albo „z powodu zbyt dużej liczby spraw przewidzianych na dzisiejsze posiedzenie”. W praktyce sędzia orzeka w nie więcej niż trzech czy czterech sprawach.

Caldarola sądził, że nadmiar pracy uwłacza godności sędziego.

Poprosiłem protokolanta, żeby pozwolił mi rzucić okiem na akta. Chciałem sprawdzić listy świadków oskarżenia i obrony. Ja sam nie przedstawiłem listy, ponieważ założyłem, że Alessandra Mantovani wskazała wszystkich ważnych świadków.

Protokolant podał mi akta. Wziąłem je pod pachę i usiadłem na jednej z ławek przeznaczonych dla adwokatów. Wszystkie były jeszcze puste, choć przed salą kłębił się tłum.

Zgodnie z przewidywaniami Mantovani wskazała wszystkich niezbędnych świadków. Martineę oczywiście, inspektora policji, który przeprowadził śledztwo, kilka dziewczyn z Safe Shelter, matkę Martiny, lekarzy. Bez niespodzianek.

Niemile niespodzianki czekały na mnie na liście obrony. Było na niej około dziesięciu nazwisk świadków, którzy mieli zeznawać:

1) na temat relacji między profesorem Scianatikiem a Martina Fumai w trakcie trwania ich związku;

2) na temat kontaktów między powódką a profesorem Scianatikiem;

3) na temat tego, co im wiadomo o chorobach somatycznych i psychicznych powódki i ich wpływie na jej zachowanie;

4) na temat znanych im przyczyn rozpadu związku.

Ale prawdziwym problemem nie byli świadkowie. Byli potrzebni, żeby wypełnić czas przesłuchań. Problemem było nazwisko, które zamykało listę: profesor Genchi, profesor medycyny i psychiatrii sądowej. Został wskazany jako biegły, aby ocenić *stan zdrowia psychicznego powódki na podstawie jej zeznań w charakterze świadka oraz niezbędnych dokumentów; aby stwierdzić poczytalność wyżej wymienionej, pozwalającą uznać jej zeznania za wiarygodne.*

Znałem tego profesora. Spotykaliśmy się na wielu procesach. Był to człowiek poważny, inny niż wielu jego kolegów, którzy wydają korzystne i sownie opłacone zaświadczenia lekarskie oskarżonym kryminalistom, stwierdzając, że cierpią na ciężkie choroby psychiczne, że w takim stanie nie mogą w żadnym wypadku przebywać w więzieniu, a zatem trzeba je szybko zamienić na areszt domowy. Nie

trzeba chyba dodawać, że ci panowie w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto są zdrowi jak ryby. Ani że owi biegli świetnie o tym wiedzą, lecz na widok niektórych honorariów nie wdają się w zbyt subtelne oceny.

Genchi cieszył się sporym autorytetem. Był kimś, kogo sędziowie słuchali uważnie. I słusznie - nigdy bowiem nie zeznawałby w procesie, żeby opowiadać głupstwa albo wydać fałszywe zaświadczenie. Fakt, że Dellisanti wybrał świadka, który nie pozwalał, by ktokolwiek wpływał na jego oceny, dowodził, że czuje się bardzo pewnie.

Czytałem akta i zamartwiałem się. Nagle poczułem, że ktoś za mną stoi. Odwróciłem się. Była to Alessandra Mantovani, już ubrana w togę. Przywitała się ze mną oficjalnie - dzień dobry, panie mecenasie - a ja odpowiedziałem w ten sam sposób. Dzień dobry, pani prokurator.

Potem usiadła na swoim miejscu. Na jej twarzy malowało się ledwie dostrzegalne napięcie. Drobne fałdki w kącikach ust, lekko przymknięte oczy. Byłem pewien, że zdążyła już przeczytać listę Dellisantięgo.

Urzędnik sądowy położył przed nią dwie zakurzone teczki z aktami w wyblakłych okładkach. Minęło kilka minut i wreszcie wszedł Dellisanti z tą samą co zwykle świtą sekretarek, asystentów i praktykantów. Niemal natychmiast rozległ się dzwonek elektryczny zapowiadający początek rozprawy.

Przyszli prawie jednocześnie. Adwokat oskarżonego, oskarżony i sędzia.

Z pewnością był to przypadek.

20.

Wstępne formalności załatwiono sprawnie i szybko.

Sędzia ogłosił, że otwiera rozprawę, i polecił protokolantowi odczytać punkty oskarżenia; w całości, jak przewiduje prawo. Na ogół się tego nie robi. Sędzia pyta jedynie strony, czy życzą sobie odczytania punktów oskarżenia. Potem, nawet nie czekając na odpowiedź, kontynuuje rozprawę. Zakłada, że nikogo nie interesuje odczytanie punktów oskarżenia, ponieważ wszyscy doskonale je znają.

Tamtego dnia Caldarola nie uznał tego najwyraźniej za oczywiste, musieliśmy więc wysłuchać go w całości, odczytanego nosowym i ponurym głosem protokolanta Filannina z Barletty, chudego, łysiejącego mężczyzny o szarawej cerze, ze smutnym grymasem w kącikach ust.

Po odczytaniu punktów oskarżenia Caldarola poprosił prokurator, aby przedstawiła swoje wnioski o dopuszczenie materiałów dowodowych. Alessandra wstała. Toga spłynęła jej nienagannie w dół, tak że nie musiała jej poprawiać na ramionach, jak zdarza się niemal wszystkim, na przykład mnie.

Mówiła bardzo krótko. Ograniczyła się w gruncie rzeczy do stwierdzenia, że zamierza udowodnić fakty, o których

mowa w oskarżeniu, dzięki zeznaniom świadków z własnej listy i na podstawie zgromadzonych materiałów. Ze sposobu, w jaki patrzyła na sędziego, wywnioskowałem, że odniosła podobne wrażenie jak ja. Że coś się dzieje za naszymi plecami.

Potem przysłała moja kolej i powiedziałem jeszcze mniej. Powołując się na słowa pani prokurator, poprosiłem o przesłuchanie oskarżonego, jeśli ten zgodzi się odpowiadać. Zarezerwowałem też sobie prawo do skomentowania wniosków obrony.

- Głos zabierze obrona oskarżonego.

Dellisanti wstał.

- Dziękuję, wysoki sędzie. Zebraliśmy się tu wszyscy, chociaż nie powinniśmy się tu znaleźć. Zdarzają się procesy, które nie powinny się nawet rozpocząć. To właśnie jeden z takich procesów.

Pierwsza pauza. Spojrzał w stronę miejsca, gdzie siedzieliśmy ja i Alessandra. Usiłował nas sprowokować. Alessandra zachowała obojętny wyraz twarzy i patrzyła prosto przed siebie. Ja tak nie potrafiłem i zamiast go ignorować, wbilem weń wzrok, a to było dokładnie to, czego sobie życzył.

- Profesjonalista, lekarz o nieskalanej opinii, członek jednej z najważniejszych i najbardziej szanowanych rodzin w naszym mieście, został obrzucony błotem z powodu fałszywych oskarżeń, będących wynikiem pretensji nieznajomej kobiety.

Wstałem, niemal zerwałem się na równe nogi. Połknąłem haczyk.

- Wysoki sędzie, obrona nie może formułować podobnie uwłaczających opinii. Proszę poprosić mecenasa Dellisantiego, aby trzymał się ściśle litery prawa: ma wskazać fakty, które zamierza udowodnić, i wniesić o dopuszczenie materiałów dowodowych. Bez komentarza.

Caldarola odparł, że nie ma powodu tak się denerwować. Że jeśli się nie uspokoję, pogorszę tylko swoją sytuację.

- Panie mecenasie Guerrieri, proszę się tak nie przejmować. Obrona musi przecież wyjaśnić okoliczności i uzasadnić swój sposób procedowania. Proszę mówić dalej, panie mecenasie Dellisanti. A pan, mecenasie Guerrieri, niech się na przeszłość stara nie przerywać.

Skurwysyn, pomyślałem, chociaż chętnie powiedziałbym to na głos. Skończony skurwysyn. Co ci obiecali? Dellisanti mówił dalej swobodnym tonem:

- Dziękuję, wysoki sędzie, za jakże słuszną uwagę. Chcąc przedstawić wniosek o przesłuchanie biegłego psychiatry, co też zrobimy, musimy go uzasadnić. Otóż naszym zdaniem domniemana pokrzywdzona cierpi na poważne zaburzenia psychiczne, które podważają jej wiarygodność, a nawet zdolność do składania zeznań. Kiedy w grę wchodzi honor, wolność, a nawet życie człowieka takiego jak profesor Scianatico, nie czas na uprzejmości czy owijanie w bawełnę. Czy to się podoba pani prokurator i oskarżycielowi prywatnemu, czy nie.

Następna pauza. Ponownie zerknął w naszą stronę. Alessandra wyglądała jak sfinks. Chociaż, przyjrawszy się uważnie, można było dostrzec lekkie rytmiczne drgania mięśni tuż pod kośćmi policzkowymi.

- A zatem chcemy przede wszystkim udowodnić, że domniemana - mówił domniemana, jakby chciał splunąć - pokrzywdzona cierpi na zaburzenia psychiczne, które opisze nasz biegły, figurujący na liście profesor Genchi. Profesora nie trzeba nikomu przedstawiać. Opierając się na zeznaniach świadków figurujących na naszej liście, zamierzamy też udowodnić, że owe zaburzenia stały się powodem rozstania oraz, szerzej, poważnej dysfunkcji społecznej i psychicznej domniemanej pokrzywdzonej. Wnosimy

także o przesłuchanie profesora Scianatica, który, pragnę to zakomunikować już teraz, z pewnością zgodzi się na przesłuchanie i odpowie na pytania, które dostarczą dodatkowych dowodów jego niewinności. Nie mamy żadnych obiekcji co do wniosków pani prokurator ani oskarżyciela prywatnego. Prawdę mówiąc, nie wydaje się, żeby dysponował on poważnymi argumentami. Dziękuję, wysoki sądzie. Skończyłem.

Ledwie Dellisanti umilkł, Caldarola zaczął dyktować swoje postanowienie.

- Sąd, wysłuchawszy wniosków stron, uznaje...

- Przepraszam, wysoki sądzie, ale miałabym kilka uwag na temat wniosków sformułowanych przez obronę. Jeśli wysoki sąd udzieli mi głosu.

Alessandra mówiła cicho i stanowczo, z lekkim weneckim akcentem. Na twarzy Caldaroli pojawił się wyraz zakłopotania i wydawało mi się, że jego zwykle żółtawe policzki lekko się zaczerwieniły. Robił coś nieprzyzwoitego, trzymając stronę adwokata. Istotnie tak było.

- Proszę, pani prokurator.

- Nie mam uwag co do przedstawionej przez stronę listy świadków. Wydaje mi się, że jest ich zbyt wielu, ale nie o tym zamierzam mówić. Przynajmniej nie teraz. Chcę natomiast powiedzieć coś o wniosku o przesłuchanie profesora Genchiego, wskazanego przez obronę jako biegły specjalista psychiatra. Chcę zadać parę pytań. Pierwsze dotyczy konkretnie procesu, w którym dziś uczestniczymy. Drugie ma charakter bardziej ogólny i dotyczy wydawania zgody na tego rodzaju wnioski. Czy profesor Genchi badał panią Martinę Fumai? Czy profesor w ogóle widział panią Martinę Fumai? Obrona nam tego nie wyjaśniła, oznajmiła natomiast z wielką i obraźliwą pewnością siebie, że pani Martina Fumai jest niezrównoważona. Jeśli, jak przypuszczam, profesor Genchi nie badał nigdy osoby pokrzywdzonej

w tym procesie, zastanawiam się, na czym oprze swoją opinię. Ponieważ obrona, lekceważąc obowiązek ujawnienia, nie powiedziała nam tego. Powyższy zarzut pozwoli mi przejść do drugiej kwestii. Czy można wnioskować o wydanie opinii psychiatrycznej na temat świadka - a nawet oskarżonego - kiedy z akt nie wynika nic, co uzasadniałoby taką konieczność? Na to pytanie o charakterze ogólnym trzeba odpowiedzieć, zanim sąd przyjmie wnioski obrony. Ponieważ, wysoki sędzie, przyjęcie podobnego wniosku, nieopartego na żadnej podstawie, równa się stworzeniu niebezpiecznego precedensu. Za każdym razem, kiedy świadek nam się nie spodoba, z najrozmaitszych powodów, mniej lub bardziej uzasadnionych, będziemy mogli wnosić o powołanie psychiatry, który opowie nam o prywatnych, ściśle osobistych problemach owego świadka. A kto nie ma problemów osobistych, psychicznych kryzysów albo uzależnień? Na przykład od alkoholu. I te problemy są tylko jego sprawą, i słusznie chciałby, aby takimi pozostały.

Położyła nacisk na ostatnie słowa, odwracając się w stronę Dellisantiego. Pośród wielu plotek krążących na jego temat była i ta o skłonności do mocnych alkoholi. Wypijanych również w niekonwencjonalnych porach, na przykład wcześniej rano w barach w pobliżu jego kancelarii. Dellisanti ani drgnął. Na jego twarzy malowała się wściekłość, szczęki miał zaciśnięte. Atmosfera robiła się ciężka.

- A zatem, wysoki sędzie, sprzeciwiam się kategorycznie przesłuchaniu biegłego wskazanego przez obronę. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zostanie nam wyjaśnione, czego miałyby dotyczyć jego opinia i jaki ma to związek z przedmiotem procesu.

Dołączyłem się do sprzeciwu prokurator. Dellisanti znowu poprosił o głos. Nie mówił już tak swobodnie jak na początku.

- Naprawdę nie rozumiem, wysoki sędzie, czego obawiają się prokurator i oskarżyciel prywatny. A może rozumiem, chcę jednak uniknąć konfliktu. W każdym razie możliwości są dwie. Albo panna Martina Fumai nie ma problemów natury psychicznej, a więc nie ma żadnego powodu do niepokoju w związku z przesłuchaniem takiego specjalisty, jakim jest profesor Genchi. Albo panna Fumai ma problemy natury psychicznej. Ale wówczas problemy te - tak je nazywam w uproszczeniu - muszą wyjść na jaw, aby można było ocenić, jak wpływają one na jej zeznania, a szerzej, na ocenę wiarygodności jej zeznań. W każdym razie, wysoki sędzie, aby uniknąć przedłużania się sporu i zgłaszania sprzeciwów czysto formalnych, mogę już teraz dostarczyć kserokopię dokumentacji psychiatrycznej dotyczącej domniemanej pokrzywdzonej.

Dellisanti wziął do ręki cienką niebieską teczkę i wykonał gest, jakby chciał podać ją sędziemu. Jeden z jego wytresowanych pomocników zerwał się, chwycił teczkę i położył ją przed sędzią.

W tym momencie wstałem i poprosiłem o głos. „Tylko krótko, proszę”, upomniał mnie Caldarola. Zaczął się już niecierpliwić.

- Tylko dwa słowa, wysoki sędzie - usłyszałem własny głos. Byłem zdenerwowany. - Przede wszystkim chętnie byśmy się dowiedzieli, w jaki sposób obrona weszła w posiadanie tych kserokopii. Prawdę mówiąc, chcielibyśmy je najpierw przejrzeć, skoro mecenas Dellisanti nie był tak uprzejmy i nie przekazał ich pani prokurator ani oskarżycielowi prywatnemu. Jak wymagają nie tylko zasady, których należy przestrzegać w trakcie procesu, ale przede wszystkim zasady dobrego wychowania.

Dellisanti dopiero co usiadł na krześle, na którym ledwo mieścił się jego ogromny tyłek. Natychmiast się poderwał - zaskakująco lekko. Zrobił się purpurowy na twarzy i szyi.

Rumieniec dziwnie kontrastował z białym kołnierzykiem koszuli opinającym potężny kark, niemal dwa razy grubszy od mojego. Wrzasnął, że nie ma zamiaru wysłuchiwać niczyich wykładów na temat procedury, a tym bardziej dobrego wychowania. Wykrzykiwał coś jeszcze, zdaje się obraźliwego, ale nie słyszałem go, ponieważ ja też podniosłem głos i wkrótce rozprawa przemieniła się w to, co się nazywa żenującą pyskówką.

Czasami tak się dzieje. Sale sądowe rzadko są miejscem spotkań dżentelmenów. Przynajmniej te, w których zdarzyło mi się bywać. A na pewno nie tamtego ranka, podczas rozprawy, której przewodniczył Caldarola.

Skończyło się najgorzej jak mogło. W każdym razie dla mnie. Sędzia oświadczył, że odbiera mi głos. Powiedziałem, iż życzylbym sobie równego traktowania mnie i adwokata oskarżonego. Sędzia zabronił mi robić obraźliwe uwagi i powtórzył - „po raz ostatni” - że odbiera mi głos. Mówiłem dalej, i to ani cicho, ani spokojnie. Wiedziałem, że popełniam głupstwo. Ale nie potrafiłem się powstrzymać. Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy podczas meczów piłki nożnej dawałem się sprowokować w najgłupszy sposób, wszczynalem bójkę i regularnie bywałem usuwany z boiska.

Skończyło się mniej więcej tak samo jak podczas szkolnych meczów. Sędzia przerwał rozprawę na pięć minut. Kiedy wrócił, na jego twarzy nie malowała się życzliwość. Dla zachowania pozorów pozwolił mnie i Alessandrze przejrzeć teczkę z dokumentacją medyczną, którą dysponował Dellisanti. Była tam kserokopia karty choroby wystawionej przez prywatną klinikę na północy kraju, w której Martina przebywała przez kilka tygodni.

Zarówno Alessandra, jak i ja ponownie zgłosiliśmy sprzeciw wobec tego dowodu i przesłuchania Genchiego. Caldarola podyktował do protokołu swoje postanowienie

tym samym co zwykle monotonnym głosem, w którym słychać było pretensję i groźbę.

Sąd, wysłuchawszy wniosków stron o dopuszczenie materiałów dowodowych,

uznając, że wszystkie wnioski są do przyjęcia i mają związek z przedmiotem procesu,

uznając szczególnie, że istotne jest przedstawienie dokumentacji medyczno-psychiatrycznej dotyczącej strony pokrzywdzonej oraz przesłuchanie specjalisty w dziedzinie psychiatrii, o co wносиła obrona oskarżonego (jak przewiduje artykuł 196 Kodeksu postępowania karnego), aby można było ocenić zeznania wyżej wymienionej strony pokrzywdzonej i jej wiarygodności;

uznając również, że zachowanie oskarżyciela prywatnego mecenasa Guerrieriego na dzisiejszej rozprawie kwalifikuje się do rozpatrzenia przez komisję dyscyplinarną,

z wyżej wymienionych powodów:

przyjmuje wszystkie wnioski sformułowane przez strony;

wyznacza początek przesłuchań na 15 stycznia 2002 roku;

poleca przekazanie kserokopii protokołu z dzisiejszej rozprawy panu prokuratorowi krajowemu oraz Radzie Adwokackiej w Bari, aby oceniła, zgodnie ze swoimi kompetencjami, zachowanie mecenasa Guida Guerrieriego.

Zrobiłeś głupstwo - szepnęła do mnie Alessandra, kiedy wychodziliśmy z sali.

- Wiem.

Zastanawiałem się, co mam dodać, ale nic nie przyszło mi do głowy. Za nami szedł Dellisanti z pomocnikami. Komentarz przebieg rozprawy i chociaż nie rozróżniałem słów, ton nie pozostawiał wątpliwości. Byli zadowoleni.

Pożegnałem się z Alessandrą i przyspieszyłem kroku, bo nie chciałem słuchać dalej. Ktoś, kto widziałby całą scenę i to, co wydarzyło się wcześniej, mógłby pomyśleć, że uciekam.

Siostra Claudia, która była przez cały czas na sali, podszła do mnie. Nie zauważyłem nawet kiedy.

Wyszła wraz ze mną, nie zadając pytań.

Nie zrobił mi wtedy krzywdy. Kiedy skończył, powiedział, że to będzie nasz sekret. Miałam nikomu nic nie mówić. Gdybym powiedziała, mogłoby się wydarzyć coś strasznego.

Na podwórzu zamieszkał szczeniak. Biały kundelek, nazywałam go Snoopy. Spał w tekturowym pudle, przynosiłam mu resztki z obiadu, a czasami trochę mleka rozcieńczonego wodą. Mówiłam, że to mój pies, chociaż wiedziałam doskonale, że nigdy nie pozwolono by mi wziąć go do domu.

On ostrzegł mnie, że jeśli wyjawię komuś nasz sekret, szczeniak zginie. Wróciłam na podwórze, oznajmiłam innym dzieciom, że nie mam już ochoty grać w piłkę, i poszłam pobawić się ze Snoopym. Dopiero wtedy wybuchnęłam płaczem.

Tego, co nastąpiło później, nie pamiętam wyraźnie. Wspomnienia są mętne, pomieszane. Zawsze ta sama sypialnia, niepościelone łóżko, smród papierosów. Inne zapachy. Puste butelki po piwie na szafce nocnej albo przewrócone na podłodze. Dźwięki, które wydawał, kiedy... kończył. Strach, że moja siostrzyczka, która często była w pokoju obok, może wejść i nas zobaczyć.

Minął ponad rok - dobrze pamiętam, bo poszłam do pierwszej klasy gimnazjum - kiedy mi powiedział, że

jestem już duża i że są rzeczy - inne rzeczy - które powinienam poznać i których on mnie nauczy. To było deszczowe popołudnie, matka wyszła z domu. Pracowała również popołudniami, kiedy tylko mogła, ponieważ on nadal był bezrobotny i cały czas brakowało pieniędzy.

Tym razem mnie bolało. Bardzo bolało. Czułam ból przez wiele dni.

Kiedy skończył, powiedział, że teraz jestem kobietą. Mówiąc to, uszczypnął mnie w policzek, jak gdyby to miała być pieszczota.

Wówczas po raz pierwszy pomyślałam, że chciałabym, aby umarł.

21.

Zakupy w supermarkecie odprężają mnie. Zawsze tak było, już w dzieciństwie. Wówczas chodziliśmy z matką do Standy na Corso Vittorio Emanuele, zjeżdżaliśmy do podziemia, braliśmy wózek i robiliśmy zakupy.

Pamiętam przyjemne uczucie zimna, kiedy zjeżdżało się schodami i wchodziło pomiędzy chłodnie i zapachy surowego jedzenia. Mięso - w chłodniach właśnie - warzywa, wędliny, plastikowe torby; wszystko zmieszane w jednym zapachu, bogatym i nieco aseptycznym, który był dla mnie „zapachem Standy”. W tamtych czasach nie było zbyt wiele supermarketów i pójść do Standy to było trochę tak, jak wybrać się do lunaparku podczas Targów Lewantu, które odbywały się we wrześniu, zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego.

W supermarkecie Standy oferowano produkty, których nie można było kupić gdzie indziej. Na przykład topione serki w kubeczkach, o wyglądzie dość egzotycznym. Ich nazw nie pamiętam. Ale smak, tak, smak pamiętam dobrze; czuć w nich było szynkę, jakiś wiejski smak, o wiele intensywniejszy niż tych trójkącików, które przyzwyczaiłem się jeść i które były całkiem mdłe.

Trafiały się francuskie herbatniki z kremem. To był artykuł luksusowy i nie można było ich jeść jak zwykłych

herbatników, na przykład z mlekiem. I było jeszcze wiele innych rzeczy, którymi wypełniało się wózek. Chciałem go zawsze pchać sam. Wszystko to utrzymało się w mojej pamięci w nostalgicznych kolorach, jak na niektórych starych filmach.

Sądzę, że wszyscy moi rówieśnicy lubili chodzić do supermarketu.

Ja lubię do dzisiaj. Są takie popołudnia, kiedy nie mogę już znieść klientów, papierów, kancelarii, rozmów telefonicznych z kolegami. Wówczas ogarnia mnie ochota, aby wyjść do księgarni albo supermarketu. Najczęściej czekam, aż mi przejdzie, ponieważ są nowi klienci, nowe papiery, nowi koledzy, którzy telefonują i zawracają głowę. Czasami jednak, kiedy już naprawdę nie wytrzymuję, wychodzę. Niekiedy biorę samochód i jadę na godzinę lub dwie do jednego z tych ogromnych supermarketów na peryferiach.

Daje mi to poczucie wolności: chodzę z wózkiem między półkami i kupuję najbardziej niepotrzebne rzeczy, jakieś dziwaczne jedzenie, książki przecenione o dwadzieścia procent, sprzęt elektroniczny - którego później nigdy nie używam - po promocyjnych cenach. Kiedy wracam do kancelarii, czuję się lepiej; nie żebym rwał się do pracy, ale w każdym razie czuję się lepiej.

Tamtego popołudnia byłem właśnie w moim ulubionym supermarkecie, ogromnej hali na peryferiach. W miejscu niemal nierzeczywistym.

Stałem przed półkami z egzotyczną żywnością i robiłem zapas meksykańskich tacos, ryżu basmati, słoików z tajsą zupą, kiedy z kieszeni mojej kurtki rozległo się *crescendo* dźwięków *Oh, Susanna*. Ostatni oryginalny dzwonek, jaki wybrałem do komórki. Nie rozpoznałem numeru.

- Słucham?

- Pan Guido Guerrieri? - spytał kobiecy głos.
- Kto mówi?
- Claudia.

Już miałem powiedzieć: jaka Claudia? Ale ją rozpoznałem.

- Aha, cześć.

Zaraz jednak przypomniałem sobie, że nie jesteśmy przecież na ty. Nie mam pojęcia, dlaczego powiedziałem cześć. Zapadło milczenie.

- ...cześć.

Poczułem zakłopotanie. Nie wiedziałem, czy mam jej mówić siostrze czy ty, chociaż, skoro powiedziałem cześć, w jakiś sposób zdecydowałem się już na to drugie. Chyba czasami mam kłopoty z komunikowaniem się z ludźmi. Wybrałem formę nieosobową. Typową dla nieprzystosowanych społecznie. Tych, którzy kiedy spotkają na ulicy kogoś, do kogo nie wiedzą, jak się zwracać, mówią serwus.

- Wszystko w porządku? Coś nowego?

- Dzwoniłam do kancelarii i powiedziano mi, że wyszedłeś. Przypomniałam więc sobie, że dzwoniłeś już do mnie na komórkę i że zapisałam w pamięci twój numer. Przeszkadzam ci?

Cóż, zajmuję się właśnie delikatną sprawą międzynarodowego handlu sajonkami, ale spróbuję znaleźć dla ciebie trochę czasu, siostrze.

- Nie przeszkadza mi oczywiście.

Powiedziała, że nazajutrz poprowadzi trening sztuki walki. Jest otwarty dla publiczności i jeśli mam ochotę zobaczyć, co to takiego, mogę przyjść. To w pobliżu więzienia. Ona i jej uczniowie będą tam między szóstą a dziewiątą wieczorem.

Byłem zdziwiony, ale zapewnilem, że przyjdę. Powiedziała: zgoda i zakończyła rozmowę. Nawet się nie pożegnała.

Następnego popołudnia wyszedłem z kancelarii o wpół do siódmej, przełożywszy spotkanie z klientem, który miał mi zapłacić, więc skwapliwie się zgodził. Postanowiłem pójść piechotą, chociaż było dość daleko, i kwadrans po siódmej byłem już pod wskazanym adresem. Była to szkoła tańca, jogi, rzeczy w tym stylu. Nazywała się Corpopsiche i wchodząc, pomyślałem, że obejrzę coś egzotycznego, w stylu zen: medytacja, łagodne ruchy i orientalna wrażliwość. Nie przepadałem za takimi rzeczami.

Pomyślałem z lekką irytacją, że marnuję w ten sposób popołudnie. Uznałem więc, że zostanę nie dłużej niż pół godziny, żeby nie robić przykrości Claudii. Potem się pożegnaj i wrócę do kancelarii, może nawet zadzwonię po taksówkę, żeby dojechać jak najszybciej.

W sali był parkiet, lustro zajmujące całą ścianę, poręcz do tańca klasycznego. Dokładnie to, czego się spodziewałem, kiedy zobaczyłem szylt. Stało trochę ławek, zajętych przez jakichś dziesięciu widzów. Zająłem jedno z nielicznych wolnych miejsc.

Było wprawdzie tak, jak oczekiwałem, ale to, co się działo na parkiecie - czyli trening - okazało się czymś zupełnie innym. Uczestniczyło w nim około dwadzieścioro uczniów, niemal samych chłopców. Mieli na sobie czarne płócienne spodnie, białe podkoszulki z krótkimi rękawami i czarne skarpetki. Siostra Claudia ubrana była podobnie, ale jej podkoszulek był czarny. Musiało to być znakiem rozpoznawczym mistrza, jak czarny pas czy coś w tym stylu.

To, co robili, nie przypominało wcale tańca ani jogi, ani żadnej innej dyscypliny w stylu New Age. Zadawali sobie szybkie ciosy pięściami, kopali, uderzali kolanami i łokciami. Nie kontrolowali ciosów, jak w wypadku wielu sztuk walki. Nie wykonywali eleganckich ruchów, ale można się

było domyślić, co by się stało, gdyby robili to w rzeczywistej sytuacji, na ulicy, w czasie bójki.

Oslupiałem, chociaż w pewnym sensie to, co widziałem, pasowało do wrażenia, jakie odniosłem przy pierwszym spotkaniu z siostrą Claudią. Przyglądałem się i jedne po drugich cisnęły mi się do głowy słowa. Bezpośrednia, szybka, gwałtowna, agresywna.

Zła.

Słowo zła, podobnie jak inne, pojawiło się w mojej głowie spontanicznie. Na zasadzie swobodnych skojarzeń. Kiedy tylko wypowiedział je mój wewnętrzny głos, poczułem się zmieszany, jak gdybym wymówił je głośno. Albo jakbym odkrył i nazwał coś, co powinno pozostać w ukryciu.

Claudia, zła siostra.

W pewnym momencie siostra Claudia wyjęła z torby długi czarny szal, zasłoniła nim sobie oczy i zawiązała z tyłu głowy. Potem przyjęła postawę wojownika, a chłopak, który wyglądał na najbardziej zaawansowanego ucznia, stanął naprzeciwko niej, bardzo blisko. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, głowę ogoloną na zero i groźną minę.

Na niewidzialny znak zaczął okładać Claudię pięściami po twarzy, ona zaś osłaniała się przed ciosami. Cały czas miała zawiązane oczy.

Przez wiele lat trenowałem boks. Widziałem mnóstwo ciosów, zadawałem je, zasłaniałem się przed nimi, robiłem uniki, a przede wszystkim je inkasowałem. W szkołach boksu, na ringu dla amatorów i na ulicy. Ale nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

Poruszali się w wyraźnym i regularnym rytmie, który przypomniał mi oglądany wiele lat temu dokument o cyrku. Telewizja była jeszcze czarno-biała; na arenie cyrkowej, bez publiczności, sympatyczny starszy pan robił pokaz

zonglerki dla grupki dzieci. On też miał zawiązane oczy i podrzucał trzy, cztery lub pięć piłeczek. Poruszał się cały czas w jednakowym rytmie i ani razu nie upuścił żadnej na ziemię. W rytmie wyraźnym i regularnym. Wydawało się, że ma w dłoniach magnes i że przyciąga nim piłeczki.

Claudia robiła mniej więcej to samo z pięściami przeciwnika. Miała magnetyczne dłonie i tymi magnetycznymi dłońmi przyciągała i odwracała od siebie ciosy, sprawiając, że stawały się niegroźne, zupełnie jak rzucane szmaciane piłki.

Na treningach bokserskich mówiono nam zawsze, żeby w żadnym wypadku nie zamykać oczu. Podczas ataku, a przede wszystkim podczas obrony. Nie wolno tracić kontroli nad sytuacją. Trzeba widzieć, co robi przeciwnik, śledzić jego ruchy, być w pogotowiu, osłaniać się przed ciosami albo robić uniki i kontratakować. Zawsze dobrze się czułem z tą myślą. Oczy otwarte, w każdej sytuacji. Zamknięte oczy kojarzyłem ze strachem, a oczy otwarte, równie banalnie, z odwagą. Patrzeć prosto w twarz przeciwnikowi, także wtedy, gdy jest nim jakiś problem albo cokolwiek innego. To była jedna z niewielu rzeczy, których byłem pewien.

W pewnym momencie wydało mi się, że regularny rytm uległ zakłóceniu. Niepostrzeżenie ciosy pięścią i obrona stały się szybsze, a potem w jednej chwili wszystko się skończyło. Uczeń leżał na podłodze, a siostra Claudia siedziała na nim. Wykręciła mu ramię i przycisnęła kolanem jego twarz. Nie zauważyłem ruchu, który przesądził o takim zakończeniu walki.

Claudia zdjęła szal i wszyscy razem wykonali kilka ćwiczeń relaksacyjnych. Potem uczniowie ustawili się w rzędzie przed mistrzynią. Pozdrowili się lekkim ukłonem, zamykając prawą pięść w lewej dłoni i przyciskając do piersi.

Chyba dopiero wówczas siostra Claudia zauważyła moją obecność.

Podeszła do mnie, gdy uczniowie opuszczali salę i udawali się do szatni.

Wstałem. Pozdrowiła mnie skinieniem głowy, a ja odpowiedziałem tym samym. Teraz już byłem zainteresowany, chciałem zadać mnóstwo pytań, zupełnie zapomniałem o pomysłach, żeby wezwać taksówkę i wrócić do kancelarii.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - przyznałem, nie siląc się zbytnio na oryginalność. Nigdy nie wiedziałem, jak zacząć. Nic nie odpowiedziała, ponieważ nie było nic do powiedzenia.

- Nie pamiętam, jak się nazywa ta dyscyplina.

- Nazywa się *wing tsun*.

- To nie jest zabawa dla małych dziewczynek.

- Większość zabaw dla małych dziewczynek i dla małych chłopców to nic ciekawego. Legenda głosi, że *wing tsun* wymyśliła pewna mniszka, po to żeby osoby słabe fizycznie mogły pokonać przeciwników o wiele wyższych i silniejszych. Zresztą tego typu legendy wiążą się ze wszystkimi sztukami walki. Najpiękniejsza opowiada o początkach *jujitsu*. Mówi o japońskim lekarzu i wierzbie płaczącej. Znasz ją?

- Nie. Opowiedz mi.

- Był sobie dawno temu w Japonii lekarz, który wiele lat studiował metody walki. Chciał odkryć sekret zwycięstwa, ale martwił się, ponieważ w końcu w każdym systemie walki zwyciężała albo siła, albo jakość broni, albo nikczemny podstęp. Oznaczało to, że jakkolwiek długo byś trenował i uczył się sztuk walki, jakkolwiek silny byś był lub jak dobrze przygotowany, zawsze spotkasz kogoś silniejszego albo lepiej uzbrojonego, albo chytrzejszego, kto cię pokona.

Przerwała, jak gdyby w jej głowie pojawiła się jakaś natrętna myśl.

- Interesuje cię to naprawdę czy tylko chcesz być uprzejmy?

Co należy odpowiedzieć na takie pytanie? Postawione przez kobietę, zakonnice, która dopiero co przestała okładać pięściami faceta metr dziewięćdziesiąt, jak gdyby wykonywała jakąś magiczną sztuczkę? Nic się nie odpowiada. To jasne.

Ograniczyłem się do spojrzenia jej prosto w twarz, przybrałem trochę śmieszny minę typu: moglibyśmy już skończyć z tą szermierką słowną. Albo: nie jestem typem, który mówi coś tylko z uprzejmości.

Niewiarygodne, ale poskutkowało. Z jej twarzy zniknęło napięcie, rysy złagodniały. Zmieniła się. Ładna, przemknęło mi przez myśl, ale zaraz się zawstydzilem. Claudia była zakonnica, chociaż bardzo, bardzo dziwną, a ja chodziłem do szkoły podstawowej prowadzonej przez zakonnice. Z niektórych schematów, niektórych wzorców, niektórych skojarzeń trudno się wyzwolić, jeśli chodziło się do takiej szkoły. Nie mówi się, a nawet się nie myśli, że jakaś zakonnica jest ładna.

Claudia znowu zaczęła opowiadać, nie zadając więcej pytań. Ja zaś przestałem myśleć o zakonnicach i o swoich banalnych zahamowaniach.

- Jednym słowem martwił się, bo nie robił postępów. Pewnego zimowego dnia spoglądał przez okno. Na dworze od wielu godzin padał śnieg. Spoglądał przez okno zatopiony w myślach. Wszystko było białe. Łąki, skały, domy były przysypane śniegiem. I drzewa. Gałęzie drzew zwisały pod ciężarem śniegu i w pewnym momencie lekarz zauważył gałąź wiśni, która nie wytrzymała ciężaru i złamała się. Potem to samo stało się z potężnym dębem. To była śnieżyca, jakiej nikt nigdy nie widział.

Z pewnością mam dziecinną naturę. Lubię, jak opowiada mi się historie, jeśli ten, kto opowiada, umie to robić. Claudia umiała, ja zaś chciałem się dowiedzieć, jak to się skończy.

- W głębi parku widać było staw otoczony wierzbami płaczącymi. Śnieg padał również na gałęzie wierzb, ale jak tylko trochę się go nagromadziło, gałęzie ugiwały się i śnieg ześlizgiwał się na ziemię. Gałęzie wierzb się nie łamały. Na ten widok lekarz ucieszył się, zdał sobie bowiem sprawę, że dotarł do końca swoich badań. Sekret walki tkwi w niestawianiu oporu. Kto ustępuje, ten wygrywa; kto jest twardy, sztywny, wcześniej czy później zostanie pokonany i złamany. Wcześniej czy później spotka kogoś, kto okaże się silniejszy. *Jujitsu* znaczy sztuka ustępowania. Sekretem jest ustępliwość. W *wing tsun* jest mniej więcej tak samo.

Pomyślałem, że jeśli sekretem jest ustępliwość, nie wydaje mi się, by ona w pełni go opanowała. Mówiąc jasno: siostra Claudia nie sprawiała wrażenia osoby ustęplivej.

Czytała w moich myślach. Albo raczej kontynuowała tok swojego rozumowania.

- Oczywiście trzeba uzgodnić, co znaczy ustępliwość. Znaczą stawiać opór do pewnego momentu, a potem wiedzieć, kiedy ustąpić i skierować siłę przeciwnika w inną stronę. W końcu obróci się przeciwko niemu. Sekret mógłby tkwić w umiejętności znalezienia równowagi między oporem a ustępliwością, ustępliwością a oporem, słabością a siłą. Aby zwyciężyć, należało robić coś wręcz przeciwnego, niż spodziewa się przeciwnik, coś, co tobie przychodzi naturalnie, spontanicznie. Cokolwiek to znaczy.

Właśnie, pomyślałem. Odnosi się to również do drugiej strony. Robić coś wręcz przeciwnego, niż spodziewa się przeciwnik, coś, co tobie przychodzi naturalnie, spontanicznie. Cokolwiek to znaczy.

Przysła mi na myśl książka, którą przeczytałem kilka miesięcy temu.

- To piękna historia. Przypomina mi to, co mówi Sun Tzu w książce o chińskiej strategii wojskowej.

Na jej twarzy pojawiło się osłupienie. Co ja mogłem wiedzieć o Sun Tzu, chińskiej strategii wojskowej i całej reszcie?

- *Sztuka wojny.*

- Właśnie. Mówi, że strategia jest sztuką paradoksu.

- Słusznie. Czytałeś tę książkę?

Nie, mam podręcznik z cytatami potrzebnymi na każdą okazję. Ten znalazłem w rozdziale *Jak zrobić wrażenie na zakonnicach będących mistrzyniami sztuk walki.*

- Tak.

- Dlaczego?

Co za kretyńskie pytanie. Dlaczego? Dlaczego czyta się jakąś książkę? Bo ja wiem? Bo tak mi się spodobało. Bo natknąłem się na nią, kiedy nie miałem nic do czytania albo nic do roboty. Bo zaciekała mnie okładka albo tytuł. Albo dwa słowa, jedno obok drugiego, na pierwszej lepszej stronie. Dlaczego czyta się książkę?

- Nie wiem. To znaczy bez powodu. Zobaczyłem ją w księgarni, kupiłem i przeczytałem. Ta historia z paradoksem zrobiła na mnie największe wrażenie, chociaż nie jestem pewny, czy zrozumiałem wtedy, o co chodzi. Teraz wydaje mi się to bardziej zrozumiałe.

Claudia jeszcze przez chwilę patrzyła mi prosto w twarz. Nie była już pewna, czy trafnie mnie oceniła.

Na ułamek sekundy wygięła wargi. Pewnie sobie wyobrażała, że tak wygląda uśmiech. Pierwszy. Podniosła dłoń, żeby mi pomachać na pożegnanie gestem trochę niezręcznym i sympatycznym. Następnie, nie mówiąc nic więcej, odwróciła się i poszła w kierunku szatni. Nie czekając na moją odpowiedź.

Wyszedłem i spojrzałem na zegarek. Nie zamierzałem już wzywać taksówki ani wracać do kancelarii.

Była prawie dziesiąta, trzeba było iść do domu.

Ruszyłem z pochyloną głową. Szedłem szybko w stronę centrum i mijając zamknięte sklepy, kluby i puby, rozmyślałem o wszystkim, co zobaczyłem i usłyszałem.

22.

Na Starym Mieście, naprzeciwko fosy otaczającej zamek Hohenstaufenów wiele lat temu była mała pizzeria. Malusiśienka, tylko jedna sala z kontuarem, piecem i kasą.

Nazywała się U Nina. Nie było stolików - gdzie by się zresztą zmieściły? Do wyboru była tylko pizza margherita i rzymska z anchois. Właściciel, mężczyzna pod pięćdziesiątkę, niski i chudy, o zapadniętej twarzy i rozgorączkowanym spojrzeniu wbitym w pustkę, kładł łopatą bardzo gorące pizze na malutkim marmurowym blacie, przy którym gruby chłopak z kamienną ospowatą twarzą owijał je po kolei w papier i wręczał szybkim gestem. Jak gdyby chciał się nas jak najprędzej pozbyć. Najwyraźniej nie żywił do nas sympatii. Nie żywił sympatii do nikogo.

Była nas czwórka przyjaciół. Kupowaliśmy pizzę i jedliśmy ją, siedząc na murku przy fosie. Najlepsza pizza w Bari, mówiliśmy, parząc sobie języki i podniebienia, uważając, żeby gorąca mozzarella nie spadła nam na spodnie.

Nie wiem, czy naprawdę była to najlepsza pizza w Bari. Być może była to zwykła pizza jakich wiele, ale my czuliśmy, że należymy do artystycznej bohemy, ponieważ spędzamy wieczory na Starym Mieście, które w tamtych latach było miejscem zakazanym i niebezpiecznym. Być może

była to tylko zwykła pizza, ale my mieliśmy po dwadzieścia lat, jedliśmy ją, siedząc na murku i popijając piwem z dużych butelek, a na koniec zapalaliśmy papierosy. Rozmawialiśmy, paliliśmy, piliśmy piwo aż do późna, tolerowani przez okolicznych mieszkańców. Aż wreszcie stali bywalcy szli do domów i pizzerię zamykano.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Prawdopodobnie o tym, o czym zwykle rozmawiają dwudziestolatkowie. O dziewczynach, polityce, sporcie, książkach, które czytaliśmy - albo które chcieliśmy przeczytać - o tym, jak zmienimy świat i zostawimy po sobie ślad, jeśli nie ogarnie nas przedtem zmęczenie. Jak zdarzyło się to już tylu innym...

W niektóre wiosenne wieczory, kiedy wracaliśmy bardzo późno, Stare Miasto było zupełnie puste. Wypełnione ciężkimi zapachami, brudne, niepokojące i piękne.

W tamte wiosenne wieczory powietrze wibrowało od naszych marzeń. Wibrowało w naszych oczach, zamglonych nieco od piwa, czuliśmy je na napiętej, opalonej skórze, na naszych młodych mięśniach.

Namiętnie pragnęliśmy wszystkiego.

Emilio Ranieri popełnił samobójstwo we wtorek. W najgłupszy dzień.

Odszedł wieczorem na drodze wokół lotniska, gdzie tyle lat wcześniej chodziliśmy oglądać nocne lądowanie ostatniego samolotu z Rzymu. Na rurze wydechowej swojego samochodu zamontował gumowy wąż, a drugi koniec włożył do środka. Następnie zamknął szczelnie okna, włączył silnik i czekał.

Znaleźli go następnego rana policjanci z lotniska. Żadnego listu w samochodzie, żadnego listu w domu. Nic.

Wiadomość rozeszła się po południu, kiedy byłem w kancelarii. Pracowałem dalej, jak gdyby nic się nie stało,

aż do wieczora. Kiedy zostałem sam, zadzwoniłem do Margherity.

Nie musiałem jej mówić, że nie wrócę wieczorem do domu.

Chodziłem po mieście w poszukiwaniu wspomnień, jakiegoś sensu albo czegoś innego. Czego oczywiście nie mogłem znaleźć.

Obszedłem wszystkie nasze miejsca. Poszedłem nad morze, doszedłem do monumentalnego wejścia na Targi Lewantu, pokrzyżłem wokół teatru imienia Petruzzellego, który nie był już teatrem, a jedynie czerwonym opakowaniem w samym centrum miasta, usiadłem na masce samochodu naprzeciwko placyku, gdzie mieściło się Jolly, małe mityczne kino wyświetlające stare filmy. Teraz widać było tylko opuszczoną i brudną żaluzję. Od czasu do czasu spoglądałem na smętne ozdoby bożonarodzeniowe, mrugające lampki na balkonach i witrynach sklepowych. Do świąt brakowało niespełna dwóch tygodni.

W pewnym momencie przyszło mi nawet do głowy, żeby wziąć samochód i pojechać na lotnisko.

Nie uczyniłem tego. Być może ze strachu przed duchami. A może tylko obawiałem się, że znajdzie mnie policja, zabierze na komisariat i spyta, co tam robię, czy mam coś wspólnego z samobójstwem Emilia Ranieriego i o całą resztę. Nie pojechałem tam, żeby nie narobić sobie kłopotów. Z tchórzostwa.

W końcu, kiedy zrobiło się już bardzo późno, usiadłem na murku nad fosą naprzeciwko miejsca, gdzie była pizzeria U Nina.

W tej okolicy nigdy nie było nocnego ruchu, jaki zapanał wszędzie w ostatnich latach. Kilkaset metrów dalej przebiega niewidzialna granica. Za nią są puby, winiarnie, pizzerie, piano bar, restauracje wegetariańskie, pseudotra-dycyjne knajpy. Po tej stronie, wokół zamku, lokale

dawnego Bari. Co najwyżej kilka starych piwiarni, jakaś kobieta, która latem piecze mięso na ulicy, inna, która smaży kawałki polenty. Dzieci grają na ulicy w piłkę, faceci z wyrokami, pozostający pod nadzorem policyjnym, stoją w małych grupkach koło zwodzonego mostu. To znaczy koło tego, co kiedyś było zwodzonym mostem, a teraz jest po prostu małym kamiennym mostem. Od czasu do czasu zjawia się policja i zabiera tych pod nadzorem, aby spisać protokół, jak powiada. Ci, co dostali policyjny nadzór, mają zakaz spotykania się i kontaktów ze skazanymi. Złamanie go jest uważane za przestępstwo. Ale oni spotykają się mimo wszystko. Mają przyjaciół tylko wśród sobie podobnych. Z kim mieliby się spotykać, żeby zamienić dwa zdania? Ich ulubionym miejscem jest zamkowy most. Wiedzą o tym wszyscy i oczywiście wie o tym również policja - komenda jest kilkaset metrów dalej - która zjawia się, żeby uaktualnić swoje dane statystyczne.

Ci, co prowadzą nocny tryb życia, nie bawią się w okolicy zamku. Nawet się do niego nie zbliżają. I dlatego późnym wieczorem, kiedy mieszkańcy już śpią, jest tu zupełnie pusto. Podobnie jak wiele lat temu.

Usiadłem na murku, nie wiedząc, po co przyszedłem. Nie wiedząc, czemu krążę po mieście. Nie wiedząc nic. Patrzyłem w pustkę i nie potrafiłem przywołać żadnego wyraźnego wspomnienia. Słów, głosu, czegoś, co odebrałem zmysłami w zamierzchłej przeszłości. W której żyliśmy kiedyś.

- Panie mecenasie, wszystko w porządku? Coś nie tak?

Drgnąłem, jak kiedy potrzęsają tobą w chwili, kiedy już usypiasz.

To był diler, którego bronilem kilka lat wcześniej. Nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywa. Jego twarz

przypominała pyszczek żółwia. Było w niej coś dobrotliwego, a zarazem obojętnego.

- Mój stary przyjaciel popełnił samobójstwo, jest mi smutno. Bardzo smutno.

Tamten nic nie odpowiedział, kiwnął tylko lekko głową i po chwili wahania usiadł na murze koło mnie. Siedzieliśmy tak w milczeniu, w zaułkach Starego Miasta cichły ostatnie hałasy, a mnie ogarnął dziwny spokój.

Po kilku chwilach Pyszczyk Żółwia podniósł się i wciąż nic nie mówiąc, podał mi rękę. Odruchowo wstałem również.

Miał drobną dłoń i uścisk delikatny, ale dość mocny.

Oddalił się w kierunku katedry. Ja ruszyłem w przeciwną stronę, wsłuchując się w odgłos własnych kroków na starych błyszczących kamieniach.

23.

Po tamtym wieczorze nie myślałem więcej o Emiliu. Dni mijały spokojnie i cicho. Bez rytmu, bez kolorów. Bez niczego.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem zadzwoniła do mnie Claudia. To była dziwna rozmowa. Złożyła mi życzenia, ja jej również, a potem zapadła cisza. Cisza pełna zakłopotania. Wydawało mi się, że zadzwoniła z jakiegoś konkretnego powodu, żeby powiedzieć mi coś równie konkretnego, co nie miało być bożonarodzeniowymi życzeniami i że kiedy usłyszała mój głos, zmieniła zdanie.

Milczeliśmy i miałem dziwne wrażenie, że jest między nami jakieś niedomówienie. Kiedy skończyliśmy, nadal nie wiedziałem, dlaczego zadzwoniła.

Prawdopodobnie ona też nie wiedziała.

Dwudziestego trzeciego grudnia do kancelarii przysłała kartka pocztowa z Senegalu. Napisano na niej tylko: *na Boże Narodzenie i Nowy Rok*. Bez podpisu.

To był Abdou Thiam, mój senegalski klient - obnośny handlarz pracujący we Włoszech, nauczyciel ze szkoły podstawowej w Senegalu - który rok temu miał proces. Został oskarżony o porwanie i zabicie dziewięcioletniego chłopca. Został uniewinniony i wrócił do swojego kraju, a później

wysyłał mi czasami kartki, z kilkoma słowami, czasami zupełnie puste. Zawsze bez podpisu i bez adresu zwrotnego. Abdou groziło dożywocie i te kartki miały mnie powiadomić, że nie zapomniał, co dla niego zrobiłem. Przez kilka minut znowu myślałem o tym procesie i o wszystkim, co wydarzyło się wcześniej i potem. Wydawało mi się, że minęło całe życie, nie zaś niecałe dwa lata, i nagle doszedłem do wniosku, że nie mam najmniejszej ochoty rozmyślać nad upływem czasu i naturą wspomnień. Odłożyłem więc kartkę do szuflady, gdzie leżały już inne, i zadzwoniłem po Marię Teresę. Aby załatwić ostatnie sprawy, wyjść i znaleźć się na ulicach pełnych ludzi, wśród ożywionego tłumu.

Na Wigilię zostaliśmy zaproszeni do przyjaciół. Margherita zadecydowała, że wymienimy podarunki przed wyjściem, i tak po dziewiątej, odświętnie ubrani, spotkaliśmy się u niej przy małej choince udekorowanej ogromnymi szyszkami i cienkimi plasterkami suszonych owoców cytrusowych. Były niemal przezroczyste i połyskiwały barwnymi refleksami. Dom wypełniały przyjemne zapachy. Świerkowych igieł, czystości, pachnących świec, ciasta z czekoladą i wanilią, które Margherita przygotowała na Wigilię. Z wieży stereo płynęły wesołe dźwięki *Bright Side of the Road*.

- Masz podejrzenie puste ręce, Guerrieri. Jeśli znajde pod twoją marynarką kolejną płytę albo książkę, albo cokolwiek, co nie jest prawdziwym prezentem, przysięgam, że cię porzucę jeszcze dziś wieczór i zaręcę się, powiedzmy, z nauczycielem tańców latynoamerykańskich.

- Myliłem się co do ciebie. Myślałem, że jesteś wrażliwą kobietą, niezwracającą uwagi na sprawy materialne, zainteresowaną sztuką, literaturą, muzyką. W każdym

razie nie widzę pod choinką stosu prezentów przeznaczonych dla mnie.

- Usiądź i zaczekaj - powiedziała, oddalając się w stronę kuchni. Wróciła po minucie, pchając przed sobą ogromną paczkę o nieregularnym kształcie, zawiniętą w granatowy papier i przewiazaną czerwoną wstążką.

- To jest mój prezent, ale jeśli nie zobaczę twojego, nie waż się nawet zbliżyć.

- Czyżbyś nie знаła czystej przyjemności obdarowywania wyłącznie po to, żeby sprawić komuś radość, bez oczekiwania na rewanż, a tylko na wdzięczność i uśmiech? Czyżbyś nie znała...

- Nie, znam tylko zasadę wymiany. Wyjmuj prezent.

Potrząsnąłem głową. Zgoda, skoro nie wiesz, co to radość dawania, idę.

Wyszedłem na klatkę schodową i wróciłem, prowadząc za rączkę czerwony rower, błyszczący i śliczny.

- Czy to wystarczy, żeby uświadomić ci twoją małostkowość?

Margherita długo głaskała rower, jak gdyby nie wystarczyło jej samo patrzenie. Zupełnie jak ktoś, kto poznaje rzeczy przez dotyk, a nie tylko wzrokiem. Potem pocałowała mnie i oznajmiła, że teraz już mogę rozpakować swój prezent.

To był fotel na biegunach, z drewna i wikliny. Zawsze chciałem taki mieć, już w dzieciństwie, ale nie pamiętałem, żebym jej o tym kiedykolwiek wspomniał. Usiadłem, zamknąłem oczy i zacząłem się bujać.

- Wesółych świąt - powiedziałem po dwóch czy trzech minutach. Półgłosem, z zamkniętymi oczami, jak gdybym mówił sam do siebie, na granicy snu i jawy.

- Wesółych świąt - odpowiedziała, również półgłosem, głaszcząc mnie po włosach, twarzy, oczach.

CZEŚĆ DRUGA

1.

Lewy, lewy, prawy, jeszcze raz lewy sierpowy.

Suchy cios, prosty prawy, lewy sierpowy.

Lewy, prawy, lewy.

Prawy.

Koniec.

Leżąc na kanapie, oglądałem dokument o Cassiusie Clayu - Muhammadzie Alim. Dla kogoś, kto naprawdę wie, co dzieje się na ringu, oglądanie Muhammada Alego jest rzeczywiście czymś nadzwyczajnym.

Na przykład sposób, w jaki pracują jego nogi. Aby naprawdę to zrozumieć, trzeba stoczyć choćby jedną walkę na ringu. Niewielu o tym wie, ale powierzchnia ringu jest miękka. Nie jest łatwo po nim skakać.

To nadzwyczajne widzieć tego człowieka, dziś chorego na Parkinsona, jak tańczy na ringu. Sto dziesięć kilogramów tańczących z lekkością motyla. Tańczę jak motyl, kłuję jak osa, tak mówił o sobie.

Ciosy sprawiają ból i na ogół nie są piękne. To właśnie dlatego jest coś niewiarygodnego w tym nadludzkim wdzięku. Jak gdyby przewycięzał opór materii i strach, wydobywał się z błota i krwi i wznosił do ideału piękna.

Na końcu pokazano serię zdjęć młodego Cassiusa Claya, pięknego i triumfującego. Tańczył lekko i niemal

bezcieleśnie. A potem zdjęcia starego Muhammada Alego zapalającego ogień na igrzyskach olimpijskich w Atlancie. Patrzyłem, jak drży, a na jego twarzy maluje się straszliwy wysilek, bo usiłuje się nie pomylić przy wykonywaniu tego prostego ruchu.

Zastanowiłem się, jak to będzie, kiedy się zestarzeję. Zastanowiłem się, czy w ogóle to zauważę. Pomyślałem, że okropnie się tego boję. Nurtowało mnie, czy w wieku siedemdziesięciu lat - jeśli dożyję - będę w stanie zareagować, kiedy ktoś napadnie mnie na ulicy. To idiotyczna myśl, wiem o tym. Ale tak właśnie pomyślałem i poczułem, że pocę się ze strachu.

Wstałem więc z kanapy, kiedy na ekranie przesuwały się napisy z nazwiskami autorów filmu, zdjąłem buty, koszulę i spodnie, zostałem w skarpetkach i slipach. Następnie zdjąłem ze ściany rękawice i nastawiłem budzik na trzy minuty regularnej rundy, jak w boksie zawodowym.

Walczyłem przez osiem rund, z przerwami trwającymi za każdym razem minutę, uderzając, jak gdyby chodziło o zdobycie tytułu albo życie. Nie myślałem o niczym. Nawet o starości, która prędzej czy później nadejdzie.

Potem wziąłem prysznic. Bolały mnie ramiona i wzrok miałem zamglony. Ale przynajmniej przygnębienie minęło.

2.

Z Martina i siostrą Claudią spotkałem się w barze koło sądu na pół godziny przed rozpoczęciem rozprawy. Żeby raz jeszcze powtórzyć jej, jak ma się zachować.

Kilka dni temu przyniosła mi dokumentację medyczną, a ja porównałem ją z tą, którą przedstawił na rozprawie Dellisanti. Były jednakowe. To znaczy dokumentacja, którą dysponował Dellisanti, była kserokopią naszej. Kiedy je oglądałem, zwróciłem uwagę na pewien szczegół i zapisałem go w notatkach czerwonym długopisem. Ważny szczegół.

Martina doskonale zapamiętała wszystko, co jej powiedziałem miesiąc wcześniej. Była spięta, wypaliła jeden za drugim pięć albo sześć papierosów, ale wyglądała na opanowaną.

Kiedy skończyliśmy, zapytała znowu, czy Scianatico będzie obecny na rozprawie. Ponownie odpowiedziałem, że nie wiem, ale jeśli mam snuć przypuszczenia, to chyba tak. Na miejscu Dellisantiego poradziłbym mu, żeby się stawił.

Zauważyła, że mam ze sobą dokumentację medyczną, i spytała, do czego mi potrzebna. Żeby zadać pani pytania, o których już mówiliśmy, odparłem.

Potrzebna mi była jeszcze do czegoś, czego ani Dellisanti, ani jego klient się nie spodziewali, ale to zachowałem

dla siebie. Spytałem Martinę, czy ma jeszcze jakieś pytania. Nie miała, więc oświadczyłem, że możemy iść do sądu.

Scianatico przyszedł. Siedział obok swojego adwokata i przeglądał akta. Wyglądał na spokojnego. Profesjonalista pośród profesjonalistów. Był elegancki i opalony. Kiedy się na niego patrzyło, nie odnosiło się wrażenia, że to ktoś, kto musi się bronić przed hańbiącym oskarżeniem.

Z nim i Dellisantim przywitaliśmy się jedynie kiwnięciem głowy, niezbędne minimum.

Alessandry Mantovani natomiast nie było na sali. Jej miejsce zajął wiceprokurator honorowy, facet, którego nigdy przedtem nie widziałem. Miał bardzo gęste brwi, włosy wystające z wielkich nozdrzy i uszu, podkrążone oczy, półprzymknięte i nieco przekrwione. Przypominał guźca i miał poważne kłopoty z podstawowym zasobem słów.

Wstrzymując oddech, spytałem go, czy został oddelegowany na całe posiedzenie sądu. To znaczy również na naszą rozprawę. W takim bowiem wypadku moglibyśmy nie tracić czasu i spokojnie wrócić do domu.

Nie, odpowiedział guziec, nie został oddelegowany na całe posiedzenie. Prokurator Mantovani musiała załatwić jakąś osobistą sprawę i on miał do niej zadzwonić, kiedy skończą się wcześniejsze rozprawy. Potem, wyczerpany wypowiedzią, oparł się o leżące przed nim akta. Zauważyłem, że nosi obrączkę, i odruchowo zastanowiłem się, jak może wyglądać jego żona i czy zdobył ją dzięki tym długim włosom wyrastającym z nosa i uszu. Może ona wygląda podobnie.

Chyba jednak zwariowałem, doszedłem na koniec do wniosku, i nie myślałem już o tym.

Zjawił się Caldarola, przeprowadzono kilka ugod, odda-
leń skarg, odroczeń. Następnie sędzia udał się do sali na-
rad, aby podyktować formuły wyroków, a wiceprokurator
guziec zniknął.

Kilka minut później przyszła Alessandra Mantovani.
Scianatico i Dellisanti wstali, aby się z nią przywitać. Dla
mnie tego nie zrobili. Nie spodobało mi się to, ale wiedzia-
łem, że przekazują mi pewien komunikat. Oznaczał: wie-
my, że wykonujesz swoją pracę i nie mamy do ciebie pre-
tensji. Dupkiem jest on - to znaczy ja - i z nim się porachu-
jemy, kiedy wszystko się już skończy. Alessandra z lodowa-
nym uśmiechem ucisnęła dłoń najpierw Dellisantiemu,
potem Scianatikowi. Tylko jej wargi poruszały się przez
ułamek sekundy, oczy natomiast pozostały nieruchome,
chłodne. Wpatrywały się prosto w ich twarze.

To również był komunikat.

Potem rozległ się dzwonek zapowiadający powrót sę-
dziego.

Zaraz mieliśmy zacząć.

A zatem kto jest pierwszym świadkiem oskarżenia?

- Wysoki sędzie, oskarżenie wzywa na świadka stronę
pokrzywdzoną, panią Martinę Fumai.

Protokolant wyszedł z sali i słysząc było, jak woła Mar-
tinę po nazwisku. Chwilę później weszli. Martina miała na
sobie dzinsy, golf i żakiet.

Usiadła, podała swoje dane, a protokolant wręczył jej
zafoliowaną kartkę, brudną od tysiąca rąk, z formułą, którą
miała odczytać przed złożeniem zeznań.

- Świadoma odpowiedzialności moralnej i prawnej zo-
bowiązuję się mówić całą prawdę i nie ukrywać niczego, co
mi jest wiadome.

Mówiła cicho, ale dość stanowczo. Patrzyła przed siebie
i wyglądała na skupioną.

- Proszę panią prokurator o rozpoczęcie przesłuchania.
- Dzień dobry, pani Fumai. Może nam pani powiedzieć, kiedy poznała pani oskarżonego Gianlukę Scianatica?

Alessandra Mantovani była stworzona do tego rodzaju pracy. Przesłuchanie Martiny trwało ponad godzinę i nie padło żadne zbędne pytanie. Wszystkie były krótkie, jasne, proste. Ton oficjalny, lecz nie chłodny. Martina opowiedziała całą swoją historię i nie zgłoszono żadnego sprzeciwu. Kiedy przyszła moja kolej, tak jak się spodziewałem, pozostało mi do zadania niewiele pytań. Mogłem jeszcze tylko zapytać o pobyt w szpitalu i problemy psychiczne. Sędzia udzielił mi głosu i z jego tonu wywnioskowałem, że nie zapomniał o tym, co wydarzyło się na ostatniej rozprawie.

- Pani Fumai, odpowiedziała pani obszernie na pytania pani prokurator. Nie będę do tych tematów wracał. Chcę zadać tylko jedno pytanie dotyczące niektórych faktów z pani przeszłości. Zgoda?

- Zgoda.

- Miała pani kiedyś problemy ze zdrowiem psychicznym?

- Tak. Przeszłam wyczerpanie nerwowe.

- Może nam pani powiedzieć, czy stało się to przed poznaniem oskarżonego, czy po?

- Przed.

- Proszę nam powiedzieć, kiedy to było i co było przyczyną owego wyczerpania nerwowego.

- Chyba dwa... nie, trzy lata zanim się poznaliśmy. Miałam problemy związane z nauką.

- Może nam pani krótko przedstawić charakter tych problemów?

- Nie byłam w stanie ukończyć studiów. Do dyplomu brakowało mi tylko jednego egzaminu, wielokrotnie

próbowałam go zdać, ale mi się nie udawało... w pewnym momencie załamalam się.

- Zdaję sobie sprawę, że wracanie do tego musi być dla pani bolesne, ale może nam pani powiedzieć, co się stało?

Po prawej stronie Dellisanti i Scianatico rozmawiali podenerwowani. Nie spodziewali się tego. Wyobraziłem sobie podstępne pytania, które sobie przygotowali. Czy cierpiała pani na choroby psychiczne? Czy była pani leczona psychotropami? Czy jest pani obłąkana? I tak dalej. Pomyślałem z satysfakcją, że zepsułem im przyjemność. Walcie się.

- Przy szóstym podejściu do tego egzaminu wpadłam w rozpacz. Studia na uniwersytecie były dla mnie trudnym, męczącym okresem. Kiedy pozostał mi jeden jedyny egzamin, pomyślałam, że wyszłam na prostą. A tymczasem zatrzymałam się przed ostatnią przeszkodą. Przed szóstym podejściem uczyłam się jak szalona, czternaście godzin dziennie, może nawet więcej. Nie mogłam spać i musiałam brać anksjolityki. W noc poprzedzającą egzamin nie zmrzyłam oka, wciąż usiłowałam powtarzać materiał. Kiedy następnego ranka nadeszła moja kolej, spałam na ławce i nie usłyszałam wezwania.

- Ile miała pani wtedy lat? A ile ma pani teraz?

- Miałam dwadzieścia osiem, prawie dwadzieścia dziewięć. Teraz mam trzydzieści pięć.

- Czy zwróciła się pani do specjalisty?

- Po dziesięciu dniach trafiłam do szpitala.

- Może nam pani powiedzieć, jakie miała pani objawy?

Zamilkła na chwilę. To był najtrudniejszy moment. Jeśli uda nam się przez to przejść, najtrudniejsze będziemy mieli za sobą. Wzięła głęboki oddech. Przyszło jej to z trudnością, jak gdyby coś nie pozwalało jej nabrać powietrza.

- Nic mnie nie interesowało, myślałam o śmierci, płakałam. Budziłam się wcześniej rano, kiedy było jeszcze ciemno, udręczona lękiem. Fizycznie czułam się bardzo słaba, miałam ciągle migreny i bóle całego ciała. Ale przede wszystkim miałam poważne problemy z jedzeniem. Nie mogłam jeść. Kiedy próbowałam coś przełknąć, natychmiast wymiotowałam.

Zrobiła kolejną przerwę, jak gdyby zbierała siły.

- Musieli zastosować sztuczne odżywianie. Kroplówką i sondą.

Odczekałam chwilę, żeby drastyczność tej opowieści zapadła sądowi w pamięć, i dopiero potem przeszedłem do następnych pytań.

- Czy miała pani zaburzenia psychiczne, halucynacje, inne objawy?

Martina po raz pierwszy oderwała wzrok od nieokreślonego punktu na którym skupiała się od początku przesłuchania. Odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie. Zdziwiona. Do czego zmierzam? Co mają z tym wspólnego halucynacje?

- Czy miała pani halucynacje? Widziała pani rzeczy, których nie ma. Słyszała głosy?

- Nie, z pewnością nie. Nie byłam... nie jestem obłąkana. Przeszłam wyczerpanie nerwowe.

- Jak długo przebywała pani w szpitalu?

- Trzy tygodnie, może nieco dłużej.

- Dlaczego panią wypisano?

- Bo zaczęłam jeść.

- A potem?

- Chodziłam na psychoterapię i brałam leki.

- Jak długo trwała terapia?

- Brałam leki przez kilka miesięcy. Chodziłam na psychoterapię... może półtora roku.

- Potem zdołała pani ukończyć studia?

- Tak.
- Kiedy poznała pani oskarżonego, miała już pani dyplom?
- Tak, już pracowałam.
- Czy kiedy poznała pani oskarżonego, kontynuowała pani leczenie?
- Nie, prawdziwe leczenie już się skończyło. Co trzy albo cztery miesiące chodziłam na spotkanie z psychoterapeutą. To były, jak to się mówi... wizyty kontrolne.
- Czy w czasie waszego związku wspomniała pani oskarżonemu o problemach, o których teraz nam pani opowiedziała?
- Oczywiście.
- Czy ma pani kserokopię dokumentacji medycznej z pobytu w szpitalu?
- Tak.
- Czy miała ją pani również w czasie trwania związku z oskarżonym?

Kolejna przerwa. Kolejne zaskoczone spojrzenie. Nie rozumiała, do czego zmierzam. Ja wiedziałem dobrze. Delisanti i Scianatico również zaczynali się domyślać.

- Oczywiście.
- Czy to jest ta dokumentacja? Wysoki sędzie, czy mogę podejść do świadka i pokazać mu te papiery?

Caldarola kiwnął głową i skinął ręką. Mogłem się zbliżyć. Dziękuję, dupku.

Martina przez kilka sekund patrzyła na papiery. Nie potrzebowała wiele czasu, żeby je rozpoznać, skoro sama mi je dała. Uniosła ku mnie wzrok. Tak, to jest jej karta choroby, tak, ta, którą trzymała w domu, kiedy mieszkała ze Scianatikiem. Nie, nigdy jej szczególnie nie pilnowała, nie, nie w sejfie ani nawet nie w szufladzie zamykanej na klucz.

- Dziękuję pani. Na razie nie mam więcej pytań, wysoki sędzie. Muszę natomiast wnioskować o włączenie do akt

rozprawy dokumentacji, którą pokazano świadkowi i którą świadek rozpoznał.

Dellisanti wpadł w pułapkę i zgłosił sprzeciw. Powinienem być wnioskować o włączenie dokumentacji do akt podczas rozprawy wstępnej, oznajmił, nawet nie wstając. Poza tym chyba chodzi o tę samą dokumentację, którą przedstawili oni. A więc jest to wniosek zbędny.

- Wysoki sędzie, mógłbym powiedzieć, że skoro chodzi o tę samą dokumentację, którą przedstawiła obrona oskarżonego, powód sprzeciwu pozostaje niejasny. A może jest aż zbyt jasny, ale do tego przejdziemy we właściwym momencie. To prawda, to ta sama dokumentacja, którą przedstawiła obrona oskarżonego. Obrona dysponuje kserokopią i my również, zrobioną bezpośrednio z karty choroby wydanej przez szpital. Ale na naszej kserokopii jest kilka notatek zrobionych ręcznie piórem przez lekarza, który opiekował się moją klientką po wypisaniu jej ze szpitala. Jak wspominałem, zapiski na naszej kserokopii są oryginalne. A zatem można uznać, że nasza dokumentacja jest zarazem kserokopią i oryginałem. Wystarczy rzucić okiem na naszą dokumentację i na tę przedstawioną przez obronę, aby stwierdzić, że ich papiery są kserokopią naszych. Z powodów, które wyjaśnimy dokładniej potem, ale których wysocki sąd już się z pewnością domyśla, ważne jest włączenie naszej kserokopii do akt sprawy.

Caldarola nie miał argumentów, aby odrzucić mój wniosek, a argumenty wysunięte przez Dellisantiego były doprawdy nieistotne. Wyraził więc zgodę na włączenie do akt, a następnie ogłosił, że zanim obrona przesłucha świadka, zrobimy dziesięciominutową przerwę.

3.

Kiedy Caldarola oznajmił Dellisantiemu, że może przystąpić do przesłuchania świadka, ten, nie podnosząc głowy, odpowiedział: „Dziękuję, wysoki sądzie, za sekundę”. Przerzucał papiery, jak gdyby szukał dokumentu niezbędnego do rozpoczęcia przesłuchania.

Udawał tylko. Była to sztuczka mająca wyprowadzić Martinę z równowagi, zmusić ją, żeby zwróciła się w jego stronę i żeby ich spojrzenia się spotkały. Martina zachowała zimną krew. Nawet nie drgnęła. Nie odwróciła się w kierunku obrony i w końcu, kiedy milczenie zaczęło stawać się kłopotliwe, Dellisanti musiał ustąpić. Zamknął teczkę z aktami, nic z niej nie wyjąwszy, i zaczął zadawać pytania.

Pierwszy numer ci się nie udał, tłściochu, pomyślałem.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi pani, okresowo, systematycznie, na wizyty do psychiatrii. Czy tak, panno Fumai? - Położył nacisk na panno, aby było jasne, że chodzi o obelgę. Znaczyło to: kobieta zbliżająca się do wieku średniego i nieumiejąca znaleźć sobie męża.

- Mamy spotkania co trzy, cztery miesiące. To rodzaj konsultacji. W każdym razie chodzę do psychoterapeuty.

- Czy można zatem uznać, że od chwili załamania nerwowego i pobytu w szpitalu na oddziale psychiatrycznym

nie przestała się pani leczyć z zaburzeń psychicznych?

Podniosłem się z miejsca, oparłem ręce o stół.

- Sprzeciw, wysoki sędzie. Tak sformułowane pytanie jest nie do przyjęcia. Nie ma na celu uzyskania odpowiedzi, czyli informacji ważnych dla podjęcia decyzji, lecz jedynie obrazę i zastraszenie świadka.

- Panie mecenasie Guerrieri, proszę nie oceniać intencji obrony. Zobaczmy, co ma do powiedzenia świadek. Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Fumai. To prawda, że nigdy nie przestała się pani leczyć?

- Nie, wysoki sędzie, to nieprawda. Jak już wspomniałam, prawdziwe leczenie trwało półtora roku, może trochę dłużej. Miałam wówczas po dwa spotkania z psychoterapeutą tygodniowo. Potem ograniczyliśmy je do jednego w tygodniu, potem do dwóch w miesiącu...

- Sformułuję pytanie raz jeszcze, panno Fumai. Czy można powiedzieć, że pani nigdy nie przerwała wizyt u psychiatry, a jedynie zmniejszyła ich częstotliwość?

- Tak rzecz ujmując...

- Może pani powiedzieć, czy kiedykolwiek przestała pani chodzić do psychiatry? Tak czy nie?

Martina zacisnęła usta, tak że jej wargi utworzyły wąską kreskę. Przez chwilę byłem przekonany, że wstanie i wyjdzie bez słowa.

- Nigdy nie przestałam chodzić do psychoterapeuty. Chodzę do niego trzy, cztery razy w roku.

- Kiedy ostatnio psychiatra wyznaczył pani wizytę?

Powtarzał systematycznie psychiatra. Odwoływało się ono bardziej dobitnie, chociaż nie bezpośrednio, do choroby umysłowej. To był prymitywny i trochę brudny chwyt, ale z jego punktu widzenia miał sens.

- To nie są wizyty, to są spotkania, w czasie których rozmawiamy.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.
- Ostatnim razem byłam u mojego...
- Tak.
- ...tydzień temu.
- Aha, ciekawy zbieg okoliczności. Skoro upiera się pani przy psychoterapeucie, wyjaśnijmy to nieporozumienie terminologiczne: chodzi o lekarza psychiatrę czy o psychologa?
- Jest lekarzem.
- Psychiatrą?
- Tak.
- Z jakiego powodu chodzi pani do niego nadal, skoro jest już pani zdrowa?
- Uważa, że powinniśmy się spotykać, aby ocenić, w jakiej jestem formie psychicznej...
- Proszę mi wybaczyć, że pani przerwę, ale to mnie nie interesuje. Czy to psychiatra uznał te okresowe spotkania za konieczne?
- Nie żeby uważał je za konieczne...
- Proszę mi wybaczyć. Czy to psychiatra uznał w pewnym momencie, że pani stan psychiczny się poprawił i nie jest już konieczne, abyście się widywali dwa razy w tygodniu i że wystarczy raz?
- Tak.
- Czy to psychiatra uznał w pewnym momencie z tych samych powodów, że nie jest już konieczne, abyście się widywali raz w tygodniu, wystarczy dwa razy w miesiącu?
- Tak.
- Czy to psychiatra uznał, że musi pani do niego przychodzić przez resztę życia, choćby tylko cztery razy do roku?
- Przez resztę życia? Co też pan mówi?
- A więc nie przewiduje, że będzie panią leczył tak długo, jak długo będzie pani żyła?

- Z pewnością nie.
- Kiedy pani problemy znikną całkowicie, będzie pani mogła zakończyć te wizyty? Czy tak?

Martina odwróciła się wreszcie i spojrzała na niego z wyrazem twarzy dziecka, które się zastanawia, dlaczego dorośli są tacy głupi. I nie odpowiedziała. On zaś nie nalegał. Nie było takiej potrzeby. Zdołał osiągnąć to, czego chciał. Miałem ochotę rozwalić mu pysk, ale trzeba przyznać, że był dobry.

Dellisanti zrobił długą przerwę, aby wszyscy należycie ocenili rezultat, który udało mu się osiągnąć. Przybrał obojętny wyraz twarzy. W istocie jednak było w nim coś okrutnego, czy wręcz obscenicznego.

- Czy to prawda, że kiedyś podczas kłótni w obecności osób trzecich - waszych przyjaciół - profesor Scianatico w zdenerwowaniu powiedział dosłownie: jesteś mitomanką, jesteś nie zrównoważona psychicznie, jesteś niewiarygodna i niebezpieczna dla samej siebie i dla otoczenia? - Dellisanti zmienił ton, położył nacisk na słowa mitomanka, nie zrównoważona, niewiarygodna, niebezpieczna. Ktoś słuchający niezbyt uważnie mógłby odnieść wrażenie, że ma do czynienia z adwokatem, który obraża świadka. Co w gruncie rzeczy było prawdą.

Stara marna sztuczka, prowokacja mająca na celu wprowadzenie świadka z równowagi. Czasami działa.

Już miałem zgłosić sprzeciw, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Pomyślałem, że zgłosić sprzeciw oznaczałoby pokazać, że się go boję, że myślę, iż Martina nie zdoła odpowiedzieć i poradzić sobie sama. Nie podniosłem się więc z miejsca i milczałem, lecz w ciągu tych kilku sekund dzielących pytanie Dellisantiego od odpowiedzi Martiny poczułem ból w mięśniach nóg i przyspieszone bicie serca. Znaki, które daje ciało, zanim nastąpi instynktowna reakcja, a potem mózg wyda polecenie, żeby nic nie robić.

Podobnie jak wtedy, kiedy już zamierzasz wdać się w bójkę, ale rozsądek cię powstrzymuje.

Byłem pewien, że tak samo rozumowała Alessandra Mantovani. Kiedy odwróciłem się w jej stronę, zobaczyłem, że poprawia się na krześle, jak gdyby już zdążyła się przesunąć na jego skraj, żeby wstać i zgłosić sprzeciw.

Wreszcie Martina odpowiedziała:

- Sądzę, że tak. Sądzę, że powiedział mniej więcej coś takiego. Niejeden raz.

- Chcę się dowiedzieć, czy pani pamięta, przy jakiej okazji powiedział to pani w obecności przyjaciół. Pamięta pani?

- Nie, nie pamiętam przy jakiej okazji. Na pewno powiedział coś w tym stylu. Zresztą mówił jeszcze inne rzeczy. Na przykład...

Dellisanti jej przerwał. Zniecierpliwionym i aroganckim tonem kogoś, kto zwraca się do podwładnego niewykonyującego prawidłowo jego poleceń.

- Proszę dać spokój innym rzeczom, panno Fumai. Moje pytanie dotyczyło przedmiotu, okoliczności tamtej kłótni, tego, czy je pani pamięta. Nie zaś tego, co...

- Wysoki sędzie, czy zechcemy pozwolić, aby świadek dokończył odpowiedź? Obrona zadaje pytanie, aby zrozumieć okoliczności, w których pewne słowa - nad wyraz obraźliwe, nawiasem mówiąc - zostały wypowiedziane. Nie może żądać, aby świadek mówił to, co obrona chce usłyszeć, ani cenzurować reszty jego zeznań. Posługując się między innymi niedopuszczalnym tonem, mającym zastraszyc panią Fumai.

Alessandra nie zdążyła jeszcze z powrotem usiąść, kiedy Dellisanti zerwał się z miejsca i zaczął wrzeszczeć.

- Proszę uważać na to, co pani mówi. Nie pozwolę żadnemu prokuratorowi zwracać się do mnie w ten sposób i stawiać mi podobnych zarzutów.

Nie wiem, jak udało się Alessandrze przerwać na moment ten potok słów. Zrobiła to jednym zdaniem, krótkim, szybkim i zabójczym jak cios sztyletem.

- Niech pan uważa, mecenasie, proszę uważać na siebie.

Powiedziała to tonem ścinającym krew w żyłach. Była w tych wyszczypanych słowach jakaś siła, która wprawiła w osłupienie wszystkich obecnych, łącznie ze mną.

Wówczas Caldarola przypomniał sobie, że jest sędzią i że może nadszedł czas, żeby się wtrącić.

- Proszę wszystkich o spokój. Nie rozumiem doprawdy tej wrogości i namawiam do zachowania zimnej krwi. Niech każdy robi, co do niego należy i, niech próbuje uszanować pracę innych. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, mecenasie Dellisanti?

- Nie, wysoki sędzie. Przyjmuję do wiadomości, że świadek nie potrafi albo nie chce przypomnieć sobie epizodu, o którym wspomniałem. Opowie o nim profesor Scianatico, a przede wszystkim świadkowie, których umieściliśmy na naszej liście. Skończyłem.

- Czy prokurator chce dokończyć przesłuchanie?

- Tak, mam parę pytań, które w świetle przesłuchania obrony okazały się konieczne.

Z formalnego punktu widzenia nie musiała niczego dodawać. Ale w ten sposób podkreśliła, iż to, że zeznania oskarżonego się odwołują, jest wynikiem błędu popełnionego przez obronę. Jednym słowem, wykazała chęć kompromisu.

- Pani Fumai, czy zechce nam pani przytoczyć inne słowa, które kierował do pani oskarżony? A więc to, co chciała pani powiedzieć, zanim pani przerwano?

Martina przytoczyła inne słowa. Opowiedziała o innych upokorzeniach, oprócz bicia i przemoc psychicznej, o której opowiedziała już wcześniej. Scianatico mówił jej, że

jest do niczego, że jedyne, co się jej udało, to spotkanie go i fakt, że on postanowił się nią zająć, że nie potrafi podejmować decyzji co do własnego życia, a więc musi wykonywać jego rozkazy i zachowywać się tak, jak on jej każe. Musi być zdyscyplinowana i znać swoje miejsce.

Mówił jej, że jest suką, a suki muszą słuchać pana.

Opowiedziała wszystko pewnym, niezłamującym się głosem. Ale brzmiało to chyba jeszcze gorzej. Neutralnie, bezbarwnie. Jak gdyby coś się w niej załamało po raz drugi.

Caldarola odroczył rozprawę o trzy tygodnie i ułożył coś w rodzaju kalendarza postępowania sądowego. Na następnej rozprawie mieliśmy wysłuchać innych świadków oskarżenia. Potem miało się odbyć przesłuchanie oskarżonego. I wreszcie dwie rozprawy poświęcone przesłuchaniu świadków i biegłego zaproponowanego przez obronę.

Pożegnałem się z Alessandrą Mantovani i ruszyłem w stronę drzwi za Martina, która wstała już z krzesła dla świadków i szła kilka kroków przede mną. W tym momencie zauważyłem, że przy balustradzie stoi Claudia. Wyglądała na skupioną. Potem zorientowałem się, że patrzy na Scianatica i Dellisantiego. Patrzyła na nich w sposób, którego nigdy nie zapomnę, i widząc to spojrzenie, pomyślałem mimowolnie, że ta kobieta zdolna jest zabić.

Może się to wydawać niewiarygodne, ale w miesiącach, które poprzedziły tamto popołudnie, odzyskałam jakąś dziwną równowagę. Robił mi - albo kazał robić - te rzeczy. Marzyłam tylko, żeby wszystko jak najszybciej się skończyło. Potem wychodziłam z sypialni i nie wspominałam nikomu o tym, co zaszło. Byłam smutną dziewczynką, nie miałam przyjaciółek, ale miałam Snoopy'ego, a także moją siostrzyczkę i książki, które zabierałam do szkoły i czytałam w każdej wolnej chwili. Nie sądzę, żeby matka, aż do tamtego dnia, cokolwiek zauważyła.

Po owym deszczowym popołudniu - nie wiem, jak to się stało - powiedziała jej. Nie, to nie było całkiem tak. Próbowала jej powiedzieć. Nie pamiętam dokładnie co. Ale z pewnością nie całą prawdę. Chyba usiłowałam wybadać, czy mogę jej to wyznać, czy jest gotowa mnie wysłuchać.

Nie była gotowa.

Kiedy tylko pojęła, o czym mówię, bardzo się rozłościła. Wymyślałam jakieś obrzydliwe historie. Jestem złą dziewczynką. Czy chcę zniszczyć naszą rodzinę? Ona przecież tak się poświęca, żeby nas utrzymać. Tak mniej więcej powiedziała, a ja zamknęłam się w sobie.

Kilka dni później wróciłam ze szkoły i zobaczyłam, że nie ma Snoopy'ego. Szukałam go na podwórzu, na ulicy.

Pytałam wszystkie napotkane osoby, czy go widziały, ale nikt nic nie widział. Jeśli istnieje ból w najczystszej i najbardziej rozpaczliwej postaci, doświadczyłam go wówczas. Kiedy myślę o tamtej chwili, widzę scenę niemą, czarno-białą.

Po południu zawołał mnie do sypialni, ale nie przyszedłam. Zawołał mnie znowu, ale nie przyszedłam. Byłam w kuchni, siedziałam na krześle, oburącz obejmując kolana. Wyrzeczonymi oczami wpatrywałam się w pustkę. Chyba niewiele jest uczuć, które tak silnie się z sobą łączą, jak nienawiść i strach. Potem następuje reakcja, zależnie od tego, które z tych uczuć przeważą. Strach. Albo nienawiść.

Przyszedł po mnie do kuchni i zaciągnął do sypialni. Po raz pierwszy próbowałam stawiać opór. Nie wiem dokładnie, co robiłam. Może próbowałam go kopać, okładać pięściami, a może byłam jak sparaliżowana i nie brońiłam się. Był zdumiony i wściekły. Bił mnie mocno, a jednocześnie gwałcił. Bił po twarzy, po głowie, żebkach.

A jednak - o dziwo - kiedy skończył, nie czułam się gorzej niż poprzednim razem. To prawda, wszystko mnie bolało, ale czułam dziwną, okrutną satysfakcję. Zbuntowałam się. Już nigdy nie będzie tak jak przedtem. On też w jakiś sposób to pojął.

Matka wróciła do domu i zobaczyła, jak wygląda moja twarz. Spojrzałam na nią bez słowa, myśląc, że spyta, co się stało. Myśląc, że teraz, w obliczu oczywistości, uwierzy mi, zechce pomóc.

Odwróciła się w drugą stronę. Powiedziała coś o przygotowaniu kolacji czy o czymś, co trzeba zrobić w domu, albo jeszcze o czymś innym.

On otworzył butelkę piwa i wypił ją duszkiem. Potem czknął odrażająco.

4.

Leżałem na kanapie w swoim mieszkaniu. Czekałem, aż Margherita wróci i zadzwoni, żebym przyszedł do niej na kolację. Podobało mi się, że choć żyjemy mniej więcej razem, przychodzę do niej wieczorem, jakbym był zaproszony. Nawet jeśli do pokonania były tylko dwa piętra. W ten sposób wszystko stawało się mniej oczywiste. Mniej banalne.

Słuchałem Lou Reeda: *Transformer*. Album *Walk on the Wild Side*.

To nie było żadne CD, lecz oryginalna winylowa płyta długogrająca. Słyszeć było szum, drapanie igły i całą resztę.

Kupiłem płytę po popołudniu, w czasie tak zwanej przerwy na obiad. Kiedy miałem dużo roboty, na przykład umówione spotkania, nie wracałem do domu w porze obiadowej. Szedłem do jednego z barów w centrum, gdzie jadają pracownicy banków, zamawiałem kanapkę i piwo. Potem szedłem do księgarni albo jakiegoś otwartego cały dzień sklepu z płytami.

Trafiłem do sklepiku chłopaka, który grał na basie w zespole muzycznym. Grali rodzaj jazzującego rocka i byli dość dobrzy. Słyszałem ich wielokrotnie, w miejscach, w których bywałem późną nocą. W ostatnich latach zacząłem czuć się w nich nieswojo.

Granie jazzującego rocka czy czegokolwiek w tym stylu nie zapewniało mu środków do życia, również dlatego, że on sam i jego zespół nie zamierzali występować na weselach. Sprzedawał więc płyty, trzymając się własnych godzin otwarcia. Bywały dni, kiedy w ogóle nie otwierał sklepu i nie uprzedzał o tym klientów, kiedy indziej otwierał około jedenastej i sprzedawał bez przerwy aż do późna w nocy, kiedy zaczynały się pojawiać dziwne, surrealistyczne postaci, ludzie, którzy nie wiadomo gdzie się podziewają w ciągu dnia.

Poza nowymi CD można było tam znaleźć również mnóstwo starych winyli, oczywiście z drugiej, trzeciej albo i czwartej ręki. Na półce z nimi znalazłem oryginalny amerykański egzemplarz *Transformera* w zapieczętowanej plastikowej koszulce. Płytę, której nigdy nie udało mi się kupić. Miałem niegdyś trochę taśm z kilkoma utworami z tej płyty, ale wszystkie je straciłem albo zniszczyłem.

Należę do tych nielicznych osób, które mają jeszcze idealnie działający adapter. Pomyślałem więc, że muszę mieć tę płytę. Kiedy podszedłem do kasy - czyli do krzesła, na którym kontrabasista czytał *Dziką bandę* - i usłyszałem cenę, pomyślałem, że może nie muszę jej mieć, że lepiej zrobię, kupując wersję kompaktową, a za resztę pieniędzy zjem kolację w drogiej restauracji.

Wróciły wspomnienia z czasów wczesnej młodości, kiedy nie miałem pieniędzy. Teraz zarabiam dużo więcej, niż potrafię wydać. A zatem - kasjer basista nie miał pojęcia o moich rozmyślaniach - wyciągnąłem pieniądze, zapłaciłem, dostałem torbę, oczywiście używaną, włożyłem do środka starego Lou, który na zdjęciu na okładce wyglądał jak Frankenstein, i wyszedłem.

Płyta skończyła się i już miałem ją puścić od początku, kiedy zadzwoniła Margherita. Powiedziała, żebym

przyszedł, bo również dziś wieczór skłonna jest mnie nakarmić.

Przygotowała groch i cykorię na starą wiejską modłę. Purée z grochu, dziko rosnące cykorie, czerwona cebula z Acquavivy, czerstwy chleb, a na oddzielnym talerzu ostre papryczki. Luksusowe danie, powiedziałby chłop, u którego rodzice kupowali niegdyś owoce, jarzyny i świeże jajka.

Była też dla mnie butelka aglianico del vulture.

Tylko dla mnie. Margherita nie pije wina ani innych alkoholi. Zanim ją poznałem, przez całe lata była alkoholizką, potem z tego wyszła i nie ma nic przeciwko temu, żeby w jej obecności pić wino.

- Za dziesięć dni mam pierwszy skok. Jeśli będzie odpowiednia pogoda.

Naprawdę poszła na kurs spadochronowy. Skończyła część teoretyczną i trening sportowy, teraz przygotowywała się do skoku w pustkę z czterystu, pięciuset metrów. Kiedy mi o tym opowiadała, usiłowałem to sobie wyobrazić i poczułem, jakby ktoś ścisnął mi dłoń żółądek.

Opowiadała dalej, ale jej głos dochodził już z daleka, a ja cofnąłem się do pewnego wiosennego popołudnia sprzed wielu lat.

Trzech chłopców stoi na dachu ośmiopiętrowej kamienicy. Stoją przed niską barierką. Za barierką jest bardzo szeroki gzyms, przynajmniej na metr, niemal chodnik. Za tym chodnikiem pustka. Straszliwa w swojej banalności: na dole widać podwórze, koty i cherlawe drzewka.

Jeden z chłopców - ten, który lepiej od innych gra w piłkę, który wypalił już kilka papierosów i potrafi wyjaśnić, do czego oprócz siusiania służy ptaszek, proponuje zawody mające wyłonić najodważniejszego.

Namawia dwóch pozostałych, żeby przeskoczyli barierkę i obeszlą po gzymsie cały dach. Nie ogranicza się do

propozycji, robi to. Przeskakuje i rusza szybkim krokiem, obchodzi cały dach, potem znów przeskakuje barierkę i wraca w bezpieczne miejsce. Wtedy próbuje również drugi. Pierwsze kroki stawia z wahaniem, potem jednak idzie szybko i wkrótce wraca na miejsce.

Teraz kolej na trzeciego. Boi się, ale nieprzesadnie. Nie ma wielkiej ochoty chodzić nad przepaścią, ale nie wydaje mu się to czymś niemożliwym. Dwaj pozostali zrobili to przecież bez problemu, myśli, więc i jemu się uda. Co najwyżej będzie szedł bardzo blisko barierki, aby czuć się bezpiecznie.

A zatem on również przeskakuje barierkę, trochę niezręcznie - nie jest szczególnie zwinny, na pewno nie tak jak pozostali - i rusza, patrząc na obu kolegów. Idzie, przesuważąc ręką po barierce, jak gdyby chciał się jej trzymać. Ten, co gra dobrze w piłkę, wie, do czego służy ptaszek, i tak dalej, mówi, że tak się nie liczy. Musi oderwać rękę i iść środkiem gzymsu, nie opierając się o nic. Bo inaczej się nie liczy i będzie musiał zacząć od początku.

Chłopiec odrywa więc rękę i przesuwa się o kilka centymetrów w stronę pustki. Robi parę małych kroków i patrzy na swoje stopy. Ale kiedy patrzy na stopy, jego wzrok pada na podwórze, tam w dole. To mniej niż trzydzieści metrów, ale wydaje się otchłanią, która może wszystko pochłonąć. Gdzie wszystko może się skończyć.

Chłopiec odwraca wzrok i próbuje iść naprzód. Ale teraz otchłań jest już w nim samym. Dokładnie w tym momencie odkrywa, że będzie musiał umrzeć. Może właśnie teraz, może innym razem, ale będzie musiał.

Pojmuje, co to oznacza, z piorunującą i absolutną pewnością.

Chwyta się więc barierki, kuli, niemal zwiija w kłębek. Jak gdyby chciał chronić się przed wiatrem - w istocie to tylko lekka bryza - żeby nie stracić równowagi.

Skulony opiera się o murek, odwróciwszy się plecami do otchłani. Nie ma odwagi się podnieść, nawet odrobinę, żeby wrócić w bezpieczne miejsce.

Dwaj przyjaciele coś mówią, ale on nie słyszy. Albo raczej nie rozumie, co mówią. Nagle zaczyna się bać czegoś innego. Boi się, że podejda do niego, żeby spłatać mu jakieś figła, na przykład udadzą, że chcą go popchnąć albo przeskoczą przez barierkę i zabawią się jego kosztem.

Mówi więc: mamó, ratunku. Mówi szeptem i ogarnia go przemożna chęć, żeby się rozplakać. Potem, wciąż skulony, wspina się wolno na barierkę, niemal ześlizguje się po niej, raniąc sobie dłonie, obdzierając ze skóry kolana. Gdyby stanął na nogach, łatwo byłoby mu przejść na drugą stronę, ale on nie może stanąć na nogach, nie może zaryzykować, że spojrzy ponownie w dół.

Wreszcie jest po drugiej stronie. Koledzy wyśmiewają się z niego, a on kłamie, mówi, że kiedy szedł, skręcił nogę i dlatego nie poszedł dalej. I dlatego przeszedł przez barierkę tak śmiesznie, jak kaleka. A potem, kiedy odchodzą - i jeszcze przez kilka dni - pilnuje się, żeby kuleć, bo chce ich przekonać, że ta historia ze skręconą kostką jest prawdziwa, że nie jest żadną wymówką mającą ukryć to, że się przestraszył. Kuleje przez cały tydzień i powtarza swoją wersję - obu kolegom i sobie samemu - tyle razy, że w końcu sam już nie wie, co jest prawdą, a co jego wymysłem.

Odtąd chłopiec śni co jakiś czas, że chce przeskoczyć przez poręcz balkonu i rzucić się w dół. Ot, tak, po prostu, bez wahania. Niekiedy śni mu się, że wchodzi na poręcz i idzie po niej jak jakiś szalony linoskoczek; pewny nie tego, że mu się uda, lecz że w każdej chwili może spaść. Co zresztą za każdym razem się zdarza. Innymi razy śni, że koledzy się z niego wyśmiewają. Więc biegnie w stronę poręczy,

opiera o nią dłoń, obraca się, przeskakuje, rzuca się w pustkę, a oni patrzą osłupiali i przerażeni.

Nauczą się nie wyśmiewać ze mnie, myśli, otwierając oczy, i wtedy ogarnia go niewypowiedziany smutek, bo wie, że jego dzieciństwo się skończyło, że miał przed sobą wiele dróg, ale już ich nie ma.

Kiedy się budzę, tak właśnie myślę. Miałem przed sobą tyle dróg, ale już ich nie mam, ponieważ nie odważyłem się spróbować.

A zatem otwieram - zamykam? - oczy, wstaję i ruszam na spotkanie dnia.

Guido, słuchasz mnie?

- Tak, tak, przepraszam, coś mi przyszło do głowy i odwróciło moją uwagę.

- Co takiego?

- Nie, nic, coś związanego z pracą. Czego nie dokończyłem.

- Coś ważnego?

- Nie, nie, głupstwo.

5.

Jedna rozprawa nie wystarczyła, żeby przesłuchać wszystkich świadków oskarżenia. Inspektora policji, który został oddelegowany do śledztwa i który między innymi zdobył billingi rozmów Martiny i Scianatica. Lekarzy z pogotowia ratunkowego, którzy ograniczyli się do potwierdzenia tego, co napisali w swoich orzeczeniach i którzy oczywiście nie pamiętali z nich ani słowa. Kilka dziewczyn ze schroniska, które niekiedy pilnowały Martiny i wysłuchiwały jej zwierzeń.

Matkę Martiny.

Była to otyła kobieta, smutna i bez wyrazu. Zupełnie nie były do siebie podobne. Monotonnym i bezbarwnym głosem opowiedziała o decyzji Martiny, żeby znów zamieszkać z nią, o nocnych telefonach, o dzwoneczkach do drzwi. Dodała, że nic więcej nie wie, że nigdy nie była obecna przy kłótniach córki i jej narzeczonego. Że córka nie ma zwyczaju jej się zwierzać.

Było jasne, że przebywanie w sądzie nie sprawia jej przyjemności, że chce jak najszybciej wyjść.

Zeznając, ani razu nie spojrzała na córkę. Kiedy sędzia ją zwolnił, wyszła w pośpiechu. Nie żegnając się z Martiną, nawet na nią nie patrząc.

Potrzeba było dwóch rozpraw, żeby wysłuchać świadków. To były spokojne rozprawy, bez konfliktów, ponieważ wszyscy - Mantovani, Dellisanti, ja - wiedzieliśmy doskonale, że wynik procesu nie zależy od tych zeznań. To była tylko otoczka, rama. Cały proces sprowadzał się do słowa Martiny przeciwko słowu Scianatica. Nie było świadków bicia. Nie było świadków domowych upokorzeń. Nie było świadków kłótni na ulicy.

Nie było też świadków innych rzeczy, o których Martina opowiedziała mi kilka dni przed rozprawą i przesłuchaniem Scianatica, kiedy spotkaliśmy się w kancelarii i zadałem jej szereg pytań. Łącznie z najbardziej kłopotliwymi. Potrzebowałem wszelkich informacji, które mogłyby się przydać przy przesłuchaniu Scianatica.

Te inne rzeczy, które wyszły na jaw podczas spotkania w kancelarii, mogły się okazać bardzo użyteczne. Gdyby tylko udało mi się skłonić Scianatica do przyznania się do nich w czasie przesłuchania.

Rozprawę wyznaczono na dwudziestego kwietnia. Wówczas wszystko miało się rozstrzygnąć.

Chyba że wynik został już ustalony gdzie indziej, poza salą sądową. W pokojach, do których nie miałem wstępu.

Telefon w kancelarii zadzwonił rano, około wpół do dziewiątej, kiedy już miałem wychodzić do sądu. Maria Teresa zawiadomiła mnie, że dzwonią z biura prokurator Mantovani.

- Halo?
- Pan mecenas Guerrieri?
- Tak.
- Biuro wiceprokurator Mantovani. Proszę poczekać, zaraz oddam słuchawkę.

Zaniepokoiłem się. Złe wiadomości. Nerwy.

- Guido, to ja. Alessandra Mantovani. Wybacz, że dzwonię z sekretariatu, ale dzień zapowiada się nie najlepiej. Mam właśnie dyżur i wszystko wali mi się na głowę.

- Nie szkodzi. Co się stało?

- Chciałabym porozmawiać z tobą pięć minut, więc jeśli wybierasz się dzisiaj do sądu, mógłbyś do mnie wstąpić.

- Mogę być za kwadrans.

- Czekam na ciebie.

Kiedy znalazłem się w budynku sądu i przemierzałem korytarze wypełnione zapachem papieru i ludzi, mój niepokój wzrastał. Niepokój, jaki ogarnia człowieka, kiedy sprawy wymykają mu się spod kontroli. Nieprzyjemne uczucie dające o sobie znać, nie wiem dlaczego, z prawej strony brzucha.

Musiałem poczekać kilka minut przed gabinetem. W środku są karabinierzy, wyjaśniła sekretarka. Kiedy wyszli - niektórych z nich dobrze znałem - zobaczyłem, że niosą jakieś papiery, a na ich twarzach maluje się napięcie, jakby byli gotowi do akcji. Nie miałem wątpliwości, że idą kogoś aresztować.

Wszedłem do gabinetu, kiedy Alessandra zapalała papierosa. Na biurku leżała świeżo napoczęta paczka cameli.

- Nie wiedziałem, że palisz.

- Przestałam... przestałam sześć lat temu - powiedziała, zaciągając się łapczywie. Poczulem niemal zawrót głowy, tak wielka ogarnęła mnie ochota, żeby również zapalić. Gdyby mnie poczęstowała, zapaliłbym, ale nie zrobiła tego.

- Dwa miesiące temu przyszło zawiadomienie z Rady Najwyższej Sądownictwa o wolnym etacie w prokuraturze w Palermo. - Zaciągnęła się ponownie, równie łapczywie. - To dla mnie ciężki okres. W pracy, ale przede wszystkim

prywatnie. Gdybym miała skłonności do dramatyzowania, powiedziałabym, że nie mam już siły. Ale nie chcę cię zanudzać moimi problemami. Jeśli będę chciała się zwierzyć, napiszę list do jakiegoś pisma dla kobiet, podpisując się oczywiście fałszywym nazwiskiem. Fascynująca historia: czterdziestolatka, która robi tak zwaną karierę, emocjonalna pustka, spalone mosty, kielkująca świadomość, że nigdy nie zostanie matką, i tak dalej, i tak dalej.

Cóż za dziwne uczucie. Alessandra Mantovani zawsze sprawiała na mnie wrażenie kogoś twardego jak stal. Teraz nagle miałem przed sobą normalną kobietę, spoglądającą z przerażeniem na mijające i przyszłe lata. Robiła rozpaczliwe wysiłki, żeby się nie załamać.

- Przepraszam. Nie po to do ciebie zadzwoniłam, żeby wypłakiwać ci się na ramieniu.

Zrobiłem gest, jakbym chciał powiedzieć, że nie szkodzi, że jeśli chce popłakać sobie na moim ramieniu, i tak dalej. Nawet tego nie zauważyła.

- Zgłosiłam swoją kandydaturę. Niemal bez zastanowienia. Bo ostatnio nie wiem, co robić. Nie wiem, czego chcę... jednym słowem, no tak. Zgłosiłam swoją kandydaturę i wczoraj rano przyszło do mnie to.

Podawała mi faks. Nadruk firmowy kursywą, trochę staroświecką czcionką. Rada Najwyższa Sądownictwa. Można było przeczytać, że magister Alessandra Mantovani, prokurator sądu apelacyjnego, pełniąca funkcję zastępcy prokuratora krajowego przy sądzie w Bari złożyła aplikację i zgłosiła gotowość objęcia stanowiska w Prokuraturze Krajowej przy sądzie w Palermo na okres pół roku, z możliwością przedłużenia na dalszych sześć miesięcy. Magister Mantovani musi się stawić w prokuraturze w Palermo w ciągu tygodnia od otrzymania zawiadomienia.

Dalej następowały szczegóły techniczne. W czystym żargonie. Przystałem czytać i podniosłem wzrok.

- Jedziesz do Palermo.

Pomyślałem zaraz, że nie są to najinteligentniejsze słowa, jakie wypowiedziałem w życiu.

- Muszę tam być przed poniedziałkiem. Skoro chciałam zmiany, to życzenie się spełniło.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczałem. Czekalem, co powie. Zgasła niedopałek w szklanej popielniczce. Ze znacznie większą siłą, niż było konieczne.

- Przykro mi zostawiać niektóre procesy i rozpoczęte śledztwa. Nie mówiąc o reszcie. Jednym z takich procesów jest nasz, Scianatica. Z tego powodu, a także z innych, mam przykre wrażenie, że uciekam.

Już miałem coś powiedzieć, ale powstrzymała mnie ruchem ręki. Nie zamierzała wysłuchiwać okolicznościowych formułek.

- Właściwie nawet nie bardzo wiem, dlaczego cię wezwałam. Może czuję się jak tchórz i chciałam ci to powiedzieć osobiście, ponieważ w gruncie rzeczy zostawiam cię z całym tym kłopotem. Nie wiadomo, kogo wyznaczy prokuratura. Może się uda i przyjdzie ktoś zdolny. Albo zdolna. A może nie...

- Sądysz, że zostaniesz w Palermo?

- Kto to może wiedzieć? Zatrudnienie jest, jak przeczytałeś, na pół roku, z możliwością przedłużenia. W praktyce robi się z tego zawsze co najmniej rok, a często więcej. Za rok zastanowię się co dalej. Faktem jest, że niewiele trzyma mnie w Bari. Podobnie jak, prawdę powiedziawszy, gdzie indziej.

Poczułem się smutny i stary. Poczułem się jak ktoś, kto patrzy, jak mija czas, jak ktoś, kto patrzy, jak inni się zmieniają, lepiej lub gorzej dorośleją, odchodzą. Dokonują wyborów. On zaś zostaje w tym samym miejscu, robi te same

rzeczy, pozwalając, aby decydował za niego przypadek. Ktoś, kto patrzy, jak życie mija.

Cholera, jakże chciałem wziąć jednego camela.

Rozmowa dobiegła końca. Powiedziałem Alessandrze, że wstąpię jeszcze do niej, żeby się pożegnać, ale ona odparła, że lepiej będzie pożegnać się teraz. Nie wie, kiedy znów przyjdzie do biura. Przygotowania do wyjazdu i cała reszta.

Kiedy wstałem, podeszła do mnie. Spojrzałem jej prosto w oczy, a potem się uściskaliśmy.

Miała na twarzy rozszerzone naczynia i zmarszczki, których wcześniej nie zauważyłem.

Zamykając za sobą drzwi, zobaczyłem, że zapala kolejnego papierosa, wpatrzona w jakiś punkt za oknem.

6.

Alessandra wyjechała. Nie mieliśmy już okazji się spotkać. Tak jak przewidziała.

Zbliżała się wiosna. Życie płynęło normalnie. Cokolwiek oznacza słowo normalnie. Wychodziliśmy wieczorami z Margheritą i niekiedy z jej przyjaciółmi. Z moimi nigdy. Jeśli mam jeszcze jakichś przyjaciół.

Pewnego dnia po pogrzebie Emilia przyszło mi do głowy, żeby do kogoś zadzwonić. Chodźmy na piwo i pogadajmy trochę o życiu. Potem, na szczęście, dałem spokój.

Dwa czy trzy razy Margherita spytała, czy coś nie w porządku i czy mam ochotę o tym porozmawiać. Odpowiedziałem, że dziękuję, nie, przynajmniej na razie. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, nie wiadomo. Nie nalegała. Jest znawczynią aikido i wie doskonale, że nikogo nie można skłonić, żeby zrobił coś, do czego sam nie jest przekonany, ani nie można mu pomóc.

Coraz częściej spałem u siebie.

Pewnego razu, kiedy byłem u niej i leżałem już w łóżku, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Przymknąłem oczy i nagle się okazało, że obserwuję scenę z innego miejsca niż to, w którym znajdowałem się w sensie fizycznym. Widziałem również samego siebie. Byłem widzem.

Margherita rozbierała się, światło było przyćmione, panowała cisza, ja leżałem w łóżku i miałem przymknięte oczy, ale nie spałem.

To była bardzo smutna scena, jak niektóre wnętrza Hoppera.

Wstałem więc, ubrałem się i oznajmiłem, że muszę się trochę przejść, że wychodzę na spacer. Margherita spojrzała na mnie i po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że naprawdę się o mnie niepokoi.

O nas.

Patrzyła tak na mnie kilka sekund i w jej spojrzeniu dostrzegłem cień smutku, jakąś słabość, która była u niej czymś niezwykłym. Wydawało się, że zaraz coś powie, ale milczała. Dobranoc, powiedziała tylko, a ja uciekłem.

Na dworze poczułem się wreszcie trochę lepiej. Powietrze było chłodne, niemal zimne, i suche. Ulice opustoszały. To normalne w środę około północy w tej części miasta.

Nie zastanawiając się, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, zadzwoniłem do siostry Claudii. Kiedy wystukiwałem numer, pomyślałem, że na pewno śpi i ma wyłączoną komórkę. Jeśli nie śpi...

Odebrała po drugim dzwonku. Wyczułem w jej głosie lekkie zaskoczenie, nie spytała jednak, co się stało ani z jakiego powodu dzwonię o tej porze. Dobrze, że nie spytała, bo nie wiedziałbym, co odpowiedzieć.

Chodzę po mieście, sam. Nie chce mi się spać. Może ma ochotę na mały spacer i pogawędkę? Pewnie, że ma. Nie, nie ma potrzeby po nią przyjeżdżać, możemy gdzieś się umówić. Może być na końcu Corso Vittorio Emanuele, przed ruinami Teatro Margherita? Może być. Za pół godziny. Pół godziny. Cześć. Klik.

Aby spędzić jakoś te pół godziny, wszedłem do nocnego baru. Świetlista plama w trochę ponurej i nierealnej

ciemności, na granicy centrum i dzielnicy Liberta. Ten bar był zawsze otwarty w nocy, jeszcze zanim miasto wypełniły rozmaite rodzaje lokali i kłopot był tylko z wyborem, gdzie przesiadywać do późna. W czasach mojej młodości bar był zawsze pełny, ponieważ można tam było w środku nocy wypić kawę i kupić papierosy z przemytu. Teraz jest niemal zawsze pusty, ponieważ kawę można wypić wszędzie, a papierosy kupić w automacie.

Kiedy wszedłem, w środku siedziała jedynie para w średnim wieku, to znaczy starsza ode mnie zaledwie o kilka lat. Siedzieli na przeciwległym krańcu kontuaru w kształcie litery L. Usiadłem na wysokim stołku po drugiej stronie, mając za plecami dużą szybę i ulicę. Mężczyzna, w marynarce i krawacie, palił, rozmawiając z chudym jasnowłosym barmanem w białej kurtce i czapeczce. Ruda kobieta o smutnym wyrazie twarzy, źle umalowana i z podkrążonymi oczami, utkwiała wzrok w pustce i wyglądała, jakby się zastanawiała, jak mogła się doprowadzić do takiego stanu.

Zamówiłem kawę, której zupełnie nie potrzebowałem, ponieważ i tak nie miałem tej nocy zasnąć. Przez dziesięć minut, które spędziłem w barze, nie pojawił się żaden inny klient, ja zaś nie potrafiłem się uwolnić od niepokojącego wrażenia, że już przeżyłem - już widziałem - tę scenę.

Claudia wysiadła z furgonetki. Była ubrana tak jak zawsze - dżinsy, biały podkoszulek, skórzana kurtka - ale miała rozpuszczone włosy, niezwiązane w koński ogon, jak poprzednim razem.

Przywitała mnie kiwnięciem głowy, odpowiedziałem tym samym. Bez słowa ruszyliśmy nadmorskim bulwarem, oświetlonym starymi latarniami z kutego żelaza.

- Nie wiem, dlaczego do ciebie zadzwoniłem.
- Może byłeś sam.

- Czy to dobry powód?
- Jeden z nielicznych.
- Dlaczego zostałeś zakonnikiem?
- Dlaczego zostałeś adwokatem?
- Nie wiedziałem, co robić. A nawet jeśli wiedziałem,

bałem się spróbować.

Wyglądała na zdziwioną tym, że odpowiedziałem. Wyglądała, jakby rozważała moją odpowiedź. Wreszcie potrząsnęła głową. Nic nie powiedziała. Przez dłuższy czas szliśmy w milczeniu.

- Jesteś sam?

Miałem odruch, aby powiedzieć, że tak, ale zaraz się zawstydzilem.

- Nie. To znaczy mam własne mieszkanie, ale żyję z kimś.

- Masz na myśli: z kobietą.

- Tak, tak, z kobietą.

- A ona nie ma nic przeciwko temu, że wychodzisz sam w środku nocy?

Kiedy Claudia zadawała to pytanie, twarz Margherity nałożyła mi się w wyobraźni na twarz Sary, mojej byłej żony. Przyprawilo mnie to o zawrót głowy. Dokładnie tak, zawrót głowy, to znaczy miałem wrażenie, że jestem wysoko, bez żadnej bariery, bez niczego, czego mógłbym się uchwycić; wrażenie, że zaraz spadnę w pustkę, że zaraz wszystko rozbije się nieuchronnie w drobny mak.

Potem twarze oddzieliły się i wróciły na własne miejsca. Nie odpowiedziałem na pytanie Claudii, a ona nie nalegała.

Szliśmy szybko, jak gdybyśmy mieli jakiś cel, coś konkretnego do załatwienia. Zatrzymaliśmy się na końcu nadmorskiego bulwaru, na południowych krańcach miasta, i usiedliśmy blisko siebie na wapiennym murku, jakieś dwa metry od wody.

Nie powinienem tu być, pomyślałem, czując jej umięśnioną nogę tuż obok swojej, jej lekki, trochę gorzki zapach. Zbyt bliski.

Nic nie jest tak, jak być powinno, i znów nie rozumiem, co mi się przytrafia, pomyślałem, podczas gdy nasze dłonie - moja prawa i jej lewa - dotykały się niewinnie. Oboje patrzyliśmy prosto przed siebie. Jak gdyby można było coś dojrzeć w ciemności pomiędzy brzydkimi kamienicami, w smutnej i cieszącej się ponurą sławą dzielnicy Iapigia.

Siedzieliśmy tak, nie patrząc na siebie. Chociaż nic nie powiedziała ani nie wykonała żadnego gestu, pomyślałem, że z jej dłoni płynie w moją stronę prąd czystego bólu.

- Jest taka płyta - powiedziała, odwracając się niespodziewanie ku mnie - której często słucham, od lat. Nie jestem pewna, czy słuchanie jej dobrze mi robi. Ale i tak jej słucham.

Odwrociłem się również.

- Jaka płyta?

- *Out of Time* zespołu R.E.M. Znasz go?

Oczywiście, że znam. Z kim niby masz do czynienia, siostrze?

Nie powiedziałem tego. Kiwnąłem tylko głową, tak, znam.

- Jedna z piosenek...

- *Losing My Religion*.

Zmrużyła oczy, potem przytaknęła.

- Wiesz, co znaczy *Losing My Religion*?

- Dosłownie: tracę moją religię. Znaczy coś jeszcze? - zapytałem.

- *Losing My Religion* to wyrażenie idiomatyczne. Znaczy coś w rodzaju: nie dawać już rady.

Spojrzałem na nią zdziwiony. Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego, że usłyszę od niej coś podobnego.

Patrzyłem na nią i wciąż nie wiedziałem, co powiedzieć, a ona zbliżyła twarz do mojej, tak że nie potrafiłem już rozróżnić jej rysów.

Zdażyłem tylko pomyśleć, że jej usta są twarde i miękkie zarazem, że jej język przypomina mi pocałunki, jakie wymieniałem z rówieśnikami w wieku czternastu lat. Zdażyłem tylko położyć jej dłoń na plecach i poczuć, że ma mięśnie twarde jak stal.

Gwałtownie odskoczyła. Wpatrywała się we mnie wytrzeszczonymi oczami jeszcze przez kilka sekund.

Wreszcie wstała bez słowa i ruszyła tam, skąd przyszedliśmy. Poszedłem za nią i po półgodzinie znaleźliśmy się znowu przy jej furgonetce.

- Nie za bardzo umiem mówić.
- To nie jest konieczne.
- Czasami ma się jednak ochotę.

Przytaknąłem. Często, zdarza się. Sztuką jest znaleźć kogoś, kto cię wysłucha.

- Następnym razem chcę z tobą porozmawiać. To znaczy tak zwyczajnie. Nie wiem dlaczego, ale chcę ci opowiedzieć pewną historię.

Zrobiłem gest, który oznaczał mniej więcej: jeśli chcesz, choćby teraz.

- Nie, teraz nie. Nie dziś.

Po krótkim wahaniu pocałowała mnie szybko. W policzek, bardzo blisko ust. Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, wsiadła do furgonetki i zniknęła w ciemności.

Wróciłem do domu wolnym krokiem, wybierając najciemniejsze i najbardziej puste ulice. Czuję się dziwnie lekko.

Zanim położyłem się do łóżka, wyszukałem *Out of Time* i nastawiłem płytę, piosenkę numer dwa. Właśnie *Losing My Religion*.

Wysłuchałem jej, trzymając w ręce tekst piosenki, bo chciałem spróbować ją zrozumieć.

That's me in the corner

That's me in the spotlight

Losing my religion

Trying to keep up with you

And I don't know if I can do it

Oh no, I've said too much

*I haven't said enough**

* To ja, na rogu / To ja, w świetle reflektorów / I nie daję już rady /
być z tobą / Nie wiem, czy dam radę / Och, nie / Powiedziałem za dużo /
Nie powiedziałem wystarczająco dużo.

Powiedziałem za dużo. Nie powiedziałem wystarczająco dużo.

7.

Zastępcy prokuratorów nie są zawodowymi oskarżycielami. Są adwokatami - na ogół młodymi adwokatami - którzy znaleźli tymczasowe zatrudnienie. Płaci im się od posiedzenia. Niezależnie od tego, czy rozpatrywane są dwie czy dwadzieścia spraw, zarabiają tyle samo. Posiedzenie może trwać dwadzieścia minut albo pięć godzin, a wynagrodzenie się nie zmienia.

Nietrudno sobie wyobrazić, że na ogół usiłują uwinąć się jak najszybciej i wrócić do swoich kancelarii.

Jak można się było spodziewać, Alessandrę Mantovani zastąpił honorowy zastępca prokuratora. Młoda kobieta, świeżo nominowana, której nigdy przedtem nie widziałem.

Ona jednak najwyraźniej mnie znała. Kiedy wszedłem na salę, wyszła mi od razu naprzeciw i wyglądała na zakłopotaną.

- Przejrzałam akta sprawy.

Świetny pomysł, pomyślałem. Może gdyby przejrzała je kilka dni wcześniej, mogłaby je również przestudiować. Ale to pewnie zbyt wygórowane oczekiwania.

Na mojej twarzy pojawił się cień wymuszonego uśmiechu, nic nie odpowiedziałem. Wyjęła z teczki akta, położyła je na stole i wskazując na nie palcem, spytała, czy na pewno dobrze zrozumiałem, kim jest oskarżony.

- Ten Scianatico jest synem przewodniczącego Scianatica?

- No właśnie.

Na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

- Jak to możliwe, żeby przekazano mi tego rodzaju sprawę? Matko Boska, to dopiero moja czwarta rozprawa po nominacji. O co tu w ogóle chodzi?

Czy nie mówiłaś, kurczę, że przejrzałaś akta? Bycie idiotką nie jest obowiązkowe, kiedy się chce pracować w zawodzie adwokata. Przynajmniej jeszcze nie. Tak czy owak masz rację. Jak to możliwe, że kogoś takiego jak ty przysłano na podobny proces?

Nie powiedziałem tego. Przeciwnie: siląc się na uprzejmość, wyjaśniłem jej, o co chodzi, powiedziałem, że sprawę prowadziła prokurator Mantovani, ale przeniosła się do Palermo. Oczywiście ten, kto układał kalendarz rozpraw, nie zauważył, że to nie jest normalna rozprawa.

Nie zauważył?

Kiedy udzielałem jej tych uprzejmych wyjaśnień, pomyślałem, że tkwię w gównie. Aż po szyję. Mieliśmy rozegrać mecz typu drużyna z pipidówka - Manchester United. I moją drużyną nie był Manchester.

- A dziś co konkretnie trzeba zrobić?

- Konkretnie trzeba przesłuchać oskarżonego.

- Matko Boska. Posłuchaj, ja nie dam rady. Znasz przecież doskonale sprawę i możesz zająć się wszystkim sam. Ja mogłabym tylko narobić kłopotów.

Tak, co do tego masz rację. Masz cholerną, całkowitą rację.

- A może wystąpmy o odroczenie. Powiedzmy, że potrzebny jest zawodowy prokurator, i poprośmy sędziego, żeby odroczył rozprawę. Co o tym sądzisz?

- Jak się nazywasz?

Spojrzała na mnie zdezorientowana. Nazywała się Marinella. Marinella Jakaśtam, bo mówiła szybko i połykała słowa.

- A więc, posłuchaj mnie, Marinello. Posłuchaj mnie uważnie. Ty siedź cicho. Tak jak powiedziałaś przed chwilą: nic nie rób. Teraz ci powiem, co się stanie. Obrona przesłucha oskarżonego. Kiedy nadejdzie twoja kolej, sędzia spyta, czy masz jakieś pytania, a ty odpowiesz, że nie, dziękujesz, nie masz żadnych pytań. Żadnych. Potem sędzia spyta mnie, czy mam jakieś pytania, a ja odpowiem, że tak, dziękuję, mam kilka pytań. W ciągu godziny, może trochę później, wszystko się skończy, nawet się nie spostrzeżesz. Ale niech nie przyjdzie ci do głowy wystąpić o odroczenie czy coś w tym stylu.

Marinella spojrzała na mnie jeszcze bardziej wystraszona. Wyraz mojej twarzy, mój ton nie zdradzały zbytnej życzliwości. Kiwnęła potakująco głową z miną kogoś, kto rozmawia z niebezpiecznym wariatem. Z miną kogoś, kto chciałby się znaleźć daleko stąd i ma nadzieję, że wszystko naprawdę szybko się skończy.

Caldarola zdjął okulary i spojrzał na Dellisantiego oraz Scianatica.

- A zatem podczas dzisiejszej rozprawy przewidziane jest przesłuchanie oskarżonego. Jeśli potwierdzi wolę złożenia zeznań.

- Tak, wysoki sędzie, oskarżony potwierdza gotowość złożenia zeznań.

Scianatico wstał, zdecydowany. Caldarola odczytał rutynową formułkę. Scianatico ma prawo nie odpowiadać, ale sprawa i tak będzie się toczyć dalej. Jeśli zgodzi się odpowiadać, jego zeznania mogą być wykorzystane przeciwko niemu, i tak dalej, i tak dalej.

- Potwierdza pan zatem, że chce zeznawać.

- Tak, wysoki sędzie.
- A więc obrona może przystąpić do przesłuchania.

Zaczął się nudno. Dellisanti kazał sobie opowiedzieć, jak Scianatico poznał Martinę, w jakich okolicznościach, jak zaczął się ich związek i całą resztę. Scianatico odpowiadał niemal łagodnym tonem, jak gdyby chciał sprawić wrażenie, że mimo całego zła, które mu wyrządziła, nie ma pretensji do Martiny. Grał rolę, którą musieli wielokrotnie przećwiczyć w kancelarii Dellisantiego. Z całą pewnością.

W którymś momencie zamilkł. To była sekunda. Zauważyłem, że patrzy w stronę wejścia. Zauważyłem, że lekko drgnął. Tępy wyraz pychy i samozadowolenia zniknął z jego twarzy.

Martina i Claudia weszły i usiadły za mną. Odwróciłem się, żeby się z nimi przywitać, i Martina, zgodnie z instrukcją, której udzieliłem jej dzień wcześniej w kancelarii, na oczach wszystkich wręczyła mi paczkę. Tak żeby przede wszystkim zobaczył to Scianatico.

Z kształtu i rozmiarów paczki można było wywnioskować, że zawiera wideokasetę.

Dellisanti musiał powtórzyć ostatnie pytanie.

- Powtarzam, panie profesorze Scianatico, czy może nam pan powiedzieć, kiedy i z jakich powodów stosunki z panną Fumai zaczęły się pogarszać?

- Nie... nie potrafię wskazać konkretnego momentu. Stopniowo Martina, to jest panna Fumai, zaczęła zachowywać się inaczej.

- Czy może nam pan wyjaśnić, w jaki sposób zmieniło się jej zachowanie?

- Nagłe zmiany nastroju. Coraz gwałtowniejsze i coraz częstsze. Agresja słowna przeplatana atakami płaczu i przygnębienia. Kilka razy próbowała również mnie pobić. Nie panowała nad sobą. Miałem wrażenie...

- Sprzeciw, wysoki sędzie. Oskarżony wyraża prywatną opinię, co jak wszyscy wiemy, jest niedopuszczalne.

Caldarola pouczył Scianatica, by unikał wyrażania prywatnych opinii i trzymał się faktów.

- Proszę nam powiedzieć, co się działo podczas tych ataków panny Fumai.

- Przede wszystkim krzyczała. Mówiła, że nie rozumiem jej problemów i że przeze mnie znowu się rozchoruje.

- Przepraszam, że przerywam. Powiedziała, że znowu się rozchoruje? Jaką chorobę miała na myśli?

- Miała na myśli swoje problemy psychiczne.

- Niech pan mówi dalej. Proszę nam opowiedzieć, co się działo podczas tych ataków.

- To, o czym mówiłem. Krzyki, histeryczny płacz, próby pobicia i... ach, tak, oskarżała mnie o to, że mam kochanki. Oczywiście się myliła. Ale była zazdrosna. Chorobliwie zazdrosna.

- Nieprawda. Ty cholerny dupku, nieprawda - usłyszałem za sobą szept Martiny.

- ...coraz częściej mówiła, że zapłacę jej za to. Wcześniej czy później, w taki czy inny sposób.

- Czy to właśnie w czasie jednej z tych kłótni powiedział pan w obecności wspólnych przyjaciół: *jesteś mitomanką, jesteś nie zrównoważona psychicznie, niewiarygodna i niebezpieczna dla siebie samej i otoczenia?*

- Tak, niestety tak. Ja również straciłem panowanie nad sobą. Nie powinienem był tego mówić przy osobach trzecich. Niestety to prawda.

- Spróbujmy przeanalizować to zdanie, którego nie chciał pan wypowiedzieć w obecności osób trzecich, ale nie potrafił się powstrzymać. Dlaczego powiedział pan, że jest niewiarygodna i niebezpieczna?

- Miała straszne ataki gniewu. Dwukrotnie rzuciła się na mnie. Innym razem chciała się okaleczyć.

- Dlaczego jej pan powiedział, że jest mitomanką?

- Zmyślała różne rzeczy. Przykro mi to mówić, mimo wszystkich krzywd, które mi wyrządziła. Wymyślała nieprawdopodobne historie. Powiedziała mi kiedyś, że jest pewna, iż kobieta, która razem z nami spędziła wieczór u wspólnych przyjaciół, jest moją kochanką. To była nieprawda, ale nie wiedziałem, jak ją o tym przekonać. Oświadczyła, że chce wyjść, odpowiedziałem, żeby nie zachowywała się jak dziecko i nie robiła scen, ale wkrótce i tak doszło do awantury.

Musiałem opanować chęć odwrócenia się w stronę Martiny.

- Czy pan kiedykolwiek groził panie Fumai?

- Nigdy, absolutnie nie.

- Czy kiedykolwiek podczas trwania związku lub potem stosował pan przemoc fizyczną?

- Nigdy z własnej inicjatywy. Oczywiście, kiedy dwukrotnie się na mnie rzuciła, musiałem się bronić, próbowałem ją powstrzymać. To były te dwa razy, kiedy musiała potem pojechać na pogotowie, aby ją opatrzone. Pragnę nadmienić, że sam ją zawiozłem. Również innym razem, kiedy próbowała się okaleczyć w sposób szczególnie drastyczny. Jak już wspominałem, robiła to niejednokrotnie.

- Może pan powiedzieć, na czym to polegało?

- Nie pamiętam dokładnie. Z pewnością zdarzało się to podczas kłótni, kiedy traciła panowanie nad sobą, ponieważ nie mogła udowodnić swoich racji. Biła się po twarzy, także pięściami.

- Czy po zakończeniu związku miał pan jeszcze jakieś kontakty z panną Fumai?

- Tak. Dzwoniłem do niej wiele razy. Kilkakrotnie próbowałem się z nią spotkać osobiście.

- Czy podczas tych rozmów telefonicznych lub bezpośrednich kontaktów kiedykolwiek groził pan pannie Fumai?

- W żadnym wypadku. Byłem... trudno mi o tym mówić, ale byłem w niej wciąż zakochany. Usiłowałem ją przekonać, aby do mnie wróciła. Bardzo się martwiłem, że jej stan psychiczny może się jeszcze pogorszyć i że ona może coś sobie zrobić. Samookaleczyć się albo zrobić coś jeszcze gorszego. Myślałem, że gdyby wróciła do mnie, moglibyśmy zacząć wszystko od początku i mógłbym jej pomóc rozwiązać jej problemy.

Wzruszające. Prawdziwy wyciskacz łez. Ten skurwysyn powinien być zostać aktorem.

- Krótko mówiąc, panie profesorze Scianatico, zna pan ciężące na panu zarzuty. Czy popełnił pan czyny, o które oskarża pana prokurator?

Zanim udzielił odpowiedzi, uśmiechnął się gorzko. Oznaczało to mniej więcej, że ludzie i świat są źli i niewdzięczni. Właśnie dlatego znalazł się tutaj, niesłusznie oskarżony o czyny, których nie popełnił. Ale jest dobrym człowiekiem, nie żywi więc pretensji do osoby odpowiedzialnej za to wszystko. Która w dodatku jest nieszczęsną wariatką.

- Jak mówiłem, podczas trwania naszego związku mieliśmy dwie małe sprzeczki. Poza tym, jak mówiłem, dzwoniłem do niej wiele razy, czasami nawet w nocy, żeby ją przekonać, by do mnie wróciła. Co do reszty oczywiście wszystko jest nieprawdą.

Oczywiście. Nie mógł zaprzeczyć, że telefonował, skoro są billingi. Co do reszty - ta wariatka wszystko sobie wymyśliła w autodestrukcyjnym szale.

Tak skończyło się przesłuchanie przez obronę. Sędzia ogłosił, że prokurator może przystąpić do zadawania pytań. Marinella Jakaśtam, zdyscyplinowana, odpowiedziała: nie,

dziękuję, nie mam pytań. Z jej tonu i wyrazu twarzy można by wywnioskować, że sędzia spytał: „Przepraszam, czy ma pani AIDS?”

- Czy ma pan pytania, mecenasie Guerrieri?
- Tak, wysoki sędzie, dziękuję. Mogę zacząć?

Kiwnął potakująco głową. On również wiedział, że teraz zaczną się kłopoty. A nie lubił kłopotów. Tym gorzej dla ciebie, pomyślałem.

W takiej sytuacji nie ma sensu kręcić. Zacząłem więc bez wstępów.

- Czy w czasie trwania waszego związku zrobił pan kserokopie dokumentacji medycznej pani Fumai?

- Tak, to prawda. Zrobiłem kserokopie, ponieważ...

- Czy może nam pan powiedzieć, kiedy dokładnie zrobił pan kserokopie, jeśli pan pamięta?

- To znaczy dzień, miesiąc?

- Mniej więcej, w jakim okresie. Jeśli pamięta pan również dzień...

- Nie umiem dokładnie powiedzieć. Na pewno nie w pierwszym okresie naszego związku.

- Czy poprosił pan panią Fumai o zgodę na zrobienie kserokopii?

- Wie pan, moim zamiarem...

- Czy poprosił pan o zgodę?

- Chciałem...

- Czy poprosił pan o zgodę?

- Nie.

- Czy poinformował pan później panią Fumai, że skopiował pan jej prywatną dokumentację, nie uprzedzając jej o tym?

- Nie poinformowałem, ponieważ martwiłem się o nią i chciałem pokazać jej kartę choroby mojemu przyjacielowi psychiatrze. Abyśmy mogli razem się zastanowić, na czym w istocie polegają problemy Martiny i jak jej pomóc.

- A zatem, reasumując: zrobił pan te kserokopie, nie pytając o zgodę pani Fumai, czyli w tajemnicy. A następnie nie poinformował jej pan o tym. Czy tak?

- Zrobiłem to dla jej dobra.

- A więc możemy powiedzieć, że dla dobra pani Fumai gotów był pan ingerować w jej prywatność, nie pytając o zgodę.

- Sprzeciw, wysoki sędzie - zaprotestował Dellisanti. - To nie jest pytanie, to wniosek. Niedopuszczalne.

- Panie mecenasie Guerrieri, niech pan zostawi wnioski na czas mowy oskarżycielskiej - powiedział Caldarola.

- Z całym szacunkiem, wysoki sędzie, uważam, że chodzi o ważne pytanie dotyczące tego, co oskarżony gotów był zrobić, kierując się całkowicie subiektywnym wyobrażeniem o tym, co jest dobre dla pani Fumai. Mogę jednak spokojnie z niego zrezygnować i przejść do następnego pytania. Czy to pani Fumai powiedziała panu, gdzie przechowuje dokumentację?

- Nie zrozumiałem pytania.

- Czy pani Fumai powiedziała panu: popatrz, tu trzymam dokumentację z pobytu w szpitalu, kartę choroby?

- Nie. To znaczy nie pamiętam.

- A więc musiał pan szukać tej dokumentacji, aby ją skserować. Był pan zmuszony grzebać w prywatnych rzeczach pani Fumai. Czy tak?

- Nie grzebałem. Martwiłem się o nią i wziąłem tę dokumentację, aby pokazać ją lekarzowi.

Scianatico nie wydawał się już pewny siebie. Zaczął tracić zimną krew i przestał być uosobieniem spokojnej męskiej siły. Tego właśnie chciałem.

- Tak, to już wiemy. Może nam pan wskazać psychiatrę, któremu pokazał papiery, kiedy skserował je pan w tajemnicy?

- Sprzeciw, sprzeciw. Oskarżyciel prywatny musi unikać komentarzy, a zwrot „w tajemnicy” jest komentarzem.

Znów Dellisanti. Doskonale rozumiał, że nie jest dobrze. Dla nich. Odezwałem się, zanim Caldarola zdążył interweniować.

- Wysoki sędzie, uważam, że zwrot „w tajemnicy” określa precyzyjnie sposób, w jaki oskarżony wszedł w posiadanie dokumentacji. Mimo to sformułuję pytanie inaczej, ponieważ nie zamierzam wdawać się w spory. - I ponieważ osiągnąłem już to, co chciałem - dodałem w myśli. -A więc, może nam pan wskazać psychiatrę?

- ...w końcu nie uczyniłem z tej dokumentacji żadnego użytku. Nasze stosunki uległy gwałtownemu pogorszeniu, a potem ona wyprowadziła się z domu. Jednym słowem nic z tymi papierami nie zrobiłem.

- Zachował je pan jednak.

- Zostawiłem kartę choroby tam, gdzie leżała. Zapomniałem o niej, aż zaczęła się... cała ta historia.

Nastąpiła długa przerwa. Otworzyłem paczkę, którą wręczyła mi Martina, i wyjąłem z niej wideokasetę i kilka kartek. Niemal przez minutę udawałem, że je czytam. Kartki były jedynie elementem odgrywanej sceny i nie miały nic wspólnego z procesem. Były to kserokopie starych rachunków, lecz Scianatico o tym nie wiedział. Kiedy uznałem, że napięcie wystarczająco wzrosło, podniosłem głowę i wróciłem do przesłuchiwanie oskarżonego.

- Czy kiedykolwiek zmuszał pan panią Fumai do rejestrowania na wideo waszych stosunków seksualnych?

Stało się dokładnie to, czego się spodziewałem. Dellisanti zerwał się na równe nogi i zaczął wrzeszczeć. To niedopuszczalne, obraźliwe, niesłychane, żeby zadawać tego rodzaju pytania. Co ma wspólnego z procesem karnym to, co się dzieje w sypialni między dwojgiem dorosłych ludzi,

których nikt do niczego nie zmusza. I tak dalej, i tak dalej.

- Wysoki sędzie, czy mogę wyjaśnić powód zadania pytania i jego wagę?

Caldarola przytaknęła. Po raz pierwszy od początku procesu wydało mi się, że Dellisanti go zirytował. Nie wahał się wyciągnąć na światło dzienne najbardziej prywatnych i bolesnych spraw dotyczących Martiny. Aby ocenić wiarygodność domniemanej poszkodowanej, jak oświadczył. A teraz nagle przypomniał sobie o nietykalności prywatnego życia dwojga ludzi.

Wyjaśniłem, że skoro konieczna jest ocena osobowości osoby pokrzywdzonej, aby orzec, czy jest ona wiarygodna, to samo odnosi się do oskarżonego, jeśli już zgodził się na przesłuchanie i w dodatku zdążył się wielokrotnie wypowiedzieć na temat mojej klientki w sposób szkalujący i obraźliwy.

Caldarola dopuścił moje pytanie i polecił Scianaticowi, aby na nie odpowiedział. Ten w poszukiwaniu pomocy spojrzął na swojego adwokata. Nie znalazł jej. Poruszył się na krześle, jakby nagle zrobiło się niewygodne. Rozpaczliwie próbował dociec, jak mogłem wejść w posiadanie kasety. Która, był o tym przekonany, zawierała kompromitującą dokumentację jego nader intymnych obyczajów. W końcu o to spytał.

- Kto... kto panu dał tę kasetę?

- Czy może pan uprzejmie odpowiedzieć na moje pytanie? Jeśli nie jest jasne albo go pan nie usłyszał, mogę powtórzyć.

- To była zabawa, rzecz całkowicie prywatna. Co to ma wspólnego z procesem?

- Czy to jest odpowiedź twierdząca? Czy nagrywał pan na wideo stosunki seksualne z...

- Tak.

- Tylko raz czy wielokrotnie?
- To była zabawa. Zgodziliśmy się na nią oboje.
- Raz czy wielokrotnie?
- Kilka razy.

Wziąłem do ręki kasetę i przyglądałem się jej przez kilka sekund, jakbym czytał coś na etykietce.

- Czy kiedykolwiek nagrywał pan sadomasochistyczne praktyki seksualne?

W sali zapanowała cisza. Minęło trochę czasu, zanim Scianatico odpowiedział.

- Nie... nie pamiętam.
- Sformułuję pytanie inaczej. Czy kiedykolwiek uprawiał pan sadomasochizm albo przynajmniej domagał się go?
- Ja... myśmy się tylko bawili. To była tylko zabawa.
- Czy domagał się pan kiedykolwiek, aby pani Fumai dała się związać albo zgodziła się na inne formy unieruchomienia?
- Nie domagałem się. Byliśmy zgodni.
- A zatem można powiedzieć, że wspomniane praktyki miały miejsce, a pan nie pamięta, czy je nagrał, czy też nie.
- Tak.
- Wysoki sędzie, nie mam więcej pytań. Ale chcę sformułować wniosek...

Dellisanti podskoczył na tyle, na ile pozwalała mu tusza.

- Z góry zapowiadam stanowczy sprzeciw wobec dopuszczenia wideokaset odnoszących się do praktyk seksualnych oskarżonego i powódki. Kwestionuję zasadność pytań zadanych przez oskarżyciela prywatnego, chociaż faktem jest, że praktyki te miały miejsce. Nie ma więc najmniejszej potrzeby, aby dołączać materiał pornograficzny do akt procesu.

To właśnie chciałem od niego usłyszeć. Faktem jest, że praktyki te miały miejsce. Właśnie. Połknęli haczyk, i to obaj.

- Wysoki sędzie, to całkowicie zbędne zastrzeżenie. Absolutnie nie miałem zamiaru prosić o włączenie do akt tej lub innych kaset. Jak słusznie zauważył obrońca oskarżonego, faktem jest, że praktyki te miały miejsce. Mój wniosek dotyczy czegoś innego. Na początku procesu obrona poprosiła - a wysoki sąd wyraził zgodę - o opinię biegłego psychiatry w kwestii wiarygodności mojej klientki w związku z jej stanem psychicznym. Wobec tego, co wyszło na jaw w trakcie przesłuchania, uważam za konieczne, w imię równego traktowania stron, przeprowadzenie również oceny osobowości oskarżonego. Psychiatra, którego wysoki sąd wyznaczy, będzie mógł nam wyjaśnić, czy kompulsywna potrzeba praktyk sadomasochistycznych, a szczególnie wymagających wiązania partnerki, ma coś wspólnego ze skłonnością do prześladowania, do ingerowania w cudze życie. Inaczej mówiąc, czy oba zjawiska są - albo mogą być - wyrazem kompulsywnej potrzeby kontrolowania partnerki. Chcę podkreślić, że osobiście bynajmniej nie zamierzam oceniać ewentualnego psychopatologicznego charakteru podobnych skłonności.

Twarz Scianatica była szara. Jego opalenizna utraciła żywy koloryt, jak gdyby krew przestała krążyć pod skórą. Marinella Jakaśtam wyglądała jak sparaliżowana.

Dellisanti potrzebował kilku sekund, zanim odzyskał równowagę i mógł się sprzeciwić mojemu wnioskowi. Użył mniej więcej tych samych argumentów, którymi posłużyłem się ja, zgłaszając sprzeciw wobec jego wniosku. Ale on nie postąpił konsekwentnie.

Caldarola wydawał się niezdecydowany. Poza salą sądową, w czasie prywatnych rozmów, które z pewnością się

odbyły, opowiedziano mu całkiem inną wersję. Proces miał się opierać jedynie na oskarżeniach niezrównoważonej wariatki pod adresem szanowanego lekarza ze znakomitej rodziny. Żeby uniknąć skandalu, należało zakończyć ten nieprzyjemny epizod jak najszybciej.

Teraz nic nie wydawało się już takie jasne, a on nie wiedział, co począć.

Po minucie dziwnego milczenia podyktował postanowienie:

- Po wysłuchaniu wniosku oskarżyciela prywatnego sąd stwierdza co następuje: dochodzenie wstępne nie zostało jeszcze zakończone; wniosek oskarżyciela prywatnego odwołuje się do artykułu 507 Kodeksu postępowania karnego; przy dowodach tego typu decyzja może być podjęta jedynie po zakończeniu dochodzenia. W tej sytuacji sąd uzależnia podjęcie decyzji w sprawie wniosku o konsultację psychiatryczną od wyniku dochodzenia procesowego i zaleca kontynuowanie rozprawy.

Z formalnego punktu widzenia była to decyzja słuszna. W kwestii wszystkich nowych materiałów dowodowych decyzje podejmuje się po zakończeniu dochodzenia. Wiedziałem o tym doskonale, ale zgłosiłem ten wniosek, aby dać jasno do zrozumienia, do czego zmierzam. Aby dać do zrozumienia sędziemu, co naprawdę znaczą pytania o praktyki seksualne i całą resztę.

Żeby dać wszystkim do zrozumienia, że nie mamy najmniejszego zamiaru czekać, aż nas zniszczą.

Dellisanti nie był zadowolony z kunktatorskiej decyzji sędziego, dopuszczała ona bowiem możliwość zmiany trybu postępowania, a przede wszystkim mogła się przyczynić do skandalu, gorszego niż sam proces. Spróbował więc jej zapobiec.

- Wysoki sędzie, proszę mi wybaczyć, ale chcielibyśmy, aby sąd już teraz odrzucił ten wniosek. Nie można

pozwolić, aby nad głową oskarżonego zawisła groźba kolejnej niezасłużonej kompromitacji...

Caldarola nie pozwolił mu dokończyć.

- Panie mecenasie, byłbym wdzięczny, gdyby nie podważał pan moich postanowień. Podejmę decyzję po wysłuchaniu świadków oraz waszego biegłego. Psychiatry. Na dziś zatem chyba skończyliśmy, jeśli nie ma pan do oskarżonego więcej pytań.

Dellisanti milczał przez chwilę, jak gdyby się zastanawiał, co powiedzieć, i nie wiedział co. Jak na niego była to rzecz niezwykła. W końcu poddał się i oznajmił, że nie, nie ma pytań do oskarżonego. Scianatico z pobladałą twarzą wrócił na miejsce obok adwokata.

Caldarola wyznaczył następną rozprawę za dwa tygodnie, „aby wysłuchać świadków obrony i ewentualnych wniosków o dodatkowe materiały dowodowe zgodnie z artykułem 507 Kodeksu postępowania karnego”.

Dopiero kiedy zdjąłem toę i odwróciłem się w stronę Martiny i Claudii, zauważyłem, jak wiele osób przysłuchiwało się rozprawie. Wśród publiczności dostrzegłem trzech lub czterech dziennikarzy.

Scianatico i Dellisanti wraz ze świtą złożoną z praktykantów i pomocników oddalili się pospiesznie, w milczeniu. Tylko na kilka sekund Scianatico odwrócił się w kierunku Martiny. Miał dziwny wzrok. Bardzo dziwny. Nie potrafiłem go rozszyfrować, chociaż skojarzył mi się z zepsutą lalką z wybałuszonymi oczami i oszalałym spojrzeniem.

Dziennikarzom, którzy pytali mnie o proces, odpowiedziałem, że nie mam nic do powiedzenia. Musiałem powtórzyć to trzy albo cztery razy, aż w końcu zrezygnowali. Zresztą po tym, co zobaczyli i usłyszeli, materiału do napisania artykułu im nie brakowało.

Złożyłem dwie kartki z kserokopiami rachunków i wsunąłem je do teczki razem z kasetą. Nie mogła mi się

zawieruszyć. Nagrałem ją pewnej bezsennej nocy, wiele lat wcześniej, i lubiłem oglądać od czasu do czasu. Był to stary film Pietra Germiego z wielką rolą Massima Girottiego. Wspaniały film, już nie do dostania. *Pod niebem Sycylii.*

Po tamtym popołudniu musiałam przyjść do sypialni jeszcze tylko kilka razy.

Wyglądało na to, że stracił mną zainteresowanie. Nie wiem, czy dlatego, że teraz za każdym razem stawiałam opór, czy dlatego, że wyrosłam i nie byłam już dzieckiem. Najprawdopodobniej z obu powodów.

W każdym razie w pewnym momencie przestał.

Wówczas zauważyłam, jak patrzy na moją siostrę.

Ogarnął mnie lęk. Nie wiedziałam, co robić, komu o tym powiedzieć. Byłam pewna, że wkrótce, lada chwila, zawoła ją do sypialni.

Tylko pięć minut, potem możesz znowu się bawić.

Staralam się nie wychodzić na podwórze, jeśli Anna nie schodziła wraz ze mną. Kiedy mówiła, że chce zostać w domu, aby obejrzeć film dla dzieci w telewizji, zostawałam z nią. W napięciu czekałam na ten głos, zachrypnięty od papierosów i piwa. Nie wiedziałam, co powinnam wtedy zrobić.

Nie musiałam czekać długo. Zdarzyło się to pewnego ranka, pierwszego dnia wielkanocnej przerwy. W Wielki Czwartek. Matka wyszła do pracy.

- Anno!

- Co, tato?

- *Chodź tu na chwilę, muszę ci coś powiedzieć.*

Anna wstała z krzesła w kuchni, gdzie obie siedziałyśmy. Odłożyła na stół dwie lalki, którymi się bawiła. Poszła wąskim i ciemnym korytarzem, na końcu którego była sypialnia.

- *Zaczekaj chwilę - powiedziałam.*

8.

Często myślałem o tej rozprawie i o tym, co wydarzyło się później. Zastanawiałem się, czy wszystko mogło potoczyć się inaczej i w jakim stopniu zależało to ode mnie, od mojego zachowania podczas procesu, od sposobu, w jaki przesłuchiwałem Scianatica.

Nigdy nie znalazłem odpowiedzi i pewnie tak jest lepiej.

Było wielu świadków i wszyscy zrelacjonowali fakty w sposób niemal identyczny. To prawdziwa rzadkość. Z niektórymi z nich rozmawiałem osobiście, protokoły zeznań innych przeczytałem na komendzie.

Martina wracała z pracy - było wpół do szóstej albo trochę później - i zaparkowała kilkadziesiąt metrów od bramy domu, w którym mieszkała z matką.

On czekał na nią co najmniej od godziny, jak zeznał właściciel sklepu odzieżowego po drugiej stronie ulicy. Zauważył go, ponieważ „było coś dziwnego w jego zachowaniu, w jego ruchach”.

Kiedy go zobaczyła, przystanąła na chwilę. Być może miała zamiar uciec. Potem jednak ruszyła mu naprzeciw. Stanowczym krokiem, jak zeznał właściciel sklepu.

Postanowiła stawić mu czoło. Nie chciała uciekać. Już nie.

Rozmawiali krótko, coraz bardziej nerwowo. Po chwili podnieśli głosy, szczególnie ona, krzyczała, żeby sobie poszedł i zostawił ją raz na zawsze w spokoju. Zaraz potem doszło do rękoczynów. Scianatico uderzył ją, raz, drugi, bił po twarzy, okładał pięściami; Martina upadła, może straciła przytomność, on zaś zaciągnął jej bezwładne ciało na klatkę schodową.

Tancredi zadzwonił, kiedy rozmawiałem z ważnym klientem. Szanowanym powszechnie przedsiębiorcą, którym z powodu oszustw podatkowych zainteresował się urząd skarbowy. Był półżywy ze strachu na myśl o tym, że mogą go aresztować. Należał do tych, którzy płacą od razu i dobrze, ponieważ mają wiele do stracenia.

Powiedziałem mu, że mam nadzwyczaj pilną sprawę. Przeprosiłem: zobaczymy się jutro, nie, lepiej pojutrze, pan wybaczy, muszę iść, do widzenia. Kiedy opuszczałem gabinet, stał jeszcze przed biurkiem. Pewnie kompletnie zgłupiał i zastanawiał się, czy nie powinien poszukać innego adwokata.

Biegając w stronę domu Martiny, położonego o kwadrans marszu od mojej kancelarii, zadzwoniłem do Claudii. Nie pamiętam dokładnie, co jej powiedziałem, dysząc ciężko ze zmęczenia. Pamiętam jednak dobrze, że rozłączyła się, zanim skończyłem, kiedy tylko zrozumiała, o czym mówię.

Na miejscu zastałem straszliwe zamieszanie. Za składanymi barierkami tłum ciekawskich. W środku policjanci w mundurach i kilku karabinierów. Mężczyźni i kobiety w cywilu, ze złożonymi plakietkami policji śledczej przy pasach, na kurtkach albo zawieszonymi na szyi. Niektórzy z nich mieli pistolety za pasem, z przodu, inni trzymali je w

dłoniach, wycelowane w ziemię, jak gdyby mieli ich za chwilę użyć. Niektórzy trzymali w rękach kamizelki kuloodporne.

Spytałem Tancrediego, kto kieruje operacją, jeśli w ogóle w całym tym zamieszaniu można było mówić o operacji i o kierownictwie. Wskazał mi jakiegoś faceta w marynarce i krawacie, trzymającego megafon, chociaż wyglądało, jakby ten nie wiedział, co z nim począć.

- To wiceszef pogotowia policyjnego. Byłoby lepiej, gdyby został w domu, ale szef jest za granicą, więc właściwie musimy sobie radzić sami. Wezwaliśmy również dyżurującego zastępcę prokuratora, ale powiedział, że nie należy do jego obowiązków pertraktowanie z tym panem, a tym bardziej podejmowanie decyzji o interwencji. Poprosił jednak, aby go informować o przebiegu wypadków. Bardzo pomocny dupek, co?

- Czy udało się wam porozmawiać ze Scianatikiem?

- Przez telefon stacjonarny w domu. Ja z nim rozmawiałem. Powiedział, że jest uzbrojony i żebyśmy nie próbowali się do niego zbliżyć. Wątpię, czy to prawda, to znaczy, czy jest uzbrojony. Ale nie założyłbym się. - Wahał się chwilę. - Nie spodobał mi się jego głos. Szczególnie kiedy go spytałem, czy mogę z nią porozmawiać. Poprosiłem, żeby mi pozwolił tylko się z nią przywitać, ale odpowiedział, że nie, teraz nie może. Miał nieprzyjemny głos i zaraz potem odłożył słuchawkę.

- W jakim sensie nieprzyjemny?

- Trudno to wyjaśnić. Łamiący się, jakby miał go za chwilę stracić.

- A matka Martiny?

- Nic nie wiemy. To znaczy chyba nie ma jej w domu. Spytałem go, czy jest tam również matka, ale odpowiedział, że nie. Gdzie jest, nie wiemy. Prawdopodobnie wyszła po zakupy albo w jakiejś innej sprawie, wróci lada moment

i zostanie niezłą niespodzianką. Szukaliśmy także jego ojca, żeby przyjechał i porozmawiał z tym swoim pieprzonym, zwariowanym synem. Udało nam się z nim skontaktować, ale jest w Rzymie na konferencji. Rzymskie pogotowie policyjne pojechało po niego, żeby go zawieźć na lotnisko i wsadzić do pierwszego samolotu. W najlepszym wypadku będzie tu za pięć godzin. Miejmy nadzieję, że wtedy nie będziemy go już potrzebowali.

- Co o tym myślisz? Co należy zrobić?

Tancredi opuścił głowę i zacisnął wargi. Jak gdyby szukał odpowiedzi. Nie - jak gdyby miał już gotową odpowiedź, ale nie był z niej zadowolony i szukał innej.

- Nie wiem - oznajmił w końcu, podnosząc wzrok. - W podobnych sytuacjach niczego nie da się przewidzieć. Aby zdecydować się na jakąś strategię, trzeba odgadnąć, czego chce ten skurwysyn, to znaczy jakie są jego prawdziwe zamiary.

- A w tym wypadku?

- Nie wiem. Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, nie podoba mi się ani trochę.

Już miałem go zapytać, co takiego przychodzi mu do głowy i nie podoba mu się ani trochę, kiedy zobaczyłem, że podjeżdża furgonetka Claudii. To znaczy usłyszałem, że podjeżdża. Seria dźwięków: pisk opon na zakręcie, gwałtowne hamowanie, tylne koła na chodniku, zderzaki walące w kosz na śmieci. Przedarła się przez tłum w naszym kierunku. Umundurowany policjant powiedział jej, że nie może wejść na teren ogrodzony barierkami. Odsunęła go bez słowa, a kiedy usiłował ją zatrzymać, przybiegł Tancredi i kazał ją przepuścić.

- Gdzie oni są?

Tancredi odparł:

- Zabarykadował się w domu Martiny. Prawdopodobnie jest uzbrojony, tak przynajmniej twierdzi.

- Co z nią?

- Nie wiemy. Nie udało się nam z nią skontaktować. Czekał na nią pod domem. Kiedy nadeszła, rozmawiali kilka sekund, potem ona zaczęła krzyczeć, żeby sobie poszedł, bo wezwie policję albo adwokata, albo i jedno, i drugie. Wtedy ją uderzył, wielokrotnie. Musiała zemdleć, w każdym razie była półprzytomna, bo widziano, jak wlecze ją do środka. Ktoś wezwał karabinierów. Zaraz przyjechali, a kilka minut później przyjechaliśmy i my.

- A teraz?

- Teraz nie wiem. Za kilka godzin mają przybyć z Rzymu oddziały specjalne policji, a potem ktoś musi wziąć odpowiedzialność za zgodę na interwencję. W takich wypadkach nic nie wiadomo. To znaczy nie wiadomo, czy to ma być sędzia, szef pogotowia policyjnego, śledczy, czy ktoś inny. Moglibyśmy spróbować negocjować. Łatwo powiedzieć. Ale kto porozmawia z tym wariatem?

- Ja z nim porozmawiam - oświadczyła Claudia. - Zadzwoń do niego, Carmelo, i pozwól mi z nim porozmawiać. Spytam go, czy mnie wpuści i pokaże mi Martinę. Jestem kobietą, zakonnicą. Nie mówię, że mi zaufa, ale może będzie mniej podejrzliwy niż wobec was. - Jej głos brzmiał dziwnie. Dziwnie spokojnie. I nie pasował do twarzy, na której malowało się przerażenie.

Tancredi spojrzał na mnie, jak gdyby usiłował odgadnąć, co sądzę, ale o nic nie zapytał. Wzruszyłem ramionami.

- Muszę go spytać - powiedział w końcu, wskazując głową na funkcjonariusza pogotowia policyjnego, który wciąż kręcił się z niepotrzebnym megafonem w dłoni. Poszedł do niego i rozmawiali kilka minut.

- To pani jest zakonnicą? - spytał funkcjonariusz, zwracając się do Claudii.

Nie, to ja. Nie widzisz, kretynie, że mam welon?

Claudia kiwnęła potakująco głową.

- Czy chce siostra spróbować z nim porozmawiać?

- Tak, chcę z nim porozmawiać i spytać, czy mnie wpuści. Może się uda. On mnie zna. Mógłby mi zaufać, a jeśli wejść, sądzę, że go przekonam. Dobrze mnie zna.

Co ona mówi? Wcale się nie znali. Nigdy nawet nie rozmawiali ze sobą. Spojrzałam na nią pytająco. Popatrzyła na mnie nie dłużej niż kilka sekund. Jej oczy mówiły: „Nie próbuj się odzywać, nawet o tym nie myśl”. Tymczasem funkcjonariusz oznajmił, że można spróbować. Telefon nic nie kosztuje.

Tancredi wyjął komórkę, wystukał numer i czekał z telefonem przy uchu. W końcu Scianatico odebrał.

- Jeszcze raz inspektor Tancredi. Jest tu ktoś, kto chce z panem pomówić. Mogę jej oddać telefon? Nie, to nie policjant, to zakonnica. Dobrze, oczywiście. Ani nam w głowie podchodzić bliżej. Dobrze, oddaję telefon.

Tak, tu siostra Claudia, przyjaciółka Martiny. Od dawna chciała z nim porozmawiać, ma mu do powiedzenia coś ważnego. Czy może oddać słuchawkę Martinie? Aha, nie czuje się zbyt dobrze. Twarz Claudii zachmurzyła się, ale głos nie uległ zmianie, pozostał zdecydowany i spokojny. Dobrze, nie szkodzi, rozmawiam z nią później, jeśli oczywiście się zgodzisz. Sądzę, że Martina chce do ciebie wrócić; mówiła mi o tym wielokrotnie, chociaż nie wiedziała, jak wyjść z tej dziwnej sytuacji. Źle cię słyszę. Tak, źle cię słyszę, to chyba wina komórki. Co ty na to, żebyś weszła i żebyśmy rozmawiali we troje? Oczywiście, będę sama. Tylko jedna kobieta, zakonnica, możesz być spokojny. Ja zresztą też nie lubię glin. No to mogę wejść? Oczywiście, spojrzysz przez judasza, będziesz mógł się przekonać, że nikogo ze mną nie ma. Tak czy owak masz moje słowo, możesz mi zaufać. Myślisz, że zakonnica nosi przy sobie

broń? Dobrze, idę na górę. Sama, oczywiście, umówiliśmy się przecież. Cześć.

Niezależnie od słów, które wypowiedziała, zahipnotyzował mnie ton jej głosu. Spokojny, budzący zaufanie, hipnotyczny właśnie.

- Chcesz włożyć kamizelkę kuloodporną? - spytał Tancredi.

Spojrzała na niego bez słowa.

- A więc zanim wejdiesz na górę, zadzwonię do ciebie na komórkę, odbierzesz i zostawisz włączoną. Będziemy mogli przynajmniej słyszeć, co mówicie i co się dzieje-

Odwrócił się do dwóch facetów koło trzydziestki, wyglądających na dilerów. Dwóch agentów z jego oddziału.

- Cassano, Loiacono, idziecie ze mną. Wejdziemy razem i zostaniemy na schodach, przed podestem.

Usłyszałem własny głos, który jakby wydobywał się ze mnie wbrew mojej woli.

- Idę z wami.

- Nie gadaj głupstw, Guido. Ty jesteś adwokatem, a my policjantami.

- Poczekaj, poczekaj. Jeśli Claudii uda się rozpocząć negocjacje, mógłbym się włączyć, pomóc. On mnie zna, jestem adwokatem Martiny. Mogę go okłamać, powiedzieć, że wycofujemy oskarżenie i tak dalej. Mogę się przydać, jeśli uda się doprowadzić do negocjacji. A jeśli konieczna okaże się interwencja, wycofam się.

Funkcjonariusz oznajmił, że się zgadza. Tylko żebyśmy uważali. Doskonała rada. Nie wspomniał, że pójdzie z nami. Żeby uniknąć tłoku, jak się domyślam. Jego ideałem policjanta z pewnością nie był inspektor Callahan.

To, co wydarzyło się później, zachowało się w mojej pamięci jako czarno-biały film, nakręcony zabrudzoną kamerą i zmontowany przez wariata. A jednak wszystko

nadal tak mocno we mnie tkwi. że nie potrafię opowiadać o tym w czasie przeszłym.

Trzej policjanci stoją przede mną na ostatnim odcinku schodów przed podestem. Stoimy bardzo blisko siebie, niemal się dotykamy. Czuję kwaśny pot grubszego, może Loiacona, a może Cassana. Dzwonek brzmi dziwnie, nierealnie. Bim, bom, rozlega się staroświeckim, niepokojącym echem. Claudia mówi coś w odpowiedzi na głos dochodzący ze środka. Potem długa cisza. Patrzy przez judasza, myślę. Wreszcie słychać otwieranie zamków, przekręcanie kluczy. Potem znowu cisza, tylko nasze wstrzymywane oddechy.

Tancredi trzyma komórkę przy lewym uchu, w drugiej ręce ma pistolet, podobnie jak pozostali dwaj. Wzdłuż nogi, z lufą skierowaną w dół.

Patrzę na Tancrediego, żeby się zorientować, co czuje i co się dzieje. W pewnej chwili wyraz jego twarzy się zmienia i zanim udaje mi się zinterpretować jego grymas, krzyczy:

- Cholera, ale bajzel! Wyważmy drzwi, kurwa, wyważmy natychmiast!

Grubszy - Cassano, a może Loiacono - pierwszy podchodzi do drzwi, podnosi kolano niemal na wysokość klatki piersiowej i prostuje nogę, uderzając stopą w okolicę zamka. Trzask łamiącego się drewna, ale drzwi nie ustępują. Drugi policjant robi to samo. Znowu trzask drewna, ale drzwi nadal nie ustępują.

Otwierają się po następnych dwóch, trzech, czterech silnych kopniakach. Wpadamy wszyscy razem. Tancredi pierwszy, my za nim. Nikt mi nie mówi, żebym został i zachowywał się jak adwokat, bo przecież to oni są policjantami.

Przebiegamy przez pokoje, w kierunku, z którego dochodzą wrzaski Scianatica.

Kiedy trafiamy wreszcie do kuchni, scena przypomina jakiś przerażający rytuał.

Claudia kładzie okrakiem nad ciałem Scianatica. Unieruchomiła go nogami, jedną ręką ścisza go za gardło. Palce wbijają się w szyję jak szpony. Drugą dłonią, zaciśniętą w pięść, okłada go po twarzy. Jak popadnie. I patrząc na nią, wiem, że go zabije. Kadr się poszerza, obejmuje Martinę. Leży na podłodze, koło zlewu. Nie rusza się. Wygląda jak połamana lalka.

Cassano i Loiacono chwytają Claudię pod pachy, unoszą i odciągają. Kiedy ponownie stawia stopy na ziemi, policjanci spodziewają się wszystkiego, ale nie tego, że obaj zostaną pobici. Kopniaki i ciosy pięścią są wymierzane w takim tempie, że wcale ich nie widać, można się ich tylko domyślać. Tancredi robi krok do tyłu i mierzy z pistoletu w nogi Claudii.

- Daj spokój, Claudio. Przestań.

Ona nie słyszy i robi dwa kroki w jego kierunku. Chyba nawet mnie nie zauważyła, chociaż stoję tuż koło niej.

Nie żebym podjął świadomą decyzję. Zrobiłem to i już. Ona mnie nie widzi i nie widzi mojego prawego sierpowego, który trafia ją w podbródek. Najbardziej klasyczny nokaut. Możesz być najsilniejszym facetem na świecie, ale jeśli otrzymasz taki cios w odpowiedni punkt na podbródku, nic nie poradzisz. Światło gaśnie i kwita. Zupełnie jakby ci dali narkozę.

Claudia pada na podłogę. Dwaj policjanci rzucają się na nią, wykręcają jej ręce na plecach. Robią to mechanicznie i sprawnie, jakby robili to już wiele razy. Potem robią to samo ze Scianatikiem, ale w jego wypadku nie ma potrzeby się spieszyć. Ma zmasakrowaną twarz, wydaje pojedyncze dźwięki i nie może się ruszać.

Tancredi podchodzi do Martiny i przytyka jej dwa palce do szyi. Żeby się przekonać, czy krew jeszcze krąży. Ale jest

to gest mechaniczny, zbędny. Martina ma wytrzeszczone oczy, twarz jak z wosku, przez półotwarte usta widać zęby, zakrzepły już strumyk krwi spływa jej z nosa. Twarz zmarłej. Zmarłej śmiercią gwałtowną.

Twarz, którą Tancredi widział wiele razy i którą ja też widziałem, ale tylko na zdjęciach dołączonych do akt procesów o zabójstwo. Nigdy dotąd nie patrzyłem na coś tak konkretnego, przejmującego, straszliwie banalnego.

Tancredi przesuwa dłońią po oczach Martiny, żeby je zamknąć. Potem rozgląda się wokół, znajduje kolorową ściereczkę i przykrywa jej twarz.

Cassano - albo Loiacono - już ma wyjść i zawołać resztę, lecz Tancredi go zatrzymuje, mówi, żeby zaczekał. Zbliża się do Claudii, która siedzi na podłodze z rękami skutymi na plecach. Kuca przed nią i mówi coś półgłosem. Po kilku sekundach ona przytakuje.

- Zdejmijcie jej kajdanki.

Cassano i Loiacono patrzą na niego pytająco. Spojrzenie Tancrediego mówi, że nie ma ochoty powtarzać rozkazu i już. Kiedy Claudia jest wolna, Tancredi poleca, abyśmy wszyscy opuścili kuchnię, i wychodzi wraz z nami.

- Posłuchajcie mnie uważnie, bo za chwilę nikt już się w tym nie połapie.

Patrzmy na niego.

- Opowiem wam, co się stało. Claudia weszła. On rzucił się na nią i zaczęła się bójka. Słyszeliśmy wszystko przez komórkę, więc wyważyliśmy drzwi. Kiedy wpadliśmy do kuchni, bili się nadal. Oboje. Interweniowaliśmy, on stawił jeszcze opór i oczywiście musieliśmy go uderzyć. W końcu go unieruchomiliśmy i zakuliśmy w kajdanki. I to wszystko. Nic innego się nie wydarzyło.

Robi pauzę i patrzy na każdego z nas.

- Jasne?

Nikt nic nie mówi. A co niby mamy powiedzieć? Patrzy na nas jeszcze kilka sekund, potem zwraca się do Cassana, a może Loiacona.

- Zawołaj resztę, ale dyskretnie. Nie krzycz, bo to i tak na nic. Wpuść też tych z pogotowia. Do tego cholernego skurwysyna.

Policjant odwraca się, żeby odejść, ale Tancredi go przywołuje.

- Ej!

- Tak?

- Nie chcę tu widzieć dziennikarzy. Jasne?

Wyszliśmy, kiedy mieszkanie zaczęli zapierać policjanci, karabinierzy, lekarze, pielęgniarze. Wiceszef pogotowia policyjnego ponownie, by tak rzec, przejął dowództwo.

Tancredi kazał mi zabrać Claudię, upewnić się, że się uspokoiła, i zadzwonić do niego po godzinie. Mieliśmy pójść na komendę, żeby Claudia złożyła zeznanie. To on, naturalnie, miał ją przesłuchać.

Mówiąc to, nie patrzył jej w twarz. Ona natomiast patrzyła na niego i wydawało się, że chce coś powiedzieć. Nie udało jej się, ale prawdopodobnie nie było takiej potrzeby.

Poszliśmy w kierunku jej furgonetki. Stała poobijana przy koszu na śmieci.

- Możesz prowadzić?

- Chcesz pojechać do lekarza?

- Nie - odpowiedziała, odruchowo dotykając podbródka, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku po ciosie, który jej zadałem.

- Nie. Po prostu nie czuję się na siłach prowadzić.

Było jeszcze jasno i ciepło. Pomyślałem o tym, kiedy wsiadałem za kierownicę starej furgonetki.

Pomyślałem, że jest kwiecień.

Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień.

9.

Objechaliśmy furgonetką Claudii wszystkie nadmorskie bulwary w mieście, dwa, trzy razy, nie mówiąc ani słowa. Po godzinie spytałem, czy możemy pojechać na komendę. Odpowiedziała, że tak. Cichym, bezbarwnym głosem.

Pojechaliśmy na komendę i tam ją przesłuchali: Tancredi i policjantka, dziewczyna o miłym wyglądzie, która zachowywała się wobec niej opiekuńczo. Spisali historię, którą Tancredi opowiedział już przedtem, o tym, co zaszło w domu Martiny.

Nie trwało to długo. Claudia bez wahania podpisała protokół.

Kiedy spytałem, czy zaprotokołują również moje zeznania, Tancredi popatrzył mi przez chwilę prosto w oczy.

- Jakie zeznania? Wszedłeś, kiedy było po wszystkim. Co chcesz zeznać?

Pauza. Odruchowo spojrzałem na policjantkę, ale była zajęta robieniem kserokopii i nie zwracała na nas uwagi.

- Idźcie już, będziemy pracować całą noc, żeby przygotować na jutro akta i wysłać je do prokuratury.

Słusznie. Co chciałem zeznać?

Nie było nic do dodania, więc wyszliśmy.

Margherita wyjechała w sprawach zawodowych. Byłem zadowolony z tego, że jej nie ma, bo nie miałem ochoty opowiadać o tym, co się stało. Przynajmniej nie tamtego wieczoru. Nie włączyłem więc komórki.

Wróciliśmy do furgonetki, nie mówiąc ani słowa. Dopiero kiedy wsiedliśmy, Claudia się odezwała. Mówiła, patrząc przed siebie, z twarzą bez wyrazu.

- Nie mam ochoty wracać. Mam ochotę się przejechać.

Ja też nie miałem ochoty wracać. Nigdzie. Bez słowa włączyłem silnik i ruszyłem. Pojechałem autostradą i po pięciuset metrach zatrzymałem się przy pierwszym auto-grillu. To absurdatne, ale chciało mi się jeść. Miałem ochotę na cokolwiek, byle niezdrowego, jak to się zdarza podczas długiej jazdy samochodem. Może właśnie dlatego wybrałem autostradę. Zamówiliśmy dwie filiżanki cappuccino i dwa kawałki tortu. To absurdatne, ale Claudii również zachciało się jeść.

Plącąc, poprosiłem o zapalniczkę i paczkę MS. Miękką. Potrzymałem ją przez chwilę w dłoni, zanim włożyłem do kieszeni.

Ruszyliśmy znowu, w spokojnej i przyjaznej ciemności kwietniowej nocy.

- Pamiętasz? Chciałam ci opowiedzieć pewną historię.

- Tak.

- Zatrzymajmy się gdzieś. Gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Okolo dwudziestu kilometrów dalej wjechałem na parking, pomiędzy pojedyncze drzewa, oświetlone słabym światłem latarni. Hałas przejeżdżających samochodów był przytłumiony i miał w sobie coś dziwnie uspokajającego. Wysiedliśmy i poszliśmy usiąść na ławce.

Białe noce, przyszło mi na myśl. Słowa te miałem wypisane w głowie wyraźnymi literami. Łączyły się z nimi

obrazy z filmu i zdania z książki. Ławka, dwoje ludzi, którzy nie mogą zasnąć i spędzają noc na rozmowie. Nierealni, w nierealnym świecie.

Powoli otworzyłem paczkę. Najpierw srebrny pasek, potem celofan, potem sreberko. Stuknięcie dwoma palcami o spód, żeby papieros się wysunął.

Zamknąłem oczy, czując, jak dym dociera do płuc, a chłodny powiew wiatru muska mi twarz.

Pałac z zamkniętymi oczami gorzkiego, mocnego papierosa, pomyślałem, że mam wszystko w nosie. Straciłem kontakt z rzeczywistością. Tkwiłem gdzieś w okolicy parkingu, a jednocześnie całkiem gdzie indziej. W znacznie dawniejszej ciemności, zapomnianej i przyjaznej.

- Nie jestem zakonnica.

Otworzyłem oczy i odwróciłem się w jej stronę. Podparła głowę dłonią. Patrzyła - albo wydawało się, że patrzy - w kierunku czarnego cienia eukaliptusa.

Opowiedziała mi swoją historię.

Otworzyłam drzwi i zatrzymałam się mniej więcej dwa kroki za progiem sypialni. Uniósł głowę i spojrzał na mnie. W jego zamglonym spojrzeniu pojawił się ślad zdziwienia.

- Gdzie jest Anna?

Odpowiadając, zauważyłam, że cała drzę. Naprawdę cała. Drżały mi nogi, ramiona, plecy, podbródek.

- Daj jej spokój.

Zwrócił wzrok ku mnie, mrużąc oczy. Jak gdyby nie wierzył własnym uszom. Jak gdyby nie wierzył, że można mu rzucić podobne wyzwanie.

- Powiedz Annie, żeby tu natychmiast przyszła.

- Daj spokój dziecku.

Wstał z łóżka.

- Zaraz ci pokażę, ty mała dziwko.

Drżałam na całym ciele, ale stałam dalej, dwa kroki za progiem sypialni. Uniosłam tylko prawe ramię, kiedy był już zupełnie blisko.

Wtedy zauważył nóż. To był długi nóż ze spiczastym czubkiem, bardzo ostry. Z tych do krojenia mięsa. On był tak blisko, że widziałam włosy wyrastające mu z nosa i uszu. Czulałam zapach jego ciała i jego oddechu.

- Co ty, kurwa, chcesz zrobić z tym nożem, dziwko?

To były jego ostatnie słowa. Ujęłam nóż oburącz i pchnęłam z całej siły. Z dołu do góry, tak głęboko, jak tylko się dało. Drgnął, a potem w daremnym geście obrony chwycił moje dłonie. Staliśmy tak, połączeni, niekończącą się chwilę, trzymając się za ręce, patrząc na siebie.

W jego oczach było jedynie bezgraniczne zdziwienie. W moich nie było nic.

Potem oswobodziłam dłonie i cofnęłam się kilka kroków, nie odwracając się. I zamknęłam za sobą drzwi.

Anna niczego nie usłyszała - nie zdołał wydać nawet jęku - i niczego nie zauważyła. Wzięłam ją za rękę i powiedziałam, że musimy wyjść na podwórze. Zabrała swoje lalki i poszła ze mną. Kiedy schodziliśmy po schodach, w pewnym momencie zatrzymała się. I pokazała palcem.

- *Skaleczyłaś się, Angela. Leci ci krew z ręki.*
- *To nic. Umyję się pod kranem na podwórzu.*
- *Musisz to zdezynfekować.*
- *Nie trzeba. Wystarczy woda.*

Potem wspomnienia przestają być wyraźne. Są pokaźkowane. Niektóre są jasne, inne tak ciemne, że nic nie widać.

W końcu wróciła matka. Minęła nas i weszła do mieszkania. Nie pamiętam, czy się z nami przywitała, czy tylko nas dostrzegła. Kilka minut później usłyszałyśmy jej przerażające krzyki. Potem ludzie wybiegli na balkony albo zeszli na podwórze, albo wpadli na naszą klatkę schodową. Wycie syren i migające niebieskie światła. Ciemne mundury, tłum przed naszą bramą, mijające godziny, gęstniejąca ciemność, ludzie rozmawiający szeptem, podczas gdy dwóch mężczyzn w białych fartuchach wynosi nosze, na których leży ciało przykryte prześcieradłem.

Stałam dalej na podwórzu i trzymałam siostrę za rękę, aż jakaś miła pani podeszła do nas i powiedziała, że mamy z nią pójść.

Zabrano nas do jakiegoś biura, gdzie był jeszcze jeden mężczyzna, a ta pani spytała nas, czy chcemy coś do jedzenia. Siostra odpowiedziała, że tak. Ja że nie, dziękuję, nie jestem głodna. Przynieśli jej kanapkę z szynką i coca-colę, a kiedy skończyła jeść, zaczęli nam zadawać pytania. Chcieli wiedzieć, czy ktoś przyszedł do tatusia, czy widziałyśmy jakiegoś nieznajomego, jak wchodzi do naszej kamienicy, i tak dalej. Zapytałam, czy mogą wyprowadzić siostrę, bo muszę im coś powiedzieć. Spojrzeli na siebie, a potem pani wzięła za rękę moją siostrę i wyszła z nią z pokoju.

Zanim wróciła, zaczęłam opowiadać swoją historię. Spokojnie opowiedziałam wszystko, począwszy od tamtego letniego ranka aż do Wielkiego Czwartku.

Spokojnie. Nic nie czułam.

10.

Zapaliłem trzeciego, a może czwartego papierosa i poczułem z przyjemnością, jak dym rozsadza mi płuca.

Claudia opowiedziała mi resztę. To, co działo się później. Lata w zakładzie poprawczym. Szkoła. Siostra Caterina, która pracowała tam jako wolontariuszka. Przychodziła prawie codziennie, aby odwiedzić dziewczyny i chłopców. To była dziwna zakonnica, inna niż pozostałe. Ubierała się normalnie, była młoda, sympatyczna, nie chciała za wszelką cenę rozmawiać o religii i została przyjaciółką małej Angeli. Która jako jedyna przebywała w zakładzie poprawczym za zabójstwo popełnione, zanim ukończyła czternaście lat. Trafiła do karnego zakładu poprawczego, ponieważ była nieletnia - miała tylko czternaście lat - i nie mogła być sądzona. Uznano ją za niebezpieczną.

Siostra Caterina nauczyła mnóstwa rzeczy tę dziwną, milczącą dziewczynkę, która spędzała czas samotnie i z nikim się nie przyjaźniła. Przynosiła jej książki, a dziewczynka pochłaniała je i wciąż prosiła o nowe. Nauczyła ją grać na gitarze i piec pyszne ciasta. Nauczyła ją udzielania pierwszej pomocy, ponieważ była pielęgniarzką.

Pewnego dnia, kiedy rozmawiały na podwórzu, dziewczynka, która zdążyła już dorosnąć, powiedziała zakonnicy, że nie chce już, aby nazywano ją Angela. Wkrótce ma

opuścić zakład poprawczy i prosi, aby siostra Caterina nadała jej nowe imię. Będzie je nosić tam, za murem. W nowym życiu.

Zakonnica zmieszła się i powiedziała, że się zastanowi. Kiedy znów przyszła, dziewczyna zapytała ją od razu, czy ma dla niej nowe imię. Siostra Caterina odparła, że jej matka nazywa się Claudia. Dziewczyna uznała, że to ładne imię i że odtąd będzie się nazywać Claudia. Siostra Caterina już miała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Zdjęła mały drewniany krzyżyk, który zawsze nosiła - jedyny widoczny znak, że jest zakonnica - i założyła go Claudii na szyję.

Kiedy Claudia opuściła zakład poprawczy, umieszczono ją w jakiejś rodzinie na północy kraju, ponieważ oświadczyła, że nie chce wracać do matki. Ukończyła technikum, zaczęła pracować jako robotnica i ćwiczyć sztuki walki. Najpierw karate, potem tę zabójczą dyscyplinę wymyśloną przed wiekami przez pewną mniszkę.

Pewnego dnia dowiedziała się, że schronisko dla byłych prostytutek i dziewczyn wykorzystywanych seksualnie szuka wolontariuszek. Przyszła i oznajmiła, że jest zakonnica. Siostrą Claudią, z zakonu franciszkanek. Zakonu siostry Cateriny.

- Nie wiem. skąd przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć, że jestem zakonnica. Nie umiem tego wyjaśnić, nawet teraz. Być może podświadomie czułam, że jako zakonnica będę bezpieczna. Nie w sensie fizycznym. Będę bezpieczna, jeśli chodzi o kontakty z ludźmi. Będę bezpieczna... jeśli chodzi o mężczyzn. Pomyślałam, że wszystko będzie o wiele łatwiejsze, że nie będę musiała tłumaczyć mnóstwa rzeczy.

Odwróciła się, spojrzała na mnie, potem przesunęła dłonią po twarzy i powiedziała:

- Chyba wiem. o czym myślisz. Czy nie bałam się, że prawda wyjdzie na jaw. Nie wiem. Tak czy owak nikt nigdy nie wątpił, że jestem zakonnica. Może to dziwne, ale tak było. Śmieszne. Mówisz, że jesteś siostrą, i nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzać, czy to prawda. Nikt cię nie prosi o dokumenty. Dlaczego dziewczyna miałaby zmyślać, że jest zakonnica? Ludzie przyjmują to do wiadomości i już. Co najwyżej ktoś zapyta, dlaczego nie nosisz habitu, więc wyjaśniasz, że w twoim zakonie nie jest to obowiązkowe, i na tym sprawa się kończy. I tak w krótkim czasie stałam się dla wszystkich zakonnica.

Kolejna pauza. Dłoń znów przesuwa się po twarzy.

- Było w tym coś uspokajającego. To był mój sposób na ukrycie się wśród ludzi. To był mój sposób, aby chronić siebie. W ten sposób mogłam uciec, pozostając na miejscu.

Nie miała już wiele więcej do opowiedzenia. Zaczęła pracować w schronisku. Należało do organizacji, która miała swoje ośrodki w całych Włoszech. Kiedy się dowiedziała, że organizacja chce otworzyć nowe schronisko pod Bari i że szukają kogoś doświadczonego, żeby pracował w pełnym wymiarze godzin za skromną pensję, zgłosiła się.

Skończyła i poprosiła o papierosa. Dziwnie się ucieszyłem, że mnie o niego prosi i że mogę ją poczęstować, więc również wziąłem jeszcze jednego i paliliśmy razem w milczeniu. Od czasu do czasu dochodził do nas szum samochodów, które przejeżdżały obok parkingu i szybko się oddalały.

- Raz, dwa razy w roku śni mi się pewien sen. Tamtego letniego ranka on woła do sypialni dziewczynkę imieniem Angela. Dziewczynka imieniem Angela przychodzi, on każe jej zamknąć drzwi, sadza ją na łóżku i w tym momencie

drzwi się otwierają i wchodzi siostra Claudia. Żeby uratować dziewczynkę. Ale nigdy się jej nie udaje, bo zawsze właśnie w tej chwili się budzę.

Obracała w palcach wypalonego już niemal do końca papierosa. Patrzyła na żarzący się czubek, jakby skrywał jakiś sekret albo odpowiedź.

- Pewnego razu przyśniło mi się, że ktoś przyprowadził do schroniska psa, Snoopy'ego. Że nie zginął, tylko uciekł.

Uśmiechnęła się lekko, przymykając oczy, próbując dostrzec coś w oddali. Miałem ściśnięte gardło i z trudem przełykałem ślinę.

- Wiesz, siostra Caterina dała mi w zakładzie poprawczym do przeczytania wiersz pewnej poetki, nie pamiętam jej nazwiska. Była Angielką albo Amerykanką. Wiersz był dedykowany kundelkowi, takiemu jak Snoopy. Zaczynał się tak: „Jeśli nie ma Boga dla ciebie, nie ma Boga również i dla mnie”.

- Piękny.

Mówiąc to, zdałem sobie sprawę, że odkąd usiedliśmy na ławce, po raz pierwszy otworzyłem usta. I poczułem dziwny spokój. Nie patrząc na mnie, wzięła mnie za rękę.

Ja natomiast spojrzałem na nią.

Cicho płakała.

Zanim wsiedliśmy z powrotem do furgonetki, znalazłem kubek na śmieci i wyrzuciłem papierosy razem z zapalniczką.

Claudia oznajmiła, że teraz ona prowadzi, i odwiozła mnie do domu w niecałe pół godziny.

Żegnając się ze mną, znów przytrzymała przez chwilę moją rękę. Ciemność nocy zaczęła się przeredzać.

Po powrocie do domu najpierw umyłem zęby, żeby pozbyć się smaku papierosów.

Potem otworzyłem wszystkie okna, wziąłem starą płytę winylową i położyłem ją na talerzu adapteru.

Do środka wtargnął chłodny powiew świtu, a ja zacząłem się kołysać w swoim bujanym fotelu, słuchając pierwszych nut.

Albinoni, słynne adagio. Do wtóru muzyki, jak gdyby przybywał z innego wymiaru, rozległ się tajemniczy głos Jima Morrisona.

11.

Scianatico został aresztowany pod zarzutem porwania i zabójstwa. Oraz oczywiście, jak napisano w protokole, stawiania oporu policjantom, którzy wpadli do mieszkania, aby go aresztować.

Sekcja zwłok wykazała, że Martina zmarła w wyniku bardzo silnych ciosów w głowę - najprawdopodobniej zadanych pięścią - i uderzenia o twardą powierzchnię. Ścianę albo podłogę. Biegły stwierdził, że kiedy Scianatico włókł Martinę po klatce schodowej do mieszkania, najpewniej jeszcze żyła.

W czasie procesu, który odbył się zaskakująco szybko, Scianatica nadal bronił Dellisanti, próbując wszelkimi sposobami udowodnić, że jego klient jest niepoczytalny. Biegły wspomniął o psychotycznych uwarunkowaniach agresji i zabójstwa; niewystarczającej pracy żałoby z powodu rozpadu związku, poważnym syndromie depresyjnym w chwili popełnienia czynu i innych tym podobnych bzdurach. Scianatico usiłował potwierdzić diagnozę, dwukrotnie podejmując nader wątpliwą próbę samobójstwa w więzieniu.

Psychiatra wyznaczony przez sąd nie dał się jednak nabrać. Oświadczył, że obie próby samobójcze nie były niczym innym jak symulacją i zakończył ekspertyzę

stwierdzeniem. że oskarżony jest osobnikiem *...wykazującym kompulsywną potrzebę kontrolowania innych, bardzo źle znoszącym rozczarowania, o osobowości borderline, cierpiącym na zaburzenia narcystyczne... lecz należy go uznać za poczytalnego (to znaczy zdolnego rozpoznać znaczenie swoich czynów i kierować swoim postępowaniem).*

I tak sąd, po trzech miesiącach procesu budzącego wielkie zainteresowanie mediów, uznał Scianatica za zdolnego do odpowiadania za własne czyny i skazał go na szesnaście lat więzienia, zamieniając oskarżenie o zaplanowane zabójstwo z rozmysłem na oskarżenie o zabójstwo nieumyślne. Mówiąc prościej: przyszedł, żeby ją pobić do krwi, lecz nie po to, żeby ją zabić.

Z formalnego punktu widzenia decyzja była słuszna, ale po siedmiu, ośmiu latach to bydlę otrzyma zwolnienie warunkowe. To była pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy, kiedy przeczytałem w gazecie informację o wyroku. Chyba że sąd apelacyjny obniży mu karę.

Sąd apelacyjny nie obniżył jednak kary. W tak głośnym przypadku, pozostającym w centrum uwagi mediów, nikt nie chciał ryzykować, że usłyszy zarzut faworyzowania syna przewodniczącego Scianatica.

Byłego przewodniczącego Scianatica, ściślej mówiąc. Stary poprosił o urlop bezpłatny zaraz po tym, co zaszło, a następnie, nie powróciwszy już na stanowisko, przeszedł na emeryturę.

Caldarola nie doprowadził do końca procesu, w którym byłem oskarżycielem prywatnym. Kilka miesięcy później został przeniesiony do sądu apelacyjnego i proces musiał się zacząć od początku z innym sędzią. Tym razem Delli-santi wybrał linię obrony, by tak rzec, łagodniejszą. Nie byli przecież obaj w najmniejszym stopniu zainteresowani tym, żeby raz jeszcze wszyscy, a przede wszystkim prasa,

usłyszeli, co robił Scianatico przed zabójstwem. obrońcy i oskarżonemu bynajmniej nie zależało na opowiadaniu o biciu, przemocy seksualnej, dręczeniu, prześladowaniu. O tym, jak wyglądało życie ofiary w miesiącach i latach poprzedzających morderstwo. Na pierwszej rozprawie wystąpili zatem o ugodę, na mocy której Scianatico został skazany na pół roku więzienia. I uzyskali ją.

Postępowanie dyscyplinarne w mojej sprawie zostało umorzone. W tym wypadku również nikt nie był zainteresowany ponownym rozpatrywaniem przebiegu procesu, który zakończył się w taki sposób. Ja również nie. W dwóch liniijkach zalecających umorzenie można było przeczytać, że nie popełniłem żadnego wykroczenia, a *ograniczyłem się do wypełniania z zaangażowaniem, choć w ramach deontologicznej poprawności, obowiązków oskarżyciela prywatnego.*

Alessandra Mantovani została w Palermo. Kiedy jej oddelegowanie dobiegało końca, wystąpiła o przeniesienie na stałe. Pracuje w sekcji do walki z mafią i czasami widzę jej nazwisko i zdjęcie - ma zmęczoną twarz i ściągnięte rysy - w jakiejś gazecie. Za każdym razem ogarnia mnie smutek. Ten sam, który poczułem, kiedy mi oznajmiła, że wyjeżdża.

Claudia została w Bari. Nadal kieruje schroniskiem, ale przestała się podawać za zakonnice. Nie znaczy to, że w pewnym momencie zwołała konferencję prasową albo rozwiesiła plakaty, aby oświadczyć wszystkim, że nią nie jest.

Po prostu kiedy do schroniska przychodzi nowa dziewczyna, przedstawia się jej tylko imieniem i już. Kiedy ktoś, kto znał ją wcześniej, nazywa ją siostrą, mówi, że wystarczy samo imię. To znaczy Claudia.

A fakt, że nie jest to imię, które figuruje w jej dokumentach, ma niewielkie znaczenie albo raczej nie ma go wcale. Jej prawdziwe imię brzmi Claudia. Imię figurujące w dokumentach nadali jej biologiczni rodzice. Jeśli można tak nazwać ojca, który robi podobne rzeczy swojej młodej córce. I matkę, która pozwala mu na to, udając, że nie widzi i nie słyszy.

Jej prawdziwą matką, jej rodziną, była tamta zakonnica w zakładzie poprawczym.

12.

Kiedy oświadczyłem Marghericie, że chcę spróbować skoczyć ze spadochronem, długo przyglądała mi się bez słowa. Czy chcę udowodnić, że potrafię ją zadziwić? Udało mi się, powiedziała, kiedy już odzyskała głos.

Kilka dni później poszedłem na kurs.

Przez kilka tygodni doznawałem dziwnego i nieznanego przedtem wrażenia, będącego mieszaniną czystego strachu i niepokojącej pogody ducha. Poczucia tego, co nieuchronne, i dziwnej godności.

W noc poprzedzającą skok nie zasnąłem nawet na minutę. Oczywiście.

Leżałem jednak cały czas w łóżku, bez najmniejszej ochoty na sen, rozmyślałem i wspominałem wiele spraw. Najżywsze wspomnienie: ta straszliwa zabawa dzieci na gzymsie przed tyłu laty.

Od czasu do czasu nadchodziła fala czystego strachu. Pozwalałem, żeby przepłynęła mi przez całe ciało jak prąd elektryczny. W ten sposób mijała. Czasami była większa i dłuższa. Czasami myślałem, że nazajutrz umrę. Czasami myślałem, że w ostatniej chwili się wycofam. Ale to również mijało.

Nawet jeśli Margherita spostrzegła, że nie zmrużyłem oka, nie powiedziała mi tego rano.

A ja, o dziwo, nie czułem się zmęczony. Przeciwnie, ramiona i nogi miałem rozluźnione, umysł zaś pusty i czysty. Nie myślałem o niczym.

Ogłuszający huk samolotu stał się w końcu szumem w tle. Pilot ograniczył prędkość do minimum i wydawało się, że samolot zatrzymał się w miejscu, między niebem a ziemią.

Mieliśmy skoczyć w sześcioro. Mnie i pozostałą trójkę czekał pierwszy skok. Potem instruktor i Margherita, która chciała być przy mnie, ale powiedziała mi o tym dopiero tamtego ranka.

Kiedy otworzyły się drzwi samolotu, do środka wdarł się wiatr i dziwne światło.

Znalazłem się bardzo blisko tajemnicy życia i śmierci.

Instruktor kazał mi stanąć na progu, bokiem, tak jak mnie uczył. Zrobiłem to. Minęło kilka sekund i dał znak, żebym skoczył. Spojrzałem w dół, ale nie ruszyłem się z miejsca. Wydawało mi się, że scena trwa nieskończenie długo, przesuwa się klatka po klatce. Instruktor powtórzył polecenie, a ja dalej tkwiłem na progu. Wszystko było absurdalnie nieruchome.

Wówczas podeszła do mnie Margherita i powiedziała mi coś do ucha, ściskając mnie za ramię. W huku silników samolotu nie usłyszałem, co mówi, ale nie miało to znaczenia.

Zamknąłem oczy i skoczyłem.

Kilka sekund i kilka wieków później usłyszałem otwierający się spadochron. I niewiarygodną ciszę pustki, kiedy samolot był już daleko.

Miałem jeszcze zamknięte oczy, gdy usłyszałem dziwny, a przecież znany dźwięk. Potrzebowałem trochę czasu, aby zrozumieć, że to mój oddech wydobywający się z głębi ciszy i strachu.

Miałem jeszcze zamknięte oczy, kiedy usłyszałem swoje imię. Dopiero wtedy je otworzyłem i zobaczyłem, gdzie jestem. Zobaczyłem świat pod sobą i przekonałem się, że lecę bez lęku. I zobaczyłem Margheritę, trzydzieści, czterdzieści metrów dalej, jak macha do mnie ręką.

Poczułem nieopisane wzruszenie. Ja również uniosłem dłonie.

Uniosłem obie dłonie, tak jak robiłem w dzieciństwie, kiedy byłem bardzo szczęśliwy.